



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Niewiasta

Liczba stron oryginału

80

Liczba plików skanów

80

Liczba plików publikacji

83

Sygnatura/numer zespołu

CZ III 00481

Data wydania oryginału

1913

Projekt/Sponsor digitalizacji

Dofinansowano ze środków WPR Kultura+



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



**NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY**

KULTURA+

01 001
Digitalizacja



Najważniejszy krok.

Czy to dziś, czy przed stu laty, czy też nawet za sto lat, małżeństwo było, jest i będzie celem kobiety, nie wyłącznym oczywiście ale bezwątpienia, dla różnych powodów, najgłówniejszym.

Jeśli więc przeznaczeniem ogółu, z małymi wyjątkami, jest zamążpójście, należy to wziąć pod uwagę przy wychowaniu córek, i przygotować je do tak ważnego kroku, by w tej chwili rozstrzygającej o losie całego życia, młoda dziewczyna działała nie pod wrażeniem lekkomyślnego uniesienia, ale rządziła się sercem i rozumem.

Zawierając ślub, przysiegamy miłość i musimy zdawać sobie sprawę z uroczystości tej przysięgi, Jeśli słowo obowiązuje uczciwego człowieka, cóż dopiero przysięga wspólna przed ołtarzem... a choćby w obliczu duszy własnej...

Bez miłości, dla względów materialnych, czy próżności, uczciwa panna nie wychodzi za mąż, bo kłamałaby miłość, a kłamstwo takie mści się w życiu.

Cóż jednak rozumieć należy przez miłość?

Czy jedynie upodobanie przelotne, chwilowe rozmarzenie, podniecenie ner-

wów, grę bujnej wyobraźni, pociąg naturalny?

Zaiste, na wędrowkę przez życie byłoby to za mało...

Miłość, która jest podstawą każdego dobrego małżeństwa, przede wszystkim opiera się na szacunku i współczuciu, jest gorącym pragnieniem uczczenia i pomocy...

Już w Piśmie świętym powiedziano: „Lepiej tedy być dwiema społem, niż jednemu, albowiem mają pożytek ze swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podniesie. Biada samemu, bo jeśli upadnie, niema ktoby go podniósł“.

Takie pojęcie miłości i małżeństwa uchroniłoby setki par od lekkomyślności, które nieraz całym życiem przychodzi im odpokutować...

Nie dla przyjemności, ani dla interesu zawierać należy wieczyste śluby, ale dla wspólnego wspomagania się przez życie, dla podtrzymywania się i prowadzenia do coraz wyższych celów.

I o tem powinnyby wiedzieć nasze córki... Zamiast uśmiechu ilekroć o małżeństwie mowa, jakby to było wieczne „wesele“, trzeba, aby wiedziały, że to jest rzecz poważna i święta, do której warto się, póki czas, przygotować.

Najwięcej bowiem dobrane charaktery

muszą przejść ogniową próbę, aby się do siebie dostosować, najszcześniejsze małżeństwa pamiętają na horyzoncie wspólnego pożycia niebezpieczne chmury; każda kobieta, wychodząca za mąż, musi przyjąć na siebie obowiązki, które nieraz ciężą jej, jak ołów.

Dlatego też od młodości powinno się tak w dziewczętach, jak w chłopcach, wyrabiać przede wszystkim charakter, to jest energię woli, a zarazem siłę panowania nad sobą, męstwo ducha bowiem jest w małżeństwie równie pożądane, jak zdrowie ciała i dobroć serca.

Tylko kobieta z charakterem będzie umiała być towarzyszką męża w doli i niedoli, w pracach i trudach, w troskach od życia nieodłącznych.

Kobieta — żona i matka musi być ową niewiastą mężną z Biblii, która „upastrywała ścieżki domu swojego, a chleba — próżnując — nie jadła“.

Czas narzeczeństwa poświęcić więc należy na poznanie się wzajemne i porozumienie co do najważniejszych zagadnień życia, a wtedy będzie więcej dobranych małżeństw, zgodnie i wspólnie dla Boga i ludzi dzieci wychowujących — więcej dobrych ojców i matek — więcej dzieci na chlubę społeczeństwa wyrastających.

Polska zima.

Spadły śniegi, spadły białe, na niwy i łąny,
Otuliły niby płaszczem, nasz kraj ukochany.

Posrebrzyły nasze drzewa, lasy i ogrody,
Że dziś każde z nich wygląda jak strojne
[na gody.

Stoją rzeki, stoją ciche, pod szybą lodową,
W której słońce się odbija tęczą kolorową.

Mróz powarzył dawno kwiaty, zniszczył
[ich kielichy,
Ptasząt też zamilkły chóry, gaj dziś stoi
[cichy.

Stoi jakby zadumany, wśród zimowej
[głuszy,

Niby godło jakiejs biednej, opuszczonej
[duszy.

Lecz choć zima naszą Polskę nawiedziła
[sroga,
W sercach mamy żar miłości dla kraju i
[Boga.

Tego ognia nie wyziębi żaden wiatr pół-
[nocny.
Bo zapalił nam go w łonie, sam Stwórca
[wszechmocny.

A więc łączmy nasze serca i ku pracy
[dłonie,
A zawita kiedyś wiosna w swobody koronie.

Do młodzieży.

Młodzi bracia, hej do czynu,
Póki młode lata.
Nie stójmy o liść z wawrzynu,
By nim lśnić śród świata.

Lecz idźmy przebojem,
A stąd nasza chwała,
Gdyby naszym znojem
Polska zmartwychwstała!

Dalej bracia, w górę czoła,
Chociaż bez pałasza!
— „Nie zginęła!“ — głos nam woła
„Wstanie Polska nasza!“

W przyszłości się zrodzi
Co nam przeszłość wzięła.
W górę serca! — młodzi —
Polska nie zginęła!

Alex Olechna.

Na polu i w szpitalu.


W szeregu obrazów, jakie nadsyłają korespondenci z pola walki na Bałkanie, zasługuje na uwagę parę opisów ze służby sanitarnej, która została zorganizowana na wielką skalę i, jak dotychczas, po stronie bułgarskiej, odpowiada w zupełności potrzebom. Po stronie tureckiej stosunki są często rozpaczliwe. Oto jak przedstawia

jeden z korespondentów, pochód rannych Turków:

„Zbliża się długi pochód żołnierzy rannych, bez broni. Na czele — ranni w głowę i ręce. Idą ze wschodnim spokojem, podpierając się wzajemnie, milcząc i tylko błagalnym wzrokiem prosząc o ratunek.

Ciągną wozy, zaprzężone w woły, przepełnione najcięższymi rannymi i nawet już umierającymi. Słychać tłumione jęki, słychać okrzyki bólu. Ale nie dla wszystkich starczyło miejsca na wozach. To też następuje prawdziwy kalejdoskop nędzy ludzkiej: żołnierze ranni w nogi. Są między nimi siwowłosi ojcowie rodzin z Anatolii, z Kurdystanu. Niektórych niosą towarzysze lżej ranni. Wielu ma potrzaskane, poszarpane nogi, obwiązane tylko brudnymi gałganami, zbaczonymi krwią. Niektórzy dźwigający towarzyszków, sami ostatnim wysiłkiem wleką się ku punktowi opatrunkowemu.

Wkońcu widok najstraszniejszy, przerażający zgrozą; ranni w brzuch i nogi, nie mający towarzyszków, ani pomocy, nie mogący utrzymać się na nogach, czołgają się po ziemi, jak robaki, jak gady, po kilka wiorst, aby znaleźć opatrunek i ratunek.

 W wyprawie Czerwonego Krzyża austriackiego do Czarnogóry, wzięły udział między innymi cztery Siostry z wiedeńskiego Rudolfinerhaus. Przydzielono je do służby sanitarnej w szpitalu w Podgoricy. — Z sprawozdań Sióstr, przesyłanych listownie, na ręce przełożonej, należy przytoczyć wyjątki za pismami wiedeńskimi:

Pracy mamy poddostatkiem; 80 pacjentów, w tem 35 ciężko rannych. Chorzy są naogół spokojni i znoszą ból z wytrzymałością. Wszyscy marzą jedynie o tem, by odzyskać zdrowie i mózdz z powrotem udać się na pole walki. Szerzy się tu malarya i dysenterya. Zdarzył się również wypadek zaskłabnięcia tyfoidalnego. Sala operacyjna szpitala wprowadza w zdumienie odwiedzających. Wizyty w szpitalu zdarzają się często; niedawno odwiedził szpital bar. Giesl, austriacki poseł

w Cetynii z małżonką. Obdarzone nas łakociami i owocami.

W innym liście donosi jedna z sióstr: Zimno daje się nam dotkliwie we znaki, Materyału opałowego brak, a tu dzień po dniu śnieżyce i burze, zwłaszcza po nocach. Pracy mamy wiele; musimy utrzymywać w porządku salę operacyjną, przygotowywać i sterylizować bandaże i materyały opatrunkowe. — Co czwarty dzień przypada na każdą z nas dyżur w nocy. Pacjenci w liczbie 90, leżą w sześciu pokojach. W każdym czuwa jeden żołnierz. Starania, by każdy chory otrzymał wszystko, co lekarz przepisze, są dość utrudnione, gdyż niektórych przyborów brak. Wśród rannych znajduje się także pięć kobiet, które brały czynny udział w bitwach; najmłodsza z nich ma lat 15, najstarsza 50. Wszystkie odniosły ciężkie rany od kul tureckich.

Interesującą scenę na dworcu w Stariej Zagorze, przedstawia jeden z korespondentów w zarysach następujących:

„Deszcz leje, jak z cebra. Na dworcu kolejowym pełno publiczności. Nadchodzi cały pociąg z lżej rannymi, których odwożą w głąb kraju. Na peronie wszystko milknie. Do pociągu strażnicy dopuszczają tylko panie z Czerwonego Krzyża i nas, sprawozdawców. W oknach wagonów ukazują się blade, zmęczone twarze. Słabe uśmiechy, ale radość w jasnych oczach: „Nareszcie między swymi!“ Panie roznoszą i podają rannym wodę, koniak, kawę, herbatę, chleb. Piją chciwie, chłodząc zgorączkowane usta.

Trzy wagony zajmują oficerowie. Przeważnie młodzi, porucznicy, kapitanowie. Jeden z przestrzeloną ręką, wysiadł z wagonu.

— Panie poruczniku — zagadnąłem go — nie boi się pan zaziębienia? Deszcz, zimno...

Uśmiechnął się.

— Nic mi się nie stało, gdy przez dwie doby stałem w okopach po pas w wodzie, to i deszczyk mi nie zaszkodzi.

— Kiedy pan został raniony?

— W czwartym dniu pod Lüle Burgas.

— Bardzo panu rana dokucza?

— Dokucza, ale bardziej dokucza ta cicza, ten spokój, na który jestem skazany. Chciałbym jak najprędzej powrócić w szeregi!

Panie z Czerwonego Krzyża w białych, długich fartuchach z czerwonym krzyżem na piersiach, uwijają się, roznosząc rannym posiłek i napoje. Zabłocone, przemoknięte, ale nie dbają o to. Pełnią swe obowiązki z radością, ze współczuciem. Na peronie tłum milczy. Tam, gdzie Francuzi nie powstrzymaliby się od okrzyków gdzie zimni Anglicy nosiliby na rękach powracających z boju bohaterów, tam — Bułgarzy milczą. Ale właśnie w tem milczeniu brzmi głośno i uznanie i współczucie i wdzięczność.

Pociąg rusza. Tłum zdejmuje czapki i rękoma żegna odjeżdżających junaków.

— Szczęśliwej podróży! Rychłego wyzdrowienia!

Panie z Czerwonego Krzyża obciera ją pot z czoła i nieco zatroskane ogląda ją swe przemokłe buciki i zabłocone fartuchy.

— Za godzinę przychodzi nowy pociąg — oświadcza zawiadowca.

Panie wzdychają i idą przyrządzać nowe porce napojów i przekązek.

I tak całe dnie, całe noce...

ZŁOTE ZIARNKA.

Miej serce Polki i duszę Anioła,
Hartuj swą wolę wśród życia burz,
Przed nieszczęściami nie uchylaj czoła,
Bądź opiekunką złamanych dusz.

— o —

Gdy w życia jasne i pogodne chwile,
Do duszy twojej boleść się zakradnie,
Gdy cię otoczy cierni, bólów tyle,
Że ci nadziei już promień pobladnie,
O, nie upadaj pod ciosami temi,
Nieś krzyż swój silnie, wytrwale i śmieje,
Bo Polką jesteś, a Polka na ziemi
Cierpieć i kochać ma wiele.

Chociaż szczęście błysnie tobie,
Pomnij, żeś ty Polski córą,
Że ona teraz w żalobie,
Że nad nią pieśń brzmi ponura,
I że niema szczęsnej doli,
Dopóki ona w niewoli.

— o —

Ten tylko swe zadanie spełnia całkowicie,
Kto prawdą i miłością przechodzi przez

[życie,

Kto w pracy uie ustaje, kto się szczerze

[modli,

Kogo cenią uczciwi, nienawidzą podli.

Rady gospodarcze.

Wybieranie studni może być dokonywane bardzo rzadko i tylko tam, gdzie bierze się wody dużo ze studni a dopływa ciągle świeża, ale gdzie wody odchodzi mało, tam ona tęchnie i często robi się niezdatna do użycia. Jeżeli woda mimo wybierania okazuje skłonność do stęchli-zny, dobrze jest od czasu do czasu wrzucać kawałek alunu.

Po każdym wybraniu i oczyszczeniu studni, należy dno i boki studni skropić silnie świeżem rozrobionem wapnem.

Studnie murowane lepsze są niż drewniane, bo kamień w wodzie nie gnije i nie udziela złego smaku i zapachu wodzie, tak jak drzewo. Najlepsze zaś są z kamienia, układanego na sucho, t. j. bez zaprawy — z takich studzien woda bywa najsmaczniejsza.

Bardzo dobre i wygodne a nawet względnie tańsze od innych są studnie betonowe, gdzie zamiast innej cembrowiny, zapuszcza się w ziemię obszerne rury betonowe. Ziemię wyrzuca się tylko że środka rury, a więc robota jest łatwiejsza i szybko postępuje, rura zaś w miarę wybierania ziemi, sama się zagłębia.

Zużytkowanie ziemniaków. Wobec urodzaju ziemniaków, a wysokich cen pasz innych, ważne jest pytanie, w jaki sposób najlepiej zużytkować można ziemniaki

Otóż kłęby ziemniaków są najodpowiedniejszą paszą dla wszystkich zwierząt, także dla koni. Na surowo ziemniaki dawać można tylko bydłu, mianowicie na dobę i sztukę — opasom do 50 funtów, krowom po 20—30 funtów. Świniom i koniom daje się ziemniaki parowane lub gotowane. W pewnym majątku w Niemczech przy ciężkiej pracy, żywi się konie ziemniakami w ten sposób: Całą porcję dzienną (zamiast funta owsa — 4 funty surowych ziemniaków) paruje się od razu, przyczem ziemniaki muszą być doskonale wypłukane, zupełnie bez piasku. Następnie uparowane ziemniaki wsypuje się w starą beczkę, gdzie na każde 10 funtów zalewa się je garncem 4 litr.) wody, poczem miesza się drewnianą kopystką. Sieczkę ze zdrowej żytniej słomy sypie się do żłobu, poczem wlewa się tyle zimnej ziemniaczanki, ile na jedno danie wypada. Siana dodaje się tyle, co przy żywieniu owsem. Konie trzymają się doskonale, nie są tłuste, ale silne i zdrowe. Aby ziemniaki miały sprowadzać kolkę, pocenie się, osłabienie i t. p. — to jest bajka. Kto się obawia paść samemi ziemniakami, niech przechodzi na nie stopniowo, dając je najpierw na jedno danie, potem na dwa, a potem na wszystkie trzy. Zupełnie fałszywie jest dodawać owies lub śrutę do ziemniaków. Ważniejsze jeszcze jest stopniowe przejście na wiosnę od żywienia ziemniakami do skarmiania ziarną.

Wpływ dobrej wody do picia. Pewien gospodarz posiadający 24 krów, z powodu zepsucia się studni zmuszony był przez kilka miesięcy brać wodę do pojenia z kanału rzecznego. Woda ta była nie odpowiednia do picia i bydło z początku niechętnie ją piło. Wreszcie ujęto źródło i pojono odtąd bydło wodą ze źródła, którą bydło piło chętnie i w większej ilości. Wkrótce zauważono przybytek mleka i lepszy wygląd krów. Ilość mleka powiększała się w ciągu 12 dni i po tym czasie wynosiła 1.1 kg. mleka więcej na 1 krowę dziennie. Tego zwiększenia się ilości mleka nie można sobie było inaczej wytłumaczyć jak tylko lepszą niż poprzednio

wodą do pojenia. Tymczasem u nas poi się nieraz krowy wodą z kałuż, podobną więcej do gnojówki niż do wody, co oczywiście na złe wychodzi.

Proszek na tuczenie świń. Pobudza chęć do jadła, potęguje rozrastanie się i osadzanie tłuszczu u świń proszek następującego składu: 1 część antymonu w proszku, 2 części soli kuchennej miałkiej, 7 części mąki kostnej pokarmowej, razem zmieszane. Do gęstego jedzenia dawać 3 razy dziennie po łyżce stołowej. Środek ten kosztuje taniej i lepiej działa od głośno reklamowanych i opatentowanych specyfików, obecnie coraz częściej pojawiających się w handlu. Prosiętom dawać należy tylko po łyżeczce małej, trzy razy dziennie.

Rady zdrowia.

Zemdlenie. Jestto nagła i zupełna utrata uczucia i ruchu, przy znacznem zmniejszeniu bicia serca: oddech także zostaje wstrzymany. Atak taki trwa kilka sekund, niekiedy minutę, gdyby zaś trwał dłużej niż kilka minut, wtedy staje się niebezpieczny i może nawet życiu zagrażać. Zdarza się u osób nerwowych, przeważnie kobiet, przytrafia się i u silnych, dobrze zbudowanych mężczyzn. Głównymi tego przyczynami są silne urażenia duchowe, jako to: przestrasz, żal, również nagle powstający ból gwałtowny, prócz tego znaczna utrata krwi powoduje częstokroć silne omdlenie. Osobę omdlałą uwolnić należy z ubrania utrudniającego oddech, kołbiecie rozpiąć stanik, zdjąć gorset, mężczyźnie krawat i krochmalny konierz, potem trzeba ułożyć poziomo z głową cokolwiek opuszczoną, otworzyć okno, żeby był dostęp świeżego powietrza, przyskać na twarz zimną wodę, nacierać skronie wodką kolońską, do wachania podać octu monego, amoniaku lub anodyny. Jeśli omdlały jest w stanie połykać, daje mu się nieco wina, koniaku lub kawy. Gdy nie połyka, lewatywę z wina. Jeśli omdlenie

trwa dłużej, trzeba w każdym razie przywołać lekarza. Przy omdleniach, powstających wskutek utraty krwi, należy przede wszystkim zatrzymać krwotok. Skoro się doznaje przykrego zawrotu głowy, trzeba, jeżeli pewien czas upłynął od jedzenia, nogi moczyć w gorącej wodzie z gorzycą dopóty, dopóki na skórze nie uczuje się szczypania.

Rozmaitości.

Nieprzyjemne przebudzenie. W jednym z katolickich kościołów w Rosyi odbywał się ślub przy udziale licznych gości. Ponieważ przed ślubem już wino było w robocie, nie więc dziwnego, że niejeden z pomiędzy gości zaproszył sobie głowę.

Jeden z weselników, któremu ceremonia wydawała się zbyt długą a stanie zbyt uciążliwe, usiadł wygodnie w kącie kościoła — i zasnął. Przypadek chciał, że po odbytych akcie i po wyjściu gości z kościoła, wniesiono ciało umarłego. Lecz nawet żałosny głos dzwonów, ni śpiew księży nie zdołał obudzić gościa. Tymczasem i ta ceremonia się skończyła. Kościelny pogasił świece i zamknął kościół, noc nadeszła. O 2-giej budzi się nasz gość; lecz jakież było jego przerażenie, gdy zamiast ślubu ujrzał katafalk. Daremnie krzyczał i pukał w drzwi — nikt go nie słyszał. Przypadkiem natknął się na drzwi prowadzące do dzwonnicy. Pobiegł na górę i począł dzwonić. Na ten hałas zbiegli się księża, kościelny i sąsiedzi i nieszczęśliwego wypuszczono. Wypadek ten tak przeraził gościa, że przysiągł sobie nigdy już więcej nie pić alkoholycznych trunków.

Mysz w butelce. W pewnym domu słyszano na górnym piętrze hałas, jak gdyby ktoś koło obracał lub po podłodze coś kulał. Hałas ten powtarzał się nieregularnie. Właściciel, chcąc się przekonać co to właściwie jest, poszedł z synem na górę do pokoju, w którym podług ich mniemania straszyć miało. Na schodach usłyszeli wyraźnie hałas, lecz gdy weszli

do pokoju wszystko ucichło. Zaledwie jednak zeszli na dół, gdy na nowo usłyszeli hałas. Nareszcie po długich poszukiwaniach znaleźli na podłodze leżącą butelkę, do której mysz weszła, zwabiona cukrowym grochem, który gospodyni do butelki włożyła — a o którym zapomniała w końcu zupełnie. Musz tak się grochu najał, że szyjka butelki okazała się za wąską — i mysz nie mogła się z niej wydostać.

Pijak, pożarty przez wieprza. Lubelski „Goniec Polski“ donosi: Pewien włościanin ze wsi Grułczyce, powiatu chełmskiego, udał się na jarmark do Chełma, aby sprzedać wieprza. Wieprza nie udało się sprzedać, więc smutek postanowił zapić i upił się. Ostatecznie wlaź na wóz i w stanie nieprzytomnym pojechał do domu razem z wieprzem. Wieprz cały dzień nie jadł, zaczął więc nacierać na gospodarza, pijany nie stawiał oporu — i wieprz nadgryzł gospodarzowi bok. Koń instynktownie zajechał przed dom i ku zdziwieniu obecnych, włościanin z fury nie zszedł. Gdy zbliżono się, gospodarz dawał tylko słabe oznaki życia i wkrótce zmarł.

Gromadne otrucie. Niejaki Feliks Dąbrowski z Warszawy, pracownik prywatnego laboratorium chemicznego, po ukończeniu pomyślnem procesu sądowego, zaprosił do siebie kilka osób, które w jego sprawie stawały w charakterze świadków i uraczył ich wódką własnego wyrobu. Wódka była zaprawiona przypadkowo aniliną, czy też inną trucizną; skutek był taki, iż Dąbrowski i jego czworo gości zmarli, piąta osoba walczy ze śmiercią.

Środki przeciw pijaństwu. Niełatwa to rzecz, jak wiadomo, dokonać tej sztuki, aby pijaka odstraszyć od kieliszka. W Kanadzie odkryto jednak środek skuteczny. Każdy pijak, opilstwem swem wzbudzający zgorszenie, dostaje w policyi lśniącą żółtą naszyjnik, którego mu absolutnie nie wolno zdejmować przez pewien czas. Właścicielowi takiego naszyjnika pod ciężką karą nie wolno sprzedawać ani kropli wina, piwa lub wódki. Obawa przed tą żółtą opaską jest tak wielka, że kto ją raz

nosił, rzadko kiedy narazi się na to, aby ją dostać po raz drugi. Dwa miasta: Kopenhaga i Amsterdam, stosują inny środek przeciwko pijaństwu, który podobno jest skuteczny. Skoro policyant spostrzeży pijanego, woła natychmiast dorożkę, wsadza do niej obywatela, trzymającego się niezbyt pewnie na nogach i odwozi go do pierwszego posterunku policyjnego. Na posterunku lekarz ogląda pijanego, komisarz dowiadytuje się w jakim zakładzie „zabawiał” się i następnie odsyła go dorożką do domu. Nazajutrz właściciel restauracji, w której obywatel zatrzymany przez policyanta upił się, otrzymuje za pośrednictwem komisarza sądowego do zapłacenia rachunek lekarza, dorożkarza, kosztów i t. d.

Ptaki zbieracze. Nietylko pomiędzy ludźmi ale i ptakami spotykamy zapamiętanych zbieraczy; z pomiędzy naszych gatunków, instynkt taki posiada sroka, która kradnie często rozmaite przedmioty i ukrywa je po kątach.

W Indyach znajduje się pewien gatunek kruka, trzymający się chętnie miast. Jestto namiętny złodziej, kradnie nietylko pożywienie, ale i inne rzeczy, które nagromadza w swem gnieździe.

Pewien Aglik mówi, że niemal przed każdym domem można spotkać owego kruka, czatującego na sposobność do popełnienia kradzieży. Nic nie jest bezpieczne w jego sąsiedztwie. Niech tylko jaka kobieta pozostawi swój woreczek otwarty u okna, a w mgnieniu oka znikną zawarte w nim rękawiczki, chustki do nosa, mydełko, napastrki i t. d. Kruk indyjski jest tak przebiegłym, że rozwiązuje nawet pakunki, żeby się dowiedzieć, co one zawierają.

Raz towarzystwo jakieś siedziało w ogrodzie, gdy nagle z nieba spada nóż zakrwawiony. Zachodzono w głowę, co by to było; dopiero później przekonano się, że kruk ściągnął z pod ręki kucharzowi, zarzynającemu kureczkę, nóż i uniósł go w powietrze, a nie mogąc utrzymać w dziobie, upuścił.

Inny znów ptak jest bardziej wybredny w wyborze, gromadzi on to tylko, co służy ku ozdobie budowanych przezeń altanek; a więc rozmaite błyszczące i jaskrawo zabarwione przedmioty, jako to: pióra papuzie, muszelki, kamyki, białe kostki i t. d. Indyanie tak dobrze znają naturę tego ptaka, że kiedy im zginie bez śladu fajka, amulet, lub jaka inna fraszka, przetrząsają nasamprzód gniazdo sąsiednie i prawie zawsze znajdują w jednym z nich szukany przedmiot.

Różne szybkości. Idąc zwykłym krokiem, można ująć 60 metrów na minutę; idąc tak dniem i nocą, potrzeba na podróż naokoło świata, 450 dni.

Zwyczajny pocztowy powóz przebiega 3 metry na sekundę. Kuryer na koniu $4\frac{1}{2}$ metra w tym samym czasie, a dobry łyżwiarz 9 mtr. Renifer posiada tą samą szybkość, co łyżwiarz.

Chart ścigający zająca przebiega 26 metrów na sekundę; gdyby mógł biedz z taką szybkością ciągle, obiegłby świat dookoła w 16 dni.

Mucha przelatuje na sekundę około 2 metry, jaskółka 25 mtr., orzeł 32 mtr. Gołąb posłaniec 48 mtr. Ten ostatni okrążyłby świat w ciągu 8 dni.

Rekin pruje fale morskie z szybkością 13 metrów na sekundę.

Burza potrzebuje tylko sekundę na przebieżenie 20 mtr., huragan na 40 mtr., a dźwięk w sekundę przebiega 5000 mtr.

Lokomotywa bez wagonów może przebieść w sekundę 27 mtr.; obiegłaby więc świat w 19 dniach.

Kula ze strzelby myśliwskiej może w ciągu sekundy przebieść 100 mtr., kula armatnia 200 mtr. Kula więc taka obiegłaby świat w ciągu jednego dnia, a dźwięk w ciągu 12 godzin.

ŻARTY.

Pochwalił. Gajowy schlebia panu hrabiemu: — Śliczny, wyborby był pański strzał. panie hrabio. To tylko szkoda, że

gdy on padł, to zamiast tego huncwota zająca, znalazł się tam pański wyżeł.

Dokładne notowanie. Pan Butelkiewicz spędziwszy noc w szynku, rano zabiera się do płacenia i zawoławszy kelnera mówi: — Za 8 litrów wina... Kelner: — Przepraszam, ale pan wypił 10 litrów. — To nie prawda, ja przecie za każdym litrem robiłem kreskę kredą na stole. Wszak tu tylko osm znaków widać. — Tak panie, — odrzekł kelner, — ale spojrz pan pod stół, tam widać jeszcze dwie kreski na podłodze.

Jednako myślą. Pokłóceni małżonkowie idą do proboszcza. Mąż: — Proszę księdza dobrodzieja, ja pragnę rozwodu. — Ksiądz (do kobiety): — A ty, moja córko? — Żona: — Ja także pragnę rozwodu. Ksiądz: — Moje dzieci, wasze życzenia są tak zgodne i jednomyślne, że rozwód jest tu całkiem niepotrzebny.

Ostatnie słowo. Teresa poszła odwiedzić przyjaciółkę świeżo owdowiałą. Po wysłuchaniu opisu choroby i różnych szczegółów, pyta Teresa: — Jakie były ostatnie słowa twego męża? — Tych nigdy nie było — odpowiedziała wdowa — wiesz przecie, że w pożyciu z nim, ja miałam zawsze ostatnie słowo.

Dobry przykład. Matka: — Ty próżniaku, dlaczego nie naśladujesz przykładu pracowitej mrówki? — Chłopiec: — Ja ją właśnie naśladuję mamę, bo cały dzień grzebię się w piasku.

Z głodu. No żono, przynieś mi tę rybę, którą miałaś ugotować. — Niestety mężu, kot ją zjadł! — No, to resztę cieleciny. — Także ją kot zjadł! — To okropność! daj mi więc sera. — Wybacz mężusiu, ale i ser zjadł kot. — Do krośset! To daj mi kota. Muszę przecie coś zjeść!

Przyczyna. Podróżny, który się spóźnił do pociągu, robi uwagę: — To przecie niemądra rzecz, że dworce kolejowe budują zwykle tak daleko od miasta! — Na to odpowiada mu urzędnik kolejowy:

— Robią to dlatego, aby dworzec był bliżej szyn.

U lekarza. Gadatliwa jejmość: — Panie doktorze, ja wystawiłam już język przed pięciu minutami, a pan jeszcze na niego nie popatrzył. — To nie szkodzi; ja tylko chciałem, aby mi nikt nie przeszkadzał, gdy piszę receptę.

Daremnie. Pani z gniewem odzywa się do sługi, która podsłuchuje pod drzwiami: — Jak śmiesz słuchać przez dziurkę od klucza, co mówią w drugim pokoju! — Sługa spokojnie: — Ależ pani, tak cicho tam rozmawiają, że ani słowa usłyszeć nie można!

Zagadka.

*Pierwszej wraz z trzecią, poszukaj w chle-
[wiku]
A kiedy na targu jest tychże bez liku,
To drugie i trzecie ich oceną będzie.
Gdy całość zawita, to mrok znika wszędzie.*

Znaczenie zagadki z nr 10 „Niewiasty“:

Ro—ra—ty.

Rozwiązanie wierszem nadesłał Wojciech Ożóg z Nienadówki:

Ongi, gdy w czasach wojen, Polskę napa-
[dały]
Hordy Turków, Tatarów, to zbrcjnych od-
[działy,
Polskie R o t y, spieszyły, aby kraju bronić.
Drugie z trzeciem, to R a t y; aby mienie
[chronić,
Na czas bracie je składaj, nie zwlekaj za-
[płaty.
Całość to nabożeństwo w adwencie: Ro-
[r a t y.

Prócz tego zagadkę odgadli:

Elżbieta Zontek z Kóz, Józef Frankiewicz z Wrzaw, Helena Bebakowa z Mętkowa, Walenty Wala ze Straconki, Wojciech Lubas z Gwoźnicy.



Nr. 2.

Cierpliwość i oszczędność.

Cierpliwość jest lepsza, aniżeli mądrość. Gram cierpliwości ma tę samą wartość, co kilogram rozumu. Niema człowieka, któryby cierpliwości nie chwalił, a przecieź się mało kto odznacza nią w swem życiu. Ona jest lekarstwem na wszystkie choroby, a przecieź mało kto wyznacza jej kątek w ogrodzie swoim, gdzieby właśnie mogła rozwijać się i rość. Cóż naturalniejszego, niż żalić się i narzekać, kiedy nas co boli? Koń trzepie głową, gdy go muchy gryzą; koło trzeszczy, gdy się coś przy niem złamało, a człowiek narzeka, gdy mu niedobrze na świecie. O zachowaniu naszem atoli nie powinna stanowić sama tylko natura. Od jabłoni spodziewamy się więcej owocu, niż od jakiegoś dzikiego chróstu i zupełnie słusznie. Jeżeli zważymy, że dosyć niedbale ciągniemy wóz swojego doczesnego życia, to się właściwie nie mamy na co skarżyć.

Cierpienia, to są goście, którzy przychodzą do nas nieproszeni; ale kto się wiecznie skarży, ten ich sobie sam zamawia i to całymi wozami. Niektórzy ludzie przez całe życie żują gorzką pigułkę różnych dolegliwości, a przecieźby może ani nie wiedzieli, jak gorzko ona smakuje,

gdyby się kiedy zdobyli na odwagę, aby ją naraz połknąć. Każde inne brzemie jest według ich zdania lekkie; ich własne tylko ciężkie jak ołów i nie mogą go unieść.

Narzekać człowiekowi nigdy nic nie pomoże; owcy beczącej wypada, co właśnie ma w pysku; tak samo człowiek zawsze pozbawia się jakiegoś błogosławieństwa, ilekroć zaczyna szemrać. Cierpliwość tylko ma złotą dłoń i uczy nas mocno wierzyć, że wszystko złe musi się wreszcie skończyć. Kiedy się jedne drzwi zamkną przed nami, to nam Bóg otworzy inne; gdy się nam groch nie urodzi, to się nam zato podarzą fasole. Każda rzecz ma dwie strony: dobrą i złą. Nie możemy się nigdy zakochać w nieszczęściu, chyba tak, jak kot w myszy; zawsze będziemy woleli mieć szczęście. Ale ponieważ jesteśmy ludźmi a nieszczęście chodzi po ludziach, więc trzeba dążyć do tego, abyśmy się nauczyli widzieć we wszystkim świętą wolę Bożą.

Zamiast narzekać nieustannie, myśłmy raczej o przyczynach złego, które nas trapi, i starajmy się w uczciwy sposób je usuwać.

Cierpliwość, to wielka cnota, konieczna w życiu. Pomówimy tu jeszcze o drugiej cnocie, potrzebnej dnia każdego, t. j. o oszczędności.

Cheąc być rozsądnie oszczędnym, trzeba nie na jednym, ale na wszystkim oszczędzać — ale tak rozważnie, aby to nam zbyt nie dokuczało.

I tu trochę i tam trochę, a po kruszyńce na wszystkim, gdzie tylko da się bez szkody dla zdrowia i humoru. Nie wdawać się w żadne zbytki, kupować kiedy trzeba, znać się na towarach i na ich cenie, a pilnować, by nie nie poszło na marne...

Angielski ekonomista Smils streszcza oszczędność w trzech prawidłach, któreby warto na każdym wydrukować banknocie. Brzmiały one: 1) Wydawaj zawsze mniej niż zarabiasz. 2) Płać gotówką i nie kupuj, za co płacić nie możesz, 3) Nie bierz zaliczki na niepewne zyski w przyszłości, co znaczy po polsku: nie sprzedawaj zboża na pniu.

Jeżeli jednak chcesz coś uciulać na czarną godzinę, to staraj się gospodarzyć przy pełnej spiżarni. Nic tak nie wiąże rąk jak pusta półka i próżny rądel. Co to za gospodyni, której wszystkiego brak, która co chwila wysyła dziecko lub sługę, aby kupiła to pieprzu za grosz, to cukru ćwierć funta, to soli, to maki pół funta. Sługa traci czas, odrywa się od zajęć, w domu z tego powodu nieład, a jaki to po-datek opłaca się drobnym przekupniom!

„Zbieraj się w kupę i licz się z czasem, bo ten nigdy nie cofa się wstecz” — mawiała pewna dobra gospodyni. „Kobieta przynosi więcej w fartuchu niż chłop w wozie” — perorowała, schylając się po upadły kartofel. „Ta, ta, szukasz szeląga a trzy świeceki wypalasz”. Ale koroną jej prawideł było: „Sciśnij zęby i wytrzymaj, a przeminie”. — albo: „Nigdy enota nie chodzi samopas, ale z innemi za ręce”.

Jakaż to prawda! Cóż jest oszczędność sama w sobie? Nie poparta inną cnotą, przeradza się tylko w chciwość, bezcelowe nagromadzanie grosza lub mienia, w przebrzydłe skąpstwo. W ślad za oszczędnością musi iść koniecznie zamiłowanie porządku, czystości, troskliwość, mądra oględność. Dodajmy do tych cnot wspaniałomyślność i hojność, działającą z

popudek miłości chrześcijańskiej, a podniesiemy oszczędność na szczyt, na którym stanąć może bez zarumienienia obok najwznioślejszych natchnień serca ludzkiego.

Jeżeli szlachetnie jest, gdy można podaje rękę biednemu i nasycą go okruchami z swego stołu, o ileż szlachetniejszą będzie oszczędność ubogiego sypiąca hojną dłonią stokroć uboższymi od siebie!

A przecież rzeczą jest niewątpliwą, że biedni hojniejsi są niż bogacze. Przyczyną tego jest to, że doświadczenie, przez jakie bieda przechodzi, wyrabia w niej współczucie dla niedoli bliźniego. Jeden odejmuje od własnych ust, wyrzeka się przyjemności, zadaje sobie gwałt, by wesprzeć nędzę, inny dopomaga tylko nadmiarem, którego ubytku nie czuje. Tamten musiał współczuć, ten mógł być obojętnym.

Chusta świętej Weroniki.

Dźwigając krzyż na szczyt Golgoty

Upadał Pan znużony,

Na twarz Mu były krwawe poty,

Kaleczył cień korony...

Litością wielką, bólem zdjęta

Na widok Męczennika,

Co z dusz piekielne zrywa pęta,

Podeszła Weronika.

I wiedząc, że przysługa szczerą,

Choć drobna, koi bóle,

Swoją Mu chustą twarz obciera

I zmywa krew na czole.

Gdy tej posługi dopełniła,

Na białem, czystym płótnie

Twarz się odbiła Boska, miła

Choć zadumana smutnie...

I owo bolejące lice

Zostało ku pamięci,

Przypominając tajemnicę,

Co dzieje ludzkie świeci...

O, Chryste! postać Twa świetlana

Na dnie serc naszych gości,

Widzimy wszyscy Niebios Pana,

Proroka dusz miłości...

Lecz, jak na chuście Weroniki
Twe lice smutne bardzo,
Na krzyż Cię wlecze naród dziki,
Twem słowem dzieci gardzą...
Więc na nieprawie nasze czyny
Twarz Zbawcy łzy wylewa,
Krwawią się rany w mąk godziny,
Jak z Getsemanii drzewa...
O, Chryste! zjaw się zmartwychwstały
W ludzkości całej łonie.
Hymn „Alleluja!“ pełen chwały,
Po świecie w dal powionie...

Pamiętaj, żeś śmiertelny pył!

Już jedną nogą jesteś w grobie
I naprzód tylko jeszcze krok,
A nie zostanie już po tobie
I śladu nawet twoich zwłok.
Więc abyś w Bogu zawsze żył,
Pamiętaj, żeś śmiertelny pył.

Każdemu meta tu wytknięta,
Każdego życie kres swój ma;
Gdy najmniej o tem się pamięta,
Śmierć w ślad za nami nieraz gna.
Więc Bóg to w serce twoje wrył:
Pamiętaj, żeś śmiertelny pył.

Na ziemi gościem jesteś teraz,
Kto wie, jak prędko rzucisz świat,
Wszak anioł śmierci zrywa nieraz
I świeżo rozwinięty kwiat.
Więc ty, coś w więzach świata był,
Pamiętaj, żeś śmiertelny pył.

Więc codzień być gotowym wolę,
By nie zagubić duszy mej,
I lepszą skarbiąc sobie dołę,
Chcę trzymać się nauki tej:
Przy Bogu trwaj ze wszystkich sił,
Pamiętaj, żeś śmiertelny pył.



W koszarach.

(wspomnienie z lat służby wojskowej).

Na dziedzińcu koszarowem trębacz
wytrąbił pobudkę, na której odgłos, w
stancjach wojskowych warsztatów 40-go
pułku piechoty, zawrzało jak wśród gnia-
zda os, gby je chłopiec kijem podrażni.

Pierwszy pan frajter Toczyński ziewając,
zaryczał jak zwierzę; zaraz zawtórowały
mu inne głosy: było tam słychać miau-
czenia, szczekania, skrzekotania i inne
udawania głosów zwierząt i ptaków, Tak
zwykle rozpoczynał się dzień u rzemie-
ślników, którzy mało znali karności, jak
zwykle „komandyrka“. Nareszcie pierwszy
wstał z łóżka p. frajter Kawa i jako „zim-
merkomendant“, dla dobrego przykładu,
zaczął składać łóżko na dzienny porządek,
chcąc tem zachęcić swoich podwładnych,
którzy zresztą niewiele go słuchać zwykli
i mówili mu: „Pan frajter tyle znaczy co
Ignacy — a Ignacy nic nie znaczy“.

Frajter Kawa wszystko to przyjmował
za dobrą monetę, ponieważ sam też miał
rozmaite sprawy na sumieniu wojskowem,
więc bał się doniesienia; zresztą lubiał
ich wszystkich i był od nich lubiany.

Inaczej sobie postąpił kapral Koziń-
ski — ten krzycząc „auf“ zaczął ściągać
koc z leżących na łóżkach, za co ober-
wał od jednego pasem przez plecy, lecz
gdy się obejrzał, nie zgadł który jest wi-
nowajcą.

Nareszcie, gdy już wszyscy powsta-
wali z łóżek, frajter Kawa zawołał: „zim-
merordynans, po wodę! — Dwóch panów
do kuchni po śniadanie!“ — Zimmerordy-
nans służbę pełnił żyd Streim, który
wojsko po żydowsku pojnował, to znaczy,
że na każdy rozkaz dany przez przełożo-
nego, musiał coś odpowiedzieć; więc i
tutaj niezbyt się śpieszył po wodę, lecz
powiedział: — „Nu, panie frajter, nie
krzyczcie tak głośno, bo macie tylko czte-
ry miesiące do urlopu“.

— „Cicho bądź, kożuchu (tak nazy-
waliśmy żydów), zanim ja pójde do cywila,
to ty zgnijesz w garnizonie“.

— „No panie frajter nie róbie taki strach“ — odpowiedział żyd i poszedł po wodę, a pan frajter zaczął wydawać rozkazy do rannego porządku. W parę minut później rozległ się okrzyk żołnierzy na widok śniadania niesionego przez dwóch żołnierzy.

— „Ho! kawa czarna! — czarna kawa! — schwarzer kaffee! — panie frajter kawa, macie waszą kawę!“ — Woła błady żydek Blass, podrygując w podskokach. Wraz jednak rozległy się przekleństwa: — a bodaj jasny piorun trząś! — ależ gorzka kawa! — istne pomyje! —

I rozpoczęły się klątwy i złorzeczenia pod adresem podoficera rachunkowego i kucharzy, a potem narzekania na wojsko. Kilku pobiegło do kantyny po cukier za centa, a ci którzy byli gorętszej krwi, powylewali kawę do cebrzyka; trzech odważniejszych postanowiło skarżyć się w raporcie na zły wikt. W tym celu zapisali się: szeregowiec Kut i Nowak, oraz frajter Kawa, licząc jedynie na to, że przy raporcie dają „abtreten“.

Około południa był raport. Dozorujący warsztat nadporucznik Pelz, wyprawiając tych trzech odważnych do raportu, napominał, ażeby o nadużyciach, o których wiedzieli, mówili prawdę, bo w przeciwnym razie to „dziura“.

— Nie taki djabeł straszny, jakiego malują — zamruczał pod nosem frajter Kawa i poszli do kancelaryi. Wszedłszy tu, ustawili się rzędem, ostro salutując, a frajter zameldował: — Panie oberlajtnant, melduję posłusznie, przyśliśmy do raportu.

Na te słowa suchy, wysoki nadporucznik Hittel, który był przedtem kometendantem 4-tej kompanii, oraz znajdujący się tam młody kadet i nieco przybladły podoficer rachunkowy, wstali od swoich zajęć pisarskich i przypasawszy szablę do boku, przybrali ostre postawy wojskowe. Nadporucznik Hittel pominąwszy frajtra, pyta się szeregowca Kuta, poco przychodzi do raportu? — Panie nadporuczniku melduję posłusznie — bo — bo — bo kawa była gorzka a ja widziałem, jak raz

kucharz dawał cukier jednemu pucelowi osobno do kawy.

— Cóżes ty widział? — pyta się drugiego szeregowca.

— Ja widziałem jak jeden podoficer niósł dwa sznycle, a ja tymczasem miałem jednego małego.

— Zawołać mi kucharzy! — rozkazał nadporucznik. Przyszli kucharze. Szeregowiec Kut popatrzył się na nich i zaraz mówi: — Panie oberlajtnant, melduję posłusznie, że to nie ci kucharze, tylko tamci, którzy poszli przed kilku dniami na urlop.

Nadporucznik rozgniewany takim obrotom sprawy, zaczął ostre robić wymówki, mówiąc:

Teraz przysłicie skarżyć kucharzy jak oni już są na urlopie; powinniście byli zaraz przyjść po nadużyciu do raportu, a ja byłbym kucharzy zamknął, ażeby zczernieli. Cóż macie więcej do powiedzenia?

Kut odpowiada dalej: — kawa jest gorzka, niedogotowana, porcyje mięsa małe i twarde, a papryki w rosole tyle, że nie można wziąć do pyska.

— I co więcej? — bada oficer.

— A nic już — odpowiada szeregowiec.

Nadporucznik zwrócił się z zapytaniem do oficera rachunkowego: — Ile dzisiaj było cukru do kawy?

— Dwa kilogramy.

— Ile kosztuje kawa dla jednego żołnierza?

— Pięć halerzy.

Zapienił się nadporucznik ze złości na żołnierzy i zaczął ponownie krzyczeć:

— Cóżescie w cywilu jedli? — Ziemniaki, barszcz i paciarę a tu tacyście się panowie porobili, że wam kawa nie smakuje? W rosole wam papryczki za wiele a mięsa za mało! — Niesłodka wam kawa? Ja dam któremu zaraz pięć halerzy, niech idzie do miasta i kupi sobie śniadanie, a pewnie mu nie wystarczy. Jeżeli chcecie przy wojsku mieć dobre jedzenie, to idźcie do socyalistów co siedzą w parlamencie; niech uchwalą więcej

pieniędzy na wojsko, a będziecie mieli lepszy wikt. Tu przy kompanii nikt się nie skarży na jedzenie, tylko wy z warsztatu i zarażacie mi kompanię — ab-treten!

Na taką komendę, żołnierze wyszli zawstydzeni, mówiąc między sobą: — Ależ nam dał stary cukru, jeśli tak dalej będzie, to trzeba będzie zdechnąć z głodu.

— Mało brakowało, że byłby nas zamknął, tak się stary rozsierdził — zauważył frajter Kawa.

— O, nie zarzekajcie się, panie frajter, bo i tak do dziury pójdziecie — odparł Kut.

— Wszystko mi jedno — zawołał Kawa — do urlopu mam niedaleko, to w dziurze i bez jedzenia wytrzymam. a ty rekrucie, dyndaj jeszcze dwa lata.

Tak się przekomarzając, przyszli do warsztatu z powrotem. Tu na wstępie, nadporucznik Pelz się pyta: — Co nowego?

— Panie nadporuczniku, melduję posłusznie, że pan nadporucznik Hittel powiedział nam, abyśmy poszli do socjalistów w parlamencie po pieniądze na lepsze jedzenie dla wojska — zaraportował ze złośliwą miną frajter Kawa.

Nadporucznik Pelz zachnął się i rzekł tylko: — Ej!

Tamci siedli z kwaśnymi minami do roboty.

— Cóż wyskarżyliście? — pytając ich koledzy.

— Ej nic, aleśmy pokazali, że potrafimy się o swoje upomnieć — odpowiedział Kut.

— Jużto nie wiele można się przy wojsku wystarać — rzekł kapral Koziński — chyba parę dni aresztu.

— To nic innego nie pozostaje, tylko pójść do Wicków socyalików czerwono-skórych — zażartował Toczyński.

Frajter Kawa odparł tym samym akcentem: — A jenoby!

W kilka dni później, nadporucznik Hittel, prowadził w Drohobycz swój oddział, który wskutek rozruchów tamże

powstałych, strzelał do bezbronnych robotników.

Al. Olechna.

Polki z pod zaboru pruskiego wobec wywłaszczenia.

W Urbanowie w Księstwie Poznańskim odbył się niedawno wiec kobiet polskich, na którym powzięto poniższe, mające nie tylko dla dzielnicy wielkopolskiej znaczenie, uchwały:

„W obliczu Boga, my, kobiety polskie wszystkich dzielnic i stanów, zgromadzone na wiecu w Urbanowie dnia 24. listopada 1912 roku, z powodu wywłaszczenia nas z dziedzictwa Ojców naszych: z ziemi, kościołów i domostw naszych, z głębi duszy postanawiamy uroczyście, świadome ważności chwili obecnej:

1. że ziemię, przez Ojców nam przekazaną lub własną pracą zdobytą, uważamy jako własność narodu całego, jako świętą relikwię, której frymarką nie skalamy;

2. że usiłować będziemy wykupywać ziemię z rąk obcych;

3. że w obce ręce ziemi naszej dobrowolnie nie oddamy, że stać będziemy na straży kościołów naszych i z progów naszych dobrowolnie się nie ruszymy;

4. że chociaż przemocą wywłaszczone, stron ojczystych nie opuścimy, lecz staniemy na nowym posterunku, a na ojców, mężów, braci i synów wpływać będziemy w tym samym duchu;

5. że dzieci nasze wychowywać będziemy w duchu prawdziwie narodowym, powierzając je opiece czysto narodowej, a do ukończenia średniego wykształcenia (gimnazjum szkoła wyższa żeńska) nie będziemy wywoziły ich z granic ziem polskich;

6. że rodzinom nieuświadomionym lub przeciążonym pracą pomagać będziemy w nauczaniu dzieci ojczystego języka;

7. że zawsze mówić będziemy tylko

po polsku i przestrzegać czystości mowy ojczystej;

8. że na wszystkich posterunkach narodowych pracować będziemy sumiennie i wytrwale, a dla wzmożenia pracy łączyć się będziemy w towarzystwa;

9. że zawsze i wszędzie stać będziemy na straży godności narodowej;

10. że wystrzegać się będziemy zbytków i życia nad możność, a krzewić poczucie ofiarności na narodowe cele;

11. że mienie nasze umieszczać będziemy w kasach, bankach i przedsiębiorstwach polskich — dorobek społeczny pomnażać stwarzaniem rodzinnego przemysłu;

12. że bezwzględnie spełniać będziemy hasło „Swój do swego“, w stosunku do przemysłu, kupiectwa, jako też wszelkiej zawodowej pracy, przez wzgląd na dobro ekonomiczne i godność narodową;

13. że zbierać będziemy fundusz narodowy w myśl uchwały wiecu w Inowrocławiu z dnia 21. listopada 1912 r.;

14. że szerzenie zgodnego działania i serdecznego braterstwa wszystkich stanów i zawodów uważać będziemy jako nasz najświętszy obowiązek i posłannictwo kobiety-Polki“.

ZŁOTE ZIARNKA.

Kto nigdy nie zaznał smutku, ten i kochać prawdziwie nie umie.

—o—

Mądrość bez prostoty jest pobudką do chytrłości i złości.

—o—

Droga ładu i porządku jest jedna; dróg nieporządku jest liczba nieskończona, a na nich nie wiadomo jak zachodzić i jak obiegać, by dojść celu dobrego.

—o—

Gdy raz tylko djabła wpuścisz dobrowolnie do swego domu, już ci raj w niebo zamieni.

Cnota nie jest na to, byśmy biernymi byli. Jest ona siłą, która ma nas do czynu popychać.

—o—

Światło głowy ma być ciepłem serca a mocą ręki.

—o—

Silniejszą obręczą jest miłość, niż przynus i groza.

Rady gospodarcze.

Małe dawki soli są dla bydła i owiec bardzo pożyteczne. Sól podrażnia gruczoły ślinowe do większej działalności i wskutek tego popiera trawienie. Bydłu i owcom podaje się najczęściej sól w postaci kamienia do lizania, zawieszając je u drabiny lub kładąc w żłób. Lepiej jest jednak używać soli rozdrobnionej i sypać ją na paszę. Wyrośtemu bydłociu można dać 2—3 razy w tygodniu jedną do dwóch łyżek soli. Zazwyczaj kupuje się dla inwentarza sól czerwoną, która jest o wiele tańsza.

Nigdy jednak nie należy dawać zwierzętom tak zwanych peklówek, to jest soli rozpuszczonej, pozostałej od zasolonego mięsa, śledzi, serów i tym podobnych. Takie ługi solne są trucizną dla wszystkich zwierząt bez wyjątku i zatrucia niemi ze skutkiem śmiertelnym zdarzały się już nieraz. Nie należy ludzić się tem, że zwierzęta piją ów ług bez wstrętu — pomimo to jest on zawsze szkodliwy.

Mąka owsiana jako pasza dla cieląt. Gdy cielę ma 10—15 dni, można zacząć poić je mlekiem odtłuszczonem. Każdego dnia daje się 1 litr mleka pełnego mniej, a w to miejsce daje się 1 litr mleka odtłuszczonego z dodatkiem 10 gr. mąki owsianej. Z końcem miesiąca cielę dostaje dziennie 150 gr. mąki. W drugim miesiącu i w trzecim dodaje się na 1 litr mleka odtłuszczonego coraz więcej mąki owsianej, w końcu aż do 30 gr. na 1 litr mleka. W pierwszych dniach używa się mąkę w

ten sposób, że sywie je się i rozpostart nad garnkiem półno i w ciepłą wodą, a gdy ta przecieknie, daje się ją do poidła; później można całkowicie mąkę rozrobić ciepłą wodą i do mleka dodać. Po kilku tygodniach można do mąki owsianej dobrać trochę mąki z grochu lub szablę polnego.

Wszy u cieląt i źrebiąt pojawiają się często jesienią, gdy powietrze jest zimne a pożywienie na pastwisku niedostateczne. Zimno i skąpa pasza przyczyniają się znakomicie do rozwoju wszów, gdyż nierówna w takich razach i nastroszona sierść stanowi doskonałą ochronę dla tych pasożytów. U cieląt jednakże pojawiają się wszy także przy dobrej paszy i gładkiej sierści.

Niektórzy uważają pojawienie się wszów jako dowód zdrowia i dobrego rozwoju zwierzęcia. Jest to zapatrywanie mylne. Pożytku z wszów nie ma zwierzę żadnego; niszczą mu one sierść, skórę, sprawiają swędzenie i niepokój, należy więc zwierzę copędzej uwolnić od tych uprzykrzonych gości. Środki na to są rozmaite. Dobre są zmywania skóry roztworem kreoliny lub lyzolu, przy poprzednim ostrzyżeniu sierści. Po zmyciu należy zwierzęta dobrze okryć i chronić od przeciągów. Strzydz należy zwierzęta na dworze, aby spadłe z sierścią pasożyty mogły tam zmarnieć; w stajni powłazą one wnet z powrotem na zwierzę.

Użycia maści na wszy, zawierających rtęć (żywe srebro) lub arsenik nie zaleca się, można nimi wyrządzić łatwo więcej szkody, niż pożytku. Mniej niebezpieczne są proszki, jak zachlerin i t. p., które się zasypuje i wciera aż do skóry.

Jeden z rolników poleca na wszy i inne pasożyty użycie oleju konopnego, który jest tani, łatwy do nabycia i nie posiadający żadnych własności trujących. W 2—3 godziny po nasmarowaniu skóry olejem konopnym ustaje swędzenie, a pasożyty giną. Ów rolnik używał oleju konopnego także przeciw wszom u drobiu i u psów, z dobrym skutkiem. W ogrodach zasiewają niektórzy konopie obok

zagonów z rozsada, dla odstraszania pcheł ziemnych.

Rady zdrowia.

Starania koło chorego. Chory, który kaszle i pluje, nie powinien nigdy ani połykać plwociny, ani też spluwać na podłogę, na ścianę, w gałgan albo w garść, bo to i dla niego jest niedobrze i od plwociny chorego łatwo się drugim zarazić. Trzeba więc choremu postawić do spluwania kubek lub garnuszek, do połowy napełniony wodą i do niego tylko chory powinien spluwać. Kubek ten z wodą i plwociną powinien być zawsze przykryty, aby tam muchy nie siadały i nie roznosiły potem cząsteczek plwocin po izbie. Codziennie trzeba wylać zeń plwocinę wraz z wodą do gnojówki, wychodka, czy też na pole i ziemią przypruszyć, a potem kubek gorącą wodą wyparzyć. Chorym nieprzytomnym lub bardzo osłabionym, trzeba podtrzymywać kubek do spluwania, unosząc przytem głowę chorego, a następnie obetrzeć mu usta. Można także przy łóżku chorego ustawić kubek z wodą na dnie, aby chory mógł doń spluwać. Nigdy nie stawiajcie do spluwania miseczki napełnionej piaskiem, bo w piasku plwocina wysycha i cząstki jej mogą się z prądem powietrza unieść w górę i zanieczyścić powietrze w izbie.

Jeżeli chory wymiotuje, należy chorego ułożyć na bok i dłońmi podtrzymywać jego głowę, jednocześnie za czoło i tył głowy. Wymiociny powinny być zebrane do miski i wyniesione zaraz z izby.

Gdy wymioty ustają, należy chorego obetrzeć i dać mu wody do wypłukania ust. Jeżeli po wymiotach zostają jeszcze nudności, należy dać choremu napić się zimnej wody po trochu, jeżeli można z cytryną lub kwaskiem. Pożywienie można dawać dopiero wtedy, gdy już ustają wszelkie nudności.

Rozmaitości.

Gromadny powrót do chrześcijaństwa. Wieś macedońska Sinekli była w tych czasach widownią niezwyklego obrzędn. Oto wszyscy jej mieszkańcy, od najstarszego do najmłodszego [wiekiem, ogółem 700 z górą osób, przeszli z wyznania mahometańskiego na chrześcijańskie. Są to t. zw. pomacy, bułgarzy z pochodzenia i języka, ale wyznania mahometańskiego. Poturczeni przed wiekami, obecnie zaczęli porzucać religię Mahometa i wracać do wiary ojców. Mieszkańcy Sinekli zwrócili się do Sofii z prośbą o przysłanie im duchownych chrześcijańskich. Gdy ci przybyli, cała ludność zebrała się na placu i po przemowie jednego z duchownych, mężczyźni porzucali turbany i fezy, kobiety zaś — zasłony, na znak, że stają się znów chrześcijanami. Następnie odbył się obrzęd chrztu, przy którym nowi chrześcijanie otrzymali, zamiast dotychczasowych tureckich, imiona chrześcijańskie. Wielu mężczyzn wybrało sobie imię Ferdynand na cześć nowego swojego monarchy.

Oby takich więcej. Ze Zduńskiej Woli piszą do gazet żydowskich, że za dawnych lat sklepy żydowskie bardzo dużo targały w okresie świątecznym, w tym roku jednak „żaden chrześcijanin nie zajrzał do żydowskiego sklepu, a chłopci tak samo kupowali wszystko w sklepach chrześcijańskich“. W Radzyminie, w Królestwie Polskim, na ostatnim jarmarku, wykupiono wszystko zboże, przywiezione przez włościan, aby nie dopuścić do wyzysku żydowskiego. Pomocna była kasa miejscowa, która udzieliła na ten cel, za solidarnem poręczeniem ziemian, pożyczkę w kwocie 3.000 rubli. W krótkim czasie ma tam powstać spółka spożywcza, do której wpisują się w dużej liczbie okoliczni włościanie.

ŻARTY.

Drogie jaja. Jeden z królów francuzkich podróżował raz sam, bez orszaku, chcąc by go nie poznano. Lecz gdy wstąpił do pewnej restauracyi w mieście, kelner domyślił się, co to za gość, jednak domysł swój ukrył. Król zjadłszy jajecznicę, chciał zapłacić; kelner postawił mu cenę 100 koron. — Jakto! czyż jaja są u was taką rzadkością? — Nie, tylko rzadkością są królowie, najjaśniejszy panie.

Zagadka.

Zębami ostremi wgrzynam ja się w drzewo,
A bawię, gdy skacze to w prawo, to w [lewo.

Znaczenie zagadki

z aru 1. „Niewiasty“:

Świ—ta—nie.

Rozwiązanie tejże nadesłali: E. Zontek z Kóz, Walenty Wala ze Straconki, Wojciech Lubas z Gwoźnicy, Alojzy Masny z Pietrzykowic, Józef Wałęga ze Szczyrku. Jan Ożóg z Wiśniowej i Wojciech Ożóg z Nienadówki, w takim wierszyku:

Panowie Czytelnicy i Wy zacne Panie,
Zagadki tej ostatniej macie rozwiązanie.
Chcecie wiedzieć kto odgadł? powiem bez wymówki:

Odgadł ją Wojciech Ożóg, wieśniak z Nienadówki.

Rozwiązanie: pierwsze: **świ**, trzecie: **nie**,
[to **świnie**.

Drugie: **ta**, trzecie: **nie**. Nie rad tej nowi-
[nie

Każdy co je sprzedaje; narzeka że **tanie**.
Całość: gdy noc uchodzi, nastaje **świtanie**.



Wielomówstwo.

O dawnych Polakach pewien pisarz powiedział, że oni połowę życia swego tracili na... wypowiedanie mów i prózne gadanie. Słowa te chyba z większą jeszcze słuszością można zastosować do naszych czasów. I w istocie, spojrzymy dokoła nas — cóż my widzimy i słyszymy? Oto ludzie ciągle tylko mówią, gadają i rozprawiają. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mówić trzeba, zwłaszcza w takich czasach, jak nasze, kiedy ważą się częstokroć losy społeczeństwa i narodu. Ale cała bieda na tem polega, że my najczęściej nie umiemy miary zachować i albo mówimy więcej, niż potrzeba, albo mówimy nie wówczas, kiedy potrzeba, albo — co najczęściej znowu się zdarza — mówimy tylko tak, aby mówić, dla samego gadania, z którego potem albo bardzo mało, albo zgoła nic, albo co gorzej, złe jakie wychodzi.

Jest to jedna z licznych wad społeczeństwa naszego, z której koniecznie powinniśmy się poprawić, jeżeli chcemy naszego dobra.

Pismo Święte przestrzega nas:

„Wielomówności nie będzie bez grzechu...“ (Przyp. X. 19), bo gdzie wiele mó-

wią ludzie, tam najczęściej swary, kłótnie, gniewy, obmowy, oszczerstwa, sprośne mowy i inne grzechy, a już zawsze — zamieszanie.

Ale gdybyśmy nawet i unikali tych grzechów, towarzyszących zwykle wielomówności, to już samo przez się wielomówstwo jest grzechem, bo jest ono marnowaniem drogiego czasu.

Duch św. w Piśmie św. tak radzi: „Człowiek mądry będzie milczał aż do czasu słusznego“ (Ekkł. XX. 7). Trzeba więc pamiętać i o tem, że w mowie naszej powinniśmy kierować się jaknajwiększą roztropnością i uważać pilnie kiedy i co i wobec kogo mamy mówić.

A ileż to razy, zapomniawszy o tej roztropności, mówimy wobec całego niemal świata o tem, o czem należałoby nam mówić tylko między sobą.

A w ten sposób rozprawiając o naszych sprawach zbyt już szczerze nawet wobec naszych nieprzyjaciół, czyż nie narażamy najistotniejszych naszych interesów i czyż nie wyrządzamy częstokroć wielkiej i niepowetowanej szkody nam samym? Dlaczego tak postępujemy? Bo w naturze naszej, a raczej w złym nałogu, leży to, że potrzebujemy koniecznie wygadać się!... choćbyśmy mieli przez to

siebie wystawić na pośmiewisko świata i wrogów i ojczyźnie zaszkodzić!

Wielomówstwo jest złe i dlatego jeszcze, że tak już zazwyczaj między nami bywa, iż kto dużo mówi, ten... mało robi. A jednak kiedyż więcej, jak nie w naszych czasach i w naszych warunkach potrzeba nam nie samych słów, nie mów próżnych, nie gorszących sprzeczek i waśni, ale jaknajwięcej czynów dobrych, szlachetnych i bezinteresownych dla dobra kraju i wspólnej naszej sprawy?

Patrzmy na przykład choćby na Japończyków. Ten dzielny naród, który dziś podziwia świat cały, jakże mało jest on znany ludziom, jak mało mówi o sobie, jak daleki jest od samochwalstwa, ale natomiast jak wiele on robi dla szczęścia swojej ojczyzny, jak jest dzielny i potężny!

Czy ci Japończycy nie są godni naśladowania zwłaszcza przez tych wszystkich, którzy jakby za zadanie postawili sobie — dużo mówić, a mało robić!

Wielomówność chodzi zwykle w parze z bezmyślnością, gdyż mówiąc dużo, niepodobna jest o wszystkim tem myśleć, co usta wypowiadają. I człowiek przeto się przyzwyczaja do gadaniny na oślep i do braku rozwagi.

Często spostrzegamy u dzieci zupełny brak namysłu i wszelkiej dokładności w wykonaniu jakiegokolwiek pracy. Nazywamy to bezmyślnością, ganimy ją i karciemy, karzemy nieraz, ale pocieszamy się, że z wiekiem nabędzie dziecko rozwagi, stanie się poważniejsze i stateczne.

W okresie szkolnym bezmyślność dzieci wielką jest przeszkodą w pracy zarówno dzieciom, jak i nauczycielom. Dlatego pedagogia coraz to nowe ustanawia metody i systemy, których celem jest pobudzić dziecko do myślenia. Dobry i zdolny nauczyciel zmusza nieustannie uczniów do zastanawiania się nad każdym przedmiotem, każdym zjawiskiem w przyrodzie. Skoro obudziliśmy w dziecku myśl zastanowienia, ułatwiliśmy mu nietylki naukę samą, ale daliśmy mu w rękę środek potężny, ułatwiający mu niezmiernie życie.

Człowiek myślący bowiem żyje życiem

szerszem, głębszem i doskonalszem, nie przesuwając się po powierzchni życia, lecz pojmując gruntownie obowiązki swoje względem siebie i drugich.

Badając pilnie bieg życia ludzi wybitnych, spostrzegamy u nich wyraźnie głębszą myśl nawet w rzeczach małych.

Starożytny mędrzec i nauczyciel greki Sokrates uczył swych młodych słuchaczy, że boską jest rzeczą jak najmniej potrzebować i tym sposobem nakłaniał ich do prostego sposobu życia, co było ogromną zasługą w owych czasach, gdy w ojczyźnie jego panował szalony zbytek i chęć używania.

Staszyc i Lelewel, obydwaj ludzie znakomici, stanowiący chlubę naszego narodu, uważali sobie za najprzedniejszy obowiązek oszczędność posunąć do ostatnich granic. Żyjąc w ubóstwie i prostocie, zebrał Staszyc znaczny majątek, który przeznaczył na oświatę ludu, Lelewel zaś olbrzymią pracowitością doszedł do głośniejszej sławy i zdobył wdzięczność całego narodu.

Kierujemy dzieci na ludzi myślących — w tem się zamyka cel i treść wychowawczej pracy. Myślący człowiek jest szlachetny, wyrozumiały na wady bliźnich, wybaczący urazy, zawsze skory do poświeceń. Myślący człowiek zawsze siebie nisko ceni, zawsze dąży do postępu, do udoskonalenia.

Bezmyślność jest jedną z wad właściwych kobietom i wiele przynosi szkody. Kobieta bezmyślna zawiera związek małżeński bez namysłu, często bez miłości. Obowiązki swoje traktuje lekko, powierzchownie, nie dba o to, aby miłość męża zachować. A gdy przyjdzie chwila pokusy, bezmyślna kobieta jakże łatwo ulegnie i zbłądzi! Nie myślała po prostu, że droga grzechu tak stroma jest i śliska, że jedna chwila słabości zniszczy może szczęście całego życia. — Bezmyślnością małżonków wytłómaczyć można wielką liczbę rozwodów.

Bezmyślność nie jest tylko wadą — jest nieszczęściem.

W imię Boże!

Zginęły mrozy, spłynęły lody,
w rzekach swobodnie szumią już wody,
i śnieg gdzieś zginął, co bieleł pola,
posiewu czeka uprawna rola.

Zimny spokojnej kawał był długi,
zładował każdy brony i pługi,
i nie próżnując w czasy zimowe,
rolnik swe statki ma dziś gotowe.

Przelotne ptaki calutką zgają
z gorących krain do nas wracają;
już się zajęły wróble gniazdami,
pocziwe ptaki! i w mrozy z nami.

Bydelko nasze też rade wiośnie,
krówka w oborze ryczy radośnie,
zimowa strawa teraz ją kole, —
czekaj! pastuszek pogna cię w pole.

Lecz, mimo wiosny, w calutkiej wiosce
rolnik się oprzeć nie morze trosce
i zamyślony przy pracy chodzi:
kto zboże kupi, choć się urodzi?

Kupiec za zboże dziś marnie daje,
niechętnie bierze. Serce się kraje...
Lecz rąk opuszczać nam się nie godzi, —
nie grzesz, człowieku, niech się urodzi.

Na chwałę Bożą złóż coś w ofierze,
Najświętszej Pannie pomódl się szczerze,
i pracuj dalej, a miej na względzie:
za pracę zacząć nagroda będzie!

Wojciech z Mitosny.

Przebaczenie.

Bracie! gdy ci kto wyrządzi
Jaką krzywdę czynem, słowem,
Pomnij, że Bóg nas osądzi
W przyszłym życiu zagrobowem.

Gniew, co w sercu twojem gości,
Płomień zemsty w duszy nieci,
Na ołtarzu złóż miłości,
Bo Bóg patrzy na swe dzieci.

Bo On widzi, On przenika
Twoje myśli i zamiary —
Czy to godzisz w przeciwnika,
Lub się boisz niebios kary.

Bo dlań skrytość nie nie znaczy,
Jasno widzi duszę twoją:
Ten Mu miły, kto przebaczy,
Kto daruje krzywdę swoją.

A więc bracie, jeśli miota
Tobą gniew, za przewinienie,
Pomnij, że to wielka cnota:
Winowajcom przebaczenie!

Płaszcz Judaszowy.

Kiedy Judasz dał pocałowanie Panu
Jezusowi, odszedł sobie zdala od gaju i
myślał:

— Oby mnie jeno nie oszukali, a wy-
płacili jako się godzi, one 30 srebrników.
Nie będę miał biedy: kupię sobie kawał
ziemi i będę gospodarzył jako i drugi!

Aleć w tejże samej chwili usłyszał
krzyki, które z miasta Jerozoliny dolecia-
ły aż do onego gaju. A skoro je usłyszał,
zaraz mu w piersiach coś zakolało. Tak
tedy zamroczył się i szedł, rozmyślając
chwilkę. Ale uśmiechnął się zaraz i rzekł:

— Głupi jestem!... czegoż się mam
markocić? Pieniądze będę miał, złem też
nie zdziałał... Toć ten Galilejczyk ludziom
do cna w głowie poprzewracał, prorokiem
się być mienił... jeno patrzeć, toby głupi
ni ród królem go ogłosił, a bodaj z Bogiem
na równi postawił...

A tak myśląc sobie, Judasz szedł w
gaj, czy z gaju, boć nie wiedział zgoła, w
którą szedł stronę. Księżyc świecił na nie-
bie i jasno było jako w dzień, a przecie
Judaszowi mrowie chodziło po ciele i stra-
chy go poczęły ogarniać.

— Zeby też jaki człowiek, albo i je-
szcze boskie stworzenie... raźniejby jakoś
było! — pomyślał.

A zaledwie pomyślał, zjawił się z si-
wą brodą człek, suchy, jako ten wiórek,
co z niego wszystkie soki wypilo. Szedł

zgarbiony, podpierając się kijem, a pod płaszczem coś ciężkiego dźwigał. Aż kiedy przyszedł do Judasza na trzy kroki, rzucił mu skórzany wór, a splunawszy, odwrócił się i uchodził, jako przyszedł.

Judasz pochwycił wór i wyrzucił z niego kupę pieniędzy. Były to same nowiuśkie talary, albo dukaty! Świeciły też jakoby płomień najtęższy. Judasz aż oczy ręką zasłaniał, bo mu się zdało, że oślepnie.

Trząsł się też na całym ciele z wielkiej chciwości, a co dotknął który talar, to dmuchał w palce a wołał:

— Toż ci gorące, jakby je prosto z ognia wyrzucił!...

Przeliczył jednak co do jednego.

— Nie oszukali, akurat trzydzieści! — rzekł sobie.

— Za taki pieniądz nie głupim ziemi kupować, założyć handel jaki w mieście i będę sobie pan jako i drugi.

Wtem doszły go krzyki wielkie z miasta Jerozolimy.

— Takim kawał ubieżał, a tak słyszać te wrzaski, jakby tuż pod miastem — myślał sobie, przywieszając mieszek z owymi pieniędzmi.

A ręce mu tak dygotały, że ledwie mógł sznurek zadzierzgnąć... Zarzucił też płaszcz na głowę i biegał co tchu, żeby jak najdalej uciec, a od innych gwarów z Jerozolimy się ustrzedz. Ale gdzie tam! Nie byli to też zwykły gwar mowy ludzkiej, jeno jako wycie najdzikszych bestyj, albo szum wichury, co trzęsie borem, kiedy mu wiatr gałęziami pomiata.

A rozechodziły się te wrzaski nie tylko do gaju za Judaszem, ale bodaj po całuskim świecie. Bo jako powiadają, w onej godzinie kędy tylko jaki człowiek, albo i nieme żyło stworzenie, wszystkich niepokój ogarniał... Nie wiedziano co to, ale każdy się oglądał i czuł, że coś straszliwego dzieć się musi... Ale do uszu Judaszowych doleciało:

— Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Wzdrygnął się i począł dygotać jakby go zimnica ogarnęła. Coraz to się płaszczem otulał a biegał i biegał... Aż nie-

toperz przeleciał i uderzył go suchem skrzydłem po licu. Sowy też i inne ptactwo nocne poczęło się nad nim zbierać, hukać, a dzioby wyciągać, jakby jeno, jeno go miały rozedrzeć.

Aż Judasz pociągnął znowu połę płaszcza i twarz sobie osłonił. A księżyc świecił coraz jaśniej, świecił i patrzył na świat z wysokiego nieba, jeno gwiazdy powolutku gasły. Aż i kur gdzieś zapiał, i zaraz mu inne odpowiedziały, jeden po drugim... Ale Judasz nie widział ani jasności księżycy, ani gwiazd znikających, nie słyszał też i piania kogutów, jeno leciał na oślep, jakby go kto gonił, albo i najtęższym batem podcinał.

A podczas tego i na niebie zorze przedświtywać poczęły, a na skłonie tak zaczerwieniło, jakby pożar wielką łunę rozesał...

— Judasz! Judasz! — ozwało się dokoła wołanie.

Judasz przystanął i połowę płaszcza z twarzy odrzucił. Aleć nie było to wołanie jak brat brata, albo przyjaciel przyjaciela okrzykuje, jeno wrzaski, jako gdy dziką bestyę albo i psa wściekłego pędzą. A i kamień też jeden i drugi koło Judasza przeleciał. Zmiarkował też, że nietylko że się od Jerozolimy nie oddalił, ale wszedł prawie w śródmieście...

Wreszcząc i krzycząc, szło tylu ludzi, jak jeszcze oko jego nigdy nie oglądało. A między onymi szedł Jezus, dźwigając krzyż i pod krzyżem ku ziemi pochylony.

I oto z każdego włosa Jezusowego spadał pot krwawy, bo miał koronę z cierńnią uwitą, a ostrymi kolcami w głowę wtłoczoną... Ale ci, co szli za Jezusem, nie na ów pot nie zważali, jeno przynaglając, żeby podążał, krzyczeli.

— Boć nam już i sabat nadchodzi.

Pieniądze, które Judasz miał w miešku, tak go przypiekleły, że jakoby wnętrzności mu przepaliły... Takci jeszcze prędzej biec zaczął, aż się ujrzał przed świątynią, gdzie cała żydowska starszyzna zasiadła. Ale go do tej świątyni nie wpuszczono i drzwi żelaznym drągiem zaparto. A tu go coraz więcej mieszek pali;

zęby mu szczękają jako kły wilcze! Wargi też mu się spiekły na węgiel i zecerwieśniały.

Tak tedy, nie wiele już rozważając, rzucił ów mieszek z pieniędzmi i począł biedz na oślep, jako wprzód.

Słońce wzbilo się a grzeje, ale nie złotem przyświeca, jeno czerwoną kulą, jakby je kto krwią zalał. Judasz tak się zatknął, że nie może ruszyć dalej. Stanął tedy na chwilę i rozejrzał się, ale wzdrygnął się cały.

Na wysokiej górze na Kalwaryi, stoją trzy krzyże, a na najwyższym przybity Ten, którego wydał. A w tejże godzinie niebo się zaciemniło, że i brat brata by nie poznał. Jeno tam koło głowy Ukrzyżowanego, jaśniało światło promienną jasnością. Huk się też w owej godzinie wzniósł straszliwy, jakoby się cała ziemia zatrzęsła, a niebo na nią piorunami rzucało.

Judasz biegał bez pamięci, a im więcej się oddalał, tem bardziej one trzy krzyże stały mu na oczach, a jeden z pomiędzy nich największy. Ile ubiegał drogi, sam nie wiedział; nie wiedział też zgoła, dokąd dobiegał. Paliło go wciąż na duszy, a język zesechł jak szczypa. Rzucił się pod drzewo, ale i ono nad nim zmiotania nie miało. Liście z niego nie wiedzieć gdzie się podziały w onej godzinie, gałęzie suche szeleściły, a szeleszcząc wołały:

Zdrajca! zdrajca!

Aż Judasz, odwiązawszy sznur, którym był opasany, zrobił dużą pętlę, wetknął w nią głowę, a w końcu wysoko na suche gałęzie zarzucił.

Noc się zrobiła tak czarna, jakoby zamiast nieba, piekło nad ziemią zawisło. A ptaki żarłoczne poczęły krążyć koło onego suchego drzewa, kracząc, jako kiedy się na żer zwołują.... A płacz Judaszowy się rozwiewał i pośród mgły nocnej czerwienią krwi odbijał....

Odtąd, gdy mgły wiosenne w dzień męki Jezusowej osiadają nad matką zie-

mią, widać w owych mgłach czerwone smugi o wschodzie i zachodzie słońca.

ZŁOTE ZIARNKA.

Rozumu trzeba mieć choć trochę, ale poczciwość powinniśmy mieć całą; bo pół poczciwości, to — pół łotra...

— o —

Nie każdy będzie w niebie, kto woła: O, [Panie!]
Ale z tych pewno żaden, kto wołać prze-
[stanie.

— o —

Małe nie jest małe, kiedy się z niego wielkie rodzi.

— o —

Czem dla dziecka jutro, tem dla starca wczoraj.

— o —

Są łzy, co w duszy jak ognie palą,
Są serca, co się nikomu nie żalą,
Są smutki, których już nikt nie pocieszy,
Są winy, które Bóg tylko rozgrzeszy,
Są krzywdy, którym nie dano sędziego,
Gdy więc kto cierpi — nie pytaj: „Dla-
czego?“ —

— o —

Oby na miejsce cudzoziemskich strojów,
Wróciły szaty staropolskich krojów!

— o —

Czyń to, co ci poczucie prawdy i obowiązku nakazuje i bądź spokojny, ufając Temu, który kieruje obrotem planet w przestrzeniach.

Rady gospodarcze.

Sadzenie drzew owocowych krzaczastych.
Drzewa owocowe krzaczaste są na dwa sposoby w ogrodach prowadzone; pierw-

szy sposób prowadzenia znany pod nazwą „drzew karłowych“ już jest u nas od dość dawnego czasu rozpowszechniony, pomimo, iż hodowla takich drzew wskutek dość nieprzyjaznego klimatu i niedość specjalnego traktowania przedmiotu, więcej w ujemnych aniżeli dodatnich rezultatach się przedstawia.

Drugi sposób prowadzenia drzew owocowych, pod nazwą „drzewa owocowe krzaczaste“, od niedawna się do nas przedostał. Czy te drzewa nam więcej pożytku przyniosą od drzewa piennych i karłowych, to przyszłość dopiero wykaże. W każdym razie, o ile hodowla tych drzew, będzie taka, jak w większości wypadków są drzewa u nas traktowane — tych samych możemy się po nich wyników spodziewać, jakie mamy z drzew karłowych. Różnicy pomiędzy drzewami karłowymi a krzaczastymi co do odmian niema żadnej, co zaś do sposobu hodowli różnica jest ta, iż u drzew karłowych konieczne jest nadawanie przez odpowiednie parokrotne cięcie pożądanym form i zarazem zmuszanie ich do owocowania, hodowla krzaczastych wymaga tylko przerzedzania zgęszczonych koron i odpowiedniego zasilania, co zresztą należy się każdemu drzewu, o ile jego właściciel chce z niego pożytek wyciągnąć.

Zdanie nasze co do hodowli drzew karłowych a drzew krzaczastych, jest więcej po stronie krzaczastych (o ile te będą umiejętnie obrabiane). Drzewa krzaczaste nie wymagają w cięciu szczególnych zachodów, następnie klimat nasz na cięcie drzew takie jakie bywa stosowane przy hodowli drzew owocowych formowanych, robi często w szeregach tych poważne szczyrby, krzaczaste zaś jako niepodlegające takim bolesnym operacyom, są poniekąd zabezpieczone od złych wpływów naszego klimatu.

Co zaś do pory sadzenia drzew krzaczastych, o ile te są uszlachetnione na podkładkach wolno-rosnących, t. j. pigwach, słodkach, antypkach, wiosenne sadzenie będzie najodpowiedniejsze; na zwyczajnych podkładkach (które uważamy pod drzewo

karłowe za odpowiedniejsze od wolno rosnących), może być pora sadzenia na suchszych gruntach, lepsza w jesieni, od wiosennej. Odległość sadzenia nie powinna być mniejszą niż 10 lokci, co jeszcze jest zależnem od gatunku i odmiany drzew, jak również od rodzaju podkładki.

Wielkość dołów i zaprawa tychże również jest zależna od rodzaju pokładek; dla drzew szczepionych na podkładkach wolno rosnących mogą być doły mniejszych rozmiarów, jako dla mniej się zakorzeniających; dla drzew na zwykłych podkładkach powinny być doły kopane jak pod drzewa pienne.

Zaprawa zaś, czyli zasilenie nawozami, powinno być obfite.

Rady zdrowia.

Rany. Przy zranieniach główną uwagę zwrócić należy na krwotok i przede wszystkim uważać, żeby rany nie zanieczyszczono rozmaitemi środkami będącymi czasem w użyciu u ludu, jako to: pajęczyną, gliną, nawozem krowim. Najlepszym środkiem tamowania krwotoku jest przyciśnięcie rany palcem, byle tylko czystym; przyciskać trzeba aż do przybycia lekarza, szczególnie jeśli przecięte są arterye, co poznać można niekiedy po tem, że krew z rany wytryska jak fontanna. Jeśli krwotok nie jest zbyt silny, często wystarcza przykładanie do rany kawałków czystego lodu lub też okłady z czystej wody studziennej, często zmieniane. Można także wziąć gumy arabskiej i ałunu 2 łyżeczki od kawy, utrzeć na proszek i zasypywać krwawiące miejsce. Wstrzymuje także krwotok nalewka spirytusowa na pączki brzozone lub dębowe; jeżeli tylko zraniony jest palec, moczyć go trzeba w tej wódce; jeżeli rana jest na większej przestrzeni, kłaść zmoczone okłady. Przy małych skaleczeniach (nożem, brzytwą, scyzorykiem), po zatakowaniu krwi, miejsce rozerwane ściska się ku sobie i zalepia plasterkiem angielskim. Gdy brzegi na-

brzękną lub zaognią się, to kłaść kataplamy odmiękczające, moczyć w rumianku, odmywać odwarem chinu, jeżeli ranka ropieje. Leczenie ran nie jest rzeczą tak łatwą, gdyż najczęściej przychodzą komplikacje, jako to gorączka, róża, przejście ropnia w krew; wtedy wezwać lekarza.

Rozmaitości.

O gościnności naszych przodków. Zbyteczną byłoby rzeczą wykladać, jakie zmiany czas i wykształcenie spowodowały w trybie życia naszego narodu. Hojność i gościnność była zawsze zasadą wszystkich uczt i biesiad, a chociaż czasami dochodziła do przesady, to jednak nie chcielibyśmy jej zamienić na oziębłość i skąpstwo ludów germańskich.

U najuboższych i najmajątniejszych, u kmiotka i pana, stół zawsze był nakryty obrusem, dywanem, stała na nim flaszka z napojem i kubek lub czarka, leżał chleb i sól, ażeby nim gościa powitać. Ztąd obyczaj powszechny w całej słowiańszczyźnie przyjmowania gości w progu soły; stąd grzeczność i uprzejmość w przyjęciu, stwierdzona dawnem przysłowiem:

Czapką, papką i solą
Ludzie ludzi niewolą.

Ztąd wypływały owe prośby i przemuszania do jadła i napoju w domach szlacheckich, nalegania i pewna wątpliwość, że musi być niesmaczna potrawa, skoro jej gość pożywać nie raczy, zapewnienia, że ręką samej gospodyni lub córki domu była przyprawiona. Przechowywało się to jeszcze poniekąd i u nas i u pobratymczych nam ludów.

Obyczajem było powszechnym niegdyś że w podróży nie do karczemu, nie do sajezdnym domów, lecz wprost udawano się do dworu znajomego czy nieznanego ziemianina lub proboszcza, z którym wnet tworzyła się poufalskość i każdy nie za natręctwo to uważał, lecz jak wyświadczoną sobie łaskę cenił i przyjmował najmilej.

Stąd też powszechnym było zwyczajem zostawienie kilku miejsc próżnych u stołu dla panów Zagórskich, czyli obcych, mogących jeszcze przybyć „z za gór“.

O którejkolwiek wreszcie porze przybyłeś do domu szlacheckiego, zawsze zostałeś uraczony: czekała z obiadu zostawiona najlepsza część, a przynajmniej choć jedna lub druga potrawa i w spiżarni coś przygotowanego znalazło się pod ręką, a w rychłym zestawieniu pokarmu dla gości malował się porządek domu, wprawa i pospiech sług, dobroć gospodarza i gospodyni.

Dawni Polacy — jak to nam podaje Górnicki — nie chcieli siadać u jednego stołu z tymi, którzy okazali się niedbałymi o sławę swoją. Przed kłamcami obrus krajano; tak była na względzie uczciwość i tyle ją ceniono.

Jeżeli czyj dom był tak szczęśliwy, że monarchę swego przyjmował, krzesło jego złociste stało pod baldachimem, a gospodarz sam służył u stołu.

Główną cechą uczt pierwiastkowo była prostota, która dotrwała mniej więcej aż do końca panowania Zygmunta III. Później nastał coraz bardziej wygórowany zbytek, a od wstąpienia na tron Stanisława Augusta — pewna wytrworność i wyszukaność. Zasadą jednak sposobu życia Polaków zawsze była gościnność. Polak nie lubi sam jeść, czy to u codziennego stołu, czy kiedy ma coś lepszego, więc też rad niezmiennie gościowi.

To samo można zauważyć i w niższych stanach: gdy kto zabije wieprza, upoluje cokolwiek zwierzyny, ryb ułowi lub ma jakąś nowalijkę, wnet zaprasza na nią, albo rozsyła i jemu podobną wypłacając się grzecznością. A nie czyni tego nasz ziomek ani dla ujęcia sobie kogoś, ani dla innych jakichkolwiek widoków: z mlekiem wyssał on tę gościnność, od lat najmłodszych w domu rodzicielskim i wszędzie widział jej wzory.

W sposobie raczenia Polak bywa zawsze upraejmy, otwarty, szczery, a kogo do stołu wzywa, temu i przyjacielem jest zarazem. Nie leży to w naszym charakte-

rze, aby jak Niemiec, zaprosiwszy kogoś do restauracyi, zapłacić tylko za siebie, a od zaproszonego równej wymagać opłaty.

Te cechy charakteru i płynącej ztąd gościnności z chlubą naszym przodkom przyznać możemy i szkoda byłaby doprawdy, abyśmy zbyt pod tym względem od nich wyrodzić się mieli.

Fraszki.

Szczęście w nieszczęściu. Woźnica państwa baronów, który zawsze woził ich piękną karetą, nagle zachorował, ale że państwo koniecznie musieli zdążyć na pociąg kolejowy, najeli więc na jego miejsce wieśniaka, który dotąd jeździł tylko chłopską furą. Więc też przez brak zręczności nowego furmana, karetą przewróciła się w środku miasta. Państwo przestraszyli się nagniewali, nagrozili, a woźnica wysłuchawszy wszystkiego w milczeniu, rzekł wreszcie: — Przecie to szczęście, że wywróciły się osoby a nie pakunki. — Pan baron oburzony pyta: — Jak śmiesz nazywać szczęściem taki okropny wypadek? — To całkiem słusznie panie baronie: gdyby się były wysypały worki ze zbożem albo drzewo rąbane, musiałbym je zbierać i wkładać na powrót, a osoby przecie o własnych siłach się podnoszą i wsiadają same bez pomocy.

Odwet. Pewien oficer przechadzał się z księdzem. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie stała stara zniszczona szubienica, ujrzeni przy niej stado krzyczycych kruków. Oficer żartem rzekł: — Patrz księżę, jak te ptaki cię witają, w nadziei jakiegoś łupu. — Ksiądz na to: — Tak, zdaje się, iż się cieszą myśląc, że pana przeprowadzam pod szubienicę, aby z pana miały wieszczę.

Niema się czego bać. — Przejdźmy na drugą stronę ulicy, bo tą stroną idzie Karol, któremu winien jestem 15 koron. Nie

chęć go spotkać. — Nie bój się przyjacielu, on sam przejdzie na tamtą stronę, bo mnie winien 50 koron.

Znak pewny. — Jak się miewasz, mój wuju? — Daleko zdrowszy już jestem. — Po czem to poznajesz wuju? — Po smutnych minach tych ludzi, co spodziewają się po mnie dziedzictwa.

Na wystawie broni wojennej. W jednej sali człowiek oprowadzający gości, objaśnia: — Oto pancierz, który się opiera pociskom najpotężniejszego dział. W drugiej sali inny mówi jednocześnie: Oto dział, które przebija najmocniejszy pancierz.

Chytrość kota. Nauczyciel: — Daj mi przykład chytrości kota. — Staś: — W potrawach dawanych w restauracyi, kot nieraz udaje zająca.

Zagadka.

Czyli żyjesz w trudach, czy dogadzasz
[ciału,
Codziennie się zbliżasz do mnie, choć po-
[mału.
Odgadniesz mię łatwo; a powiem zara-
[zem,
Że bez pierwszej głoski będę ja rozkazem.
Gdy mię leń usłucha, wyteży swe siły
I skutek posłuchu stanie mu się miły.

Znaczenie zagadki

z nru 2. „Niewiasty“:

„Piłka“.

Rozwiązanie tejże nadesłali:

Jan Mickiewicz z Kołpea, syn Stanisława
i Helena Holeksówna z Rzeszowa.



Zadowolenie.

Zadowolenie z losu, z zawodu, z tego co się posiada, jest pierwszym warunkiem szczęścia człowieka. A jednak jak często ludzie sami sobie zatruwają to szczęście, uprzykrzają sobie życie, uważając zawód swój lub położenie swoje za gorsze od innych.

Człowiek biedny czuje się pokrzywdzony i zazdrości tym, którzy mają majątek; ciężko pracujący zazdrości tym, których praca jest lżejsza, łatwiejsza; pracownica skarży się na swój zawód, porównując go z innymi; służąca ma sobie za ubliżenie, że musi służyć.

Tymczasem żadna praca, uczciwa, rzetelna, nie hańbi, jest owszem zasługą.

Każdy człowiek jest stworzony do pracy — wszyscy jednak nie mogą równo pracować, tak samo, jak nie mogą być równe wszystkie stany.

Różnica stanów istnieje od wieków i istnieć będzie. O tej różnicy stanów wyraża się Papież Leon XIII w następujących słowach:

„Istnieją między ludźmi już od urodzenia różnice znaczne i liczne, nie wszyscy są równi zdolnością, ochotą do pracy,

zdrowiem, a w ślad za tą nierównością konieczną, wynikającą z natury rzeczy, idzie różnaitość powodzenia doczesnego. A wychodzi to na pożytek tak jednostek, jak ogółu; życie społeczne bowiem potrzebuje różnorodnego uzdolnienia do pracy i różnorodnych czynności, a do podjęcia tych czynności skłania ludzi przeważnie nierówność majątkowa“.

Do pracy więc jesteśmy wszyscy stworzeni, tylko nie wszyscy w równy sposób — jedni pracują głową, drudzy rękoma, jedni lżej, drudzy ciężiej, a kto się nie poczuwa do tego obowiązku, ten już sam za siebie będzie zdawał rachunek przed Bogiem; nie zazdrośmy mu, że nic nie robi!

W tej różnej pracy jest jednak myśl pewna, która wyrównuje różnicę, a tą jest chęć służenia. Zadaniem każdego człowieka jest, aby komuś lub czemuś służył. Służy się dobrym sprawom, ideom, ludziom.

Tak np. żona służy mężowi, chociaż nie jest jego sługą, dzieci służą rodzicom, obywatel służy społeczeństwu, do którego należy, społeczeństwo służy swemu władcy i odwrotnie: władca narodowi — wszyscy zaś ludzie służą Najwyższemu Panu swemu, Bogu.

Nietylko więc służąca, pracownica, robotnik i t. p., ale każdy człowiek ma nad

sobą jakąś władzę, której jest podległy, której musi służyć.

Odmawiając „Anioł Pański“, wymawiamy słowa: „Oto ja służebnica Pańska“. Słowa te, których nas nauczyła Najświętsza Marya Panna, mają nam przypominać, że wszyscy jesteśmy „służebnikami Bożymi“.

Z tej nazwy winniśmy być dumni. Im większy pan, tem zaszczytniejsza u niego służba.

Na dworze królewskim urząd odzwiercnych, paziów, ochmistrzów bywa uważany za zaszczyt wielki — urzędy te piastują zazwyczaj wysoko postawione osoby. A że Bóg jest bez porównania większy od wszystkich władców świata, więc i służba u Niego jest o wiele zaszczytniejsza. Z tej służby możemy być dumni, ale zarazem winniśmy rozumieć jej godność i ważność.

Jak służymy Bogu? Służymy Mu przedewszystkiem przez to, że służbę naszą tu, na ziemi, dobrze pełniemy. Pracę więc naszą, obowiązki naszego stanu i zawodu mamy uważać za służbę Bożą i dlatego winniśmy wykonywać ją dobrze, sumiennie, obowiązkowo. Z tą myślą, że służąc innym, Bogu służymy, mamy pracować, a więc gorliwie, chętnie, a przede-wszystkiem nie uprzykrzać sobie tej czynności.

Praca, wykonywana chętnie, obowiązkowo, daje nam wewnętrzne zadowolenie, spokój serca i duszy, a co za tem idzie, szczęście. Przeciwnie, gdy ją wykonywamy niechętnie gdy nie mamy do niej zamiłowania, staje się dla nas nieznośnym ciężarem. Przytem to niezadowolenie z zawodu czyni człowieka zgorzkniałym, cierpkim, niechętnym dla drugich, psuje jego charakter, zatruwa mu życie.

Z tego wynika, że szczęśliwy może być tylko ten, kto zadowolony ze swego losu. Bo szczęście to nie majątek, nie pałace, nie zbytki i stroje, nie używanie, ani życie próżniacze, lecz owo zadowolenie wewnętrzne, płynące z przeświadczenia, że obowiązki stanu, do których nas Bóg powołał, wykonywamy dobrze i sumiennie, że darów, któreśmy odebrali, używamy Bogu na chwałę, ludziom na pożytek.

To szczęście jest dostępne dla każdego; wszyscy je mieć możemy, jeśli go dobrowolnie nie odepchniemy, nie zatrujemy zazdrością i niezadowoleniem.

Uczcie się, młodzi...

Uczcie się, młodzi,
Zawczasu znosić pracy trud i krzyżę
Bo gdy młodości przemkną lata hyże,
Niebaczny musi na szwank się narażać;
Uczcież się teraz cierpieć — i rozważać.

Uczcie się, młodzi,
Kochać tę strzechę, co wam głowy kryła
I rolę, co was chlebem swym karmiła;
Uczcie się kochać swą wioskę ojczystą,
Lasy i wodę źródeł swoich czystą.

Uczcie się, młodzi,
Kochać ten cmentarz zarosły i stary,
Co kryje kości braci jednej wiary,
Waszych pradziadów miejsce odpo-
[czynku,
Co szli przez życie w bojowym ordynku.

Uczcie się, młodzi,
Kochać tę ziemię najdroższą, rodzinną,
Z swej gościnności od lat dawnych słynną,
Z grobami tylu bohaterów mężnych
I mogiłami swych synów siermiężnych.

Uczcie się, młodzi,
Kochać swój naród w cierpieniach wytrwały,
Dziś uciemiężon, dawniej pełen chwały —
Kochajcie jego łzy i krew wylaną,
Co kiedyś wskrzesi Ojczyznę kochaną.

Uczcie się, młodzi,
Kochać tę dawną Polskę swą stolicę,
Co dziś żałobą kryje smętne lice,
Gdzie na Wawelu, zamek z dziejów
[znany
Stoi srebrzystą Wisłą opasany.

Uczcie się, młodzi...
Uczcie się z dziejów minionej przeszłości,
Czem dojść możemy do rajów wolności —

Okrutne losy, krwawe doświadczenia,
Niech będą dźwignią — Polski wy-
[zwolenia.

Czubaj Franciszek,

16-letni włościanin z pod Brzeźnicy.

Druga matka.

Kowal Andrzej Skorek żył z niebożczką żoną lat szesnaście i prócz pociągu, jaki miał do przesiadywania w gospodzie, nie zresztą nie psuło zgodności w ich życiu. Pociąg Skorka do gospody był też jedynem zmartwieniem biednej kobiety, bo zresztą, była ona w rodzinie osobą, którą szanowano i słuchano jej rozporządzeń. Andrzej, jak zwykle ludzie wielkiego wzrostu i siły, był dobroduszny, kochał żonę niezmiernie i ulegał jej. Patrzył z miłością w jej duże, błękitne oczy i podziwiał urodę, której nie straciła, pomimo pięciorga dzieci, na świat wydanych.

Kowal, prawdę mówiąc, nie bawił się nawet bardzo często w gospodzie; zjawiał się w niej tylko w soboty, po wypłacie. Gdy jednak usiadł w kącie na ulubionem miejscu, zapominał natychmiast o domu i całkowicie oddawał się zaciętym sporom z towarzyszami, których podejmował gościnie. Szklanki pióluńki i wina kosztowały dość drogo i do rozpachy doprowadzały Joannę, która przychodziła do gospody po męża.

Joanna przygotowywała wieczerzę, nakrywała do stołu i czekała na męża, wiedząc doskonale, że ten nie przyjdzie na czas. O godzinie ósmej, gdy męża wciąż nie było, traciła cierpliwość, brała na ręce dziecko, będące przy piersi i pozostawiwszy małe dzieci pod opieką starszej córeczki, Doroty, szła do gospody. Ustępowali jej z drogi najbardziej zawadający pijacy: wszyscy, znali siłę pięści Andrzeja i wiedzieli, że wymaga on bezwzględного szacunku dla żony.

Czasami kowal zauważył przyjsie żony, częściej jednak, zajęty gorącą rozprawą, nie widział jej. Stając wtedy za jego plecami, mówiła doń swym dźwięcznym,

przyjaźnym głosem żony, która kocha i szanuje męża:

— Czy wracasz wnet do domu? Już ósma godzina... Dzieci czekają głodne...

Andrzej czerwieniał wtedy i odzywał się:

— Zaraz! zaraz! Usiądź chwilkę, wypij trochę z mojej szklanki...

Zwykle nie chciała pić i stała przy nim jak żywy wyrzut sumienia, czasami zażądała od służącego szklanki lemonjady i z dzieckiem na ręku czekała cierpliwie na męża, patrząc na niego poważnie swymi niebieskimi oczami. Gospoda traciła wówczas dla Skorka cały swój urok. Nie bawiły go wesołe żarty towarzyszków, rozprawy, wino. Przychodziło uczucie jakiegoś, które go przygniatało, kępowało i kazało mu wreszcie zamilknąć. Towarzysze kowala z początku próbowali rozweselić żonę kolegi, wciągnąć do kompanii, lecz ona stawiała się jeszcze poważniejszą:

— Proszę się nie trudzić! Niech pan przestanie! — rzekła pewnego wieczoru. — Dosyć robię, że siedzę tutaj. Andrzej, powiedz mu, żeby się uspokoił!

Słowa te wpłynęły otęrażwając na-
wet na najbardziej śmiałych.

W kilka minut później (te kilka minut były niezbędne, aby nie wydawało się towarzyszom, że kowal jest pod pantoflem żony), kowal wychodził z żoną z gospody. Towarzysze pozwalali sobie śmiać się z niego dopiero wtedy, gdy odszedł już kilkanaście kroków. Pięści jego miały w całej okolicy już wyrobioną sławę... I w dodatku Skorek nie bał się nikogo, prócz żony.

Idąc do domu, kowal nachylał się nad dzieckiem i bawił się z niem, chcąc w ten sposób wywołać uśmiech na twarzy żony. Nie udawało mu się to jednak. Matka i dziecko przyjmowały jego pieszczoty zimno i Andrzej zmuszony był smutnie iść z niem, wiedząc z doświadczenia, że pochmurność żony potrwa do jutra.

Gdy pierwszy raz po śmierci Joanny, Andrzej przyszedł do ulubionej gospody,

jaskrawie oświetlonej a położonej na rogu ulicy, wieczorem cichej zupełnie, wydała mu się ona jakimś zaczarowaniem zjawiskiem. Uczuł też coś, jakby wyrzut sumienia i milcząc usiadł w swym kąciку ulubionym. Towarzysze wchodzili i w milczeniu ściskali mu rękę, rozmawiając szeptem z sobą. Widząc to współczucie ogólne, Andrzej poczuł się jeszcze samotniejszy... Z westchnieniem otarł łzę z oka...

— Cóż robić, bracie! Trzeba upokorzyć się przed losem. To jest życie! Chcesz szklaneczkę piółunówki? — mówił do kowala właściciel gospody wchodząc do sali.

Skorek wzruszony, wypił szklaneczkę, uściśnął rękę gospodarzowi, zamówił drugą porcję i uspokoiwszy się cokolwiek, zaczął opowiadać o swem nieszczęściu.

— Wyobraźcie sobie; wstała jak zwykle rano, zdrowa, świeża, jak my wszyscy. O godzinie dziesiątej przyszli po mnie do fabryki... Już wtedy nie żyła... Śmierć nastąpiła momentalnie... Ledwie zdążyła usiąść na krzesło i krzyknąć... Teraz dzieci nie mają matki...

— Jak urządziłeś się z gospodarstwem? — zapytał jeden ze słuchaczy.

— Z gospodarstwem? Doskonale. Starsza córeczka, Dorota ma już czternasty rok... wzięła całe gospodarstwo na siebie. Mogę o niczem nie myśleć. Powiedziała mi: „Ja zastąpię tatusiowi mamę... Ja dobrze wiem, jak trzeba prowadzić gospodarstwo i będę wychowywała dzieci“! Jak się to wam podoba? Co... Żebyście wiedzieli, co to za dzielna gospodyni! Gotuje obiad, szyje, pierze, odprowadza dzieci starsze do szkoły, zupełnie jak matka... Co to za szczęście dla mnie!...

— Teraz możesz przynajmniej spokojnie siedzieć w gospodzie i nikt nie wyciągnie cię do domu — zauważył blacharz, który pod wpływem wina zawsze bywał bardziej wygadany od innych.

Pozostali milczeli zakłopotani. Uwaga wydała się wszystkim za śmiała i za ordynarna. Skorek chciał narazie złapać blacharza za gardło, tembardziej, że czuł, iż blacharz ma słuszość. Kowal kochał Joannę tęsknił po niej strasznie, nie mógł

jednak nie przyznać się przed samym sobą, że jest mu bardzo przyjemnie siedzieć w gospodzie i nie myśleć o tem, że żona przyjdzie po niego i zabierze go.

— Nie będziemy lepiej mówić o tem! Dajcie tu butelkę wina! — odpowiedział z westchnieniem.

Blacharz rozumiał niestosowność swej uwagi i również kazał podać butelkę, to samo zrobił jeszcze jeden z obecnych i Andrzej paląc spokojnie fajkę, coraz bardziej zapominał o swem nieszczęściu.

— Czy wracasz ojcze prędko do domu? Już ósma godzina! Dzieci czekają głodne! — rozległ się nagle dźwięczny głos za jego plecami.

Głos zmarłej żony! Skorek krzyknął dziko i skoczywszy na równe nogi, odwrócił się, będąc pewny, że ujrzy postać Joanny, jej poważne oblicze i niemowlę na ręku, mrugające oczkami od blasku światła gazowych... Lecz przestrach jego ustąpił miejsca zawstydzeniu. Przed nim stała Dorotka wzorowa maleńka gospodyni... Skorek zrozumiał, że gosposia, jak matka przygotowała w domu wieczerzę, czekała na ojca do godziny ósmej i poszła po niego do gospody.

Wszyscy milczeli.

— Usiądź, dziecko, i napij się troszkę z mojej szklanki! — wyjąkał wreszcie strapiiony kowal.

Lecz dziewczynka okazała się daleko energiczniejsza od matki. Chciała ona zakończyć sprawę tę raz na zawsze. Towarzyczka jej spoważniała jeszcze więcej...

Rzekła z godnością:

— Dziękuję, ojczulku! Nie lubię wina, zwłaszcza przed jedzeniem, a przytem uważam, że tu nie miejsce dla dziecka. Przyszłam jedynie prosić cię, ojczulku, abyś wrócił do domu!

— Nie naprzykrzaj się nam ze swemi uwagami! — roześmiał się głośno blacharz i chciał wziąć dziewczynkę dobrodusznie pod brodę.

— Proszę odejść! Proszę pozostawić mnie w spokoju! — rozległ się dźwięczny głosik. — Ojczulku, powiedz mu, ażeby mnie nie ruszał.

— Matka! Zupełna matka — szepnął Andrzej.

W milczeniu zapłacił rachunek i pożegnał się z towarzyszami. W duszy pragnął, ażeby który z nich zażartował sobie teraz z niego... Z wielką przyjemnością zrobiłby dużą awanturę... Wszyscy jednak milczeli, jakby litując się nad nim. Skorek z opuszczoną głową wyszedł z gospody za Dorotką.

— Czy zawsze będziesz po mnie przechodziła? — zapytał ją na ulicy.

— Naturalnie — odpowiedziała spokojnie dziewczynka. — Mam jednak nadzieję, że nie zajdzie tego potrzeba. Ja nie mówię o sobie, lecz dzieci zawsze są już takie głodne o ósmej.

Kował uznał się za zwyciężonego i mileżał. Na rogu obejrzał się i rzucił ostatnie spojrzenie na jaskrawie oświetlony raj utracony. Małeńkie poważne stworzenie z zagniewaniem niemowlęciem na rękę, wyprowadzało go stamtąd n a z a w s z e.

ZŁOTE ZIARNKA.

Do serca droga przez serce.

—o—

Dobra nauka pielęgnuje młodość, pociesza starość, pomyślności blasku dodaje a w przeciwnościach ulgę przynosi.

—o—

Gdy skarby duszy zmarnujemy, niczem już ich zastąpić nie zdołamy.

—o—

To w nas żyje, co za młodu w nas wsiąkło.

—o—

Kłamca niepoprawny, wreszcie do tego dochodzi, że już samemu sobie wierzyć przestaje, choćby prawdę powiedział.

—o—

Nie rób tego, czego robić nie umiesz
A rozprawiaj o tem tylko, co rozumiesz.

Żadna jarzyna tak nie rozedmie człowieka, jak miłość własna.

—o—

Połgłówki tylko wysoko głowy podnoszą, jak puste kłosa wśród zboża.

Rady gospodarcze.

Czy sól jest dla zwierząt potrzebna?

Pośród różnorodnego pożywienia ludzi i zwierząt dwie grupy rozróżnić należy: pokarmy i używki. Pierwsze są dla utrzymania organizmu bezwzględnie konieczne, z nich uzupełnia on zużyte części; pokarmy są mniej więcej tem, czem przy maszynie paliwo i części rezerwowe, któremi zniszczone zastępujemy.

Jeżeli pozostaniemy przy tem porównaniu, to używki odpowiadają mniej więcej smarowidłu przy maszynie. Nie jest ono bezwzględnie koniecznem, ale ułatwia bieg maszyny. Używki oddziałują zazwyczaj jedynie podrażniająco na organizm, po większej części za pomocą nerwów. Mogą one doprowadzić do zaburzenia w całym organizmie, jeżeli dajemy ich za wiele, a szczególnie jeżeli dajemy używki podrażniające, bez równoczesnego podania pożywienia. Przykład najlepszy daje nam alkohol.

Jeżeli owies jest pokarmem, to bat jest używką. Brzmi to bardzo dziwnie, ale szczególnie właśnie przy utrzymaniu konia należy jak najwyraźniej zaznaczyć, że bat i ostrogi nie wydobędą sił ze źle karmionego konia.

Czy sól jest pokarmem, czy używką? Czy sól jest potrzebna dla zwierząt czyli też mogą się bez niej obyć?

Na pytanie to nie łatwo odpowiedzieć, ale jest ono tak ważnem, szczególnie ze względu na zdrowotność zwierząt, że warto głębiej nad niem zastanowić się.

Pokarmy wprowadzone do organizmu, jak n. p. owies, mąka, rozkładają się w nim, wskutek rozkładu tego wywiązuje się siła, którą zwierzę na korzyść orga-

nizmu swego zużywa. Przy rozkładzie jednak soli, a mianowicie soli kuchennej, na pierwiastki, z których powstała, t. j. na sód i na chlor, nie wywiązuje się ani siła, ani ciepło. Moznaby więc sądzić, że sól nie jest pokarmem.

Sąd byłby to zbyt pośpieszny i fałszywy. Zwierzęta roślinożerne spożywają w paszy wielkie ilości soli potasowych — a każdy gospodarz wie, że musi dodawać je roli w formie nawozu sztucznego.

W organizmie zwierzęcym, a mianowicie w krwi krążą jednak sole sodowe, przede wszystkim w formie soli kuchennej; skoro tylko w organizmie węglany potasu spożyte z paszą zetkną się z solą kuchenną, powstają węglany sodu, dla organizmu bezpożyteczne, które z moczem odchodzą.

Zwierzęta więc roślinożerne potrzebują koniecznie soli kuchennej. Z tego co powyżej powiedzieliśmy wynika także, dlaczego właśnie roślinożerne o tyle więcej soli potrzebują niż mięsożerne, u których sól znajdująca się w organizmie nie podlega ciągłemu rozkładowi.

Więcej jeszcze jest powodów, dla których sól jest zwierzętom potrzebną. Do strawienia każdego pokarmu potrzebnym jest sok żołądkowy, a ten zawiera znaczną ilość kwasu solnego, który organizm jedynie z soli kuchennej wytworzyć może.

Sól więc jest pokarmem. A teraz zbadać należy, czy pokarm ten zawiera każda pasza w dostatecznych ilościach, czy też osobno dodawać go musimy. Zależy to nie tylko od paszy, ale od roli, na której pasza ta wyrosła. Siano łącznie zawiera 0.4, koniczyna 0.34 procent soli kuchennej, podczas gdy owies tylko 0.003, a ziemniaki 0.002 proc. Wszystkie strączkowe są również w sól ubogie.

Jeżeli więc bydło dostaje paszę, w której mało jest soli, trzeba jej dodać koniecznie.

Nie potrzebujemy zupełnie obliczać, ile w każdym odpasie soli się znajduje, bo posypawszy trochę soli w koryto, zobaczymy, czy zwierzęta bardzo jej łakną lub nie.

W paszy, którą zwykle koniom daje-

my, to jest w sianie, owsie i siewce, znajdują się soli podostatkiem. Ale są konie, które potrzebują więcej soli i tylko przy dodaniu jej dobrze wyglądają, a w braku jej chudną, słabe są i szukają soli czy to liżąc ściany, czy też zjadając słomę przesiąkniętą uryną. Na takich koniach trzeba robić próbę o ile dodatek soli na nie dobrze wpłynie.

Inaczej zupełnie jak u zwierząt roboczych ma się sprawa tu u bydła przeznaczonego na tucze. U bydła przeznaczonego na tucze, wskutek paszy skierowanej na wytworzenie li tylko mięsa i tłuszczu, następuje osłabienie procesu trawienia, któremu przez dodatek soli zapobiedz możemy.

To samo i przy krowach dojnych. Jeżeli proces trawienia nie wydaje nam się normalnym, należy dać nieco soli. Jeżeli jednak krowa dobry ma apetyt i dostaje wodnistą paszę, sól jest zbyt dużą, bo wybudza pragnienie, a zbytne ilości wody ujemnieby wpływały na jakość mleka.

Każde zwierzę im starsze, tem gorzej trawi, a tem samem więcej soli potrzebuje. Najwięcej jednak potrzeba jej owcom, szczególnie jeżeli trzymamy je na stajni. Tak samo i koniom zaleca się dawać sól; pomaga to trawieniu, a koń przy soli zawsze jest rzeświejszym.

Zazwyczaj jednak sól dają bydłu w zbyt wielkich ilościach. Wystarczy najzupełniej — stosownie do wieku i wielkości zwierzęcia — na konia 1—2 łyżek stołowych, czyli 15—30 gramów na dzień, na krowę 20—50 gr., na tuczną sztukę 50—80 gr., na owcę 3—8 gr., a na świnie 1—15 gr. na dzień. Najpraktyczniej zakładać sól kamienną, którą zwierzę liże wedle potrzeby; jedynie przy bydłe na tucze przeznaczonem, gdzie chodzi o podrażnienie organów trawienia, trzeba ją zadawać z obrokiem.

Najwłaściwsza dawka dzienna jest: 25 gramów; większa wywołuje pragnienie oraz rozwolnienie osłabiające bydło.

Rady zdrowia.

Zastrzał. Żgniecenie, stłuczenie lub ułtęcie końca palca powoduje zastrzał. Jeżeli jakieś obce ciało: szkło, drzazga lub ułamana szpilka weszła w palec, potrzeba natychmiast je wyjąć, a palec wy-moczyć w wodzie z szarem mydłem. Je-żeli pomimo tego powstaje ból tępy, który się rozszerza do ramienia, łokcia i pachy, palec nabrzmiewa i zapala się się, cała rę-ka puchnie a często nawet i ramię, trzeba się udać do lekarza, żeby przez cięcie wzdluż palca zmniejszyć zapalenie i ból. Nie trzeba się z tem ociągać, gdyż wsku-tek ropienia schodzi paznokcie, kości psuć się zaczynają i palec zostaje zepsuty na zawsze. Po przecięciu trzeba moczyć w mleku, rumianku, szlazier leśnym, dopóki się nie zagoi. W mniejszym stopniu na-zywamy takie zapalenie obieraniem się palca; gdy już jest biały, potrzeba cienką igielką przekłuć, a następnie tak opatrywać jak zastrzał.

Wrzody. Jestto zapalenie bolesne ma-łej części skóry, które przechodzi w ropie-nie. Początkowo miejsce to jest stward-niałe, potem czerwieni się, a w środku formuje się biały czubek; nie jest to nie-bezpieczne, lecz dosyć dokuczliwe. Jeżeli wrzód się utworzył, trzeba przykładac ce-bulę upieczoną, albo kataplazmy z silemie-nia lnianego lub z bułki moczanej w mle-ku, ciepło utrzymywane. Dopóki trwa czerwoność, a wrzód nie zbieleje, co jest dowodem zebranego ropienia, wtedy przy-kładać masę ciągnącą, dyachylum smaro-wane na płóciennie płatki: po kilku dniach ropień obficie odpływa. Jeżeli chcemy przyspieszyć ropienie, trzeba wrzód otwo-rzyć lancetem, co uskuteczni lekarz; ran-kę przemywa się kilka razy na dzień i obwiązuje płótnem napuszczonem oliwą lub śmietanką. Jeżeli ranka długo się nie zabliznia, to przemywać wodą gulardową. Jeżeli obok jednego wrzodu formuje się kilka, duża przestrzeń skóry jest zaognio-na, czerwona, chory cierpi na gorączkę,

na bezsenność, to trzeba poradzić się le-karza.

Rozmaitości.

Wiec kobiet gornoślązkich odbył się niadawno w Bytomiu. Uczestniczki w wiel-kiej liczbie zgromadzone w celu krzepie-nia uczuć narodowych i utrwalania łączno-ści wobec zapędów germanizacyjnych, roz-poczęły zebranie odśpiewaniem pieśni do Bogarodzicy. Po nich nastąpiły przemo-wy, które wygłosili postowie: ks. Pospiech, p. Korfanty i p. Dombek, wzywając kobie-ty polskie, by nie dopuszczały do zniem-czenia dzieci swoich przez rząd pruski, który zapomniał o przysięgach dawnych monarchów pruskich mających uszanować wiarę i język ojczysty polskiego narodu, w granicach państwa pruskiego zamieszka-łego. Dzieci zniemczone są stracone dla kościoła i narodu.

Przemawiała następnie pani Dombko-wa, żona redaktora, która przytoczyła piękny wiersz Maryi Konopnickiej:

Gdy przyjdzie dzień, gdy przyjdzie czas
Sądzony od stuleci,

„O matko, czemu Niemcy z nas?“
Spytają twoje dzieci.

— „O matko, czemu fałsz i kłam
Zadałaś Boga woli,

Co polską duszę w piersi tchnął nam,
Na polskiej osadził roli?

Matko, gdzie nasza mowa jest,
Rodzinna mowa lasza,

Gdzie polski pacierz, polski chrzest,
Gdzie jest ojczyzna nasza?“

Wiece podobne, dowodzące wiary, mę-ztwa i miłości ojczyzny niewiast gorno-ślązkich, pomimo trudności i przeszkód, jakie im stawiają władze pruskie, mają się w dalszym ciągu odbywać i w innych miejscowościach.

Powrót „nieboszczyka“ z Ameryki. We wsi Kozicach, w powiecie Lubelskim, pe-

wien włościanin małorolny, wyemigrowawszy do Ameryki, dorobił się tam po kilku latach ciężkiej pracy, 4000 rubli i zapragnął wrócić do rodzinnego kraju. W drodze, jeszcze na ziemi amerykańskiej, napadł na niego jakiś drab i zrabował mu całą gotówkę wraz z paszportem. Biedak pozbawiony wszelkich środków, musiał pozostać na obczyźnie i na nowo zabrać się do ciężkiej pracy. Zgnębiony nieszczęściem, nie odzywał się wcale do rodziny. Tymczasem — trzeba szczególnego trafu — ów bandyta nagle zmarł. Władze amerykańskie, znalazłszy przy trupie paszport owego chłopca i 4000 rubli szczęśliwie jeszcze nie roztrwonione, odesłały pieniądze i akt zejścia mniemanej żonie do Kozic. Wdówka znalazła wkrótce starającego, a że babie bez chłopca w gospodarstwie „nijak“ — wyszła więc zamaż. — Po kilku latach emigrant zarobiwszy znowu kilkadziesiąt rubli wybrał się w powrotną drogę do domu, nikogo jednak o swoim przyjeździe nie uprzedzając. Przybył do domu, kiedy w chałupie odbywało się wesele najstarszej jego córki. Pojawienie się „nieboszczyka“ w orszaku weselnym sprawiło oczywiście nadzwyczajne wrażenie. Zjawili się też przedstawiciele władzy policyjnej i wszyscy obecni zostali zaaresztowani. Wkrótce sprawa wyjaśniła się pomyślnie. Konsystorz unieważnił ślub i prawowity małżonek po tych przygodach odzyskał nareszcie rodzinę i dobytek.

Straszną, śmierć złodzieja. Jeden ze złodziei ze wsi Stara Wieś w powiecie hrubieszowskim, ukradł we wsi Wiśniów karmnika, który jednak nie chciał wcale iść ze złodziejem, więc ten zarznął upartego wieprza, wypaproszył i chciał wziąć na plecy. W tym celu założył na niego postronek i postawił go na poręczy mostu, chcąc zawiązać sobie drugi koniec na pierśsiach. W tej chwili wieprz spadł z poręczy, a postronek z piersi złodzieja zsunął się na szyję i tak obaj, złodziej i wieprz zawisli po obu stronach poręczy. Przecho-
dzący rano przez most ludzie zauważyli

obu wisielców, ale już nie mogli nic pomódz złodziejowi, który tak skończył życie swe i zawód złodziejski.

Fraszki i żarty.

W szkole. — Józku, co się robi z kawałkiem żelaza, jeśli je położymy na dworze? — Zardzewieje. Dobrze; a z kawałkiem złota, czy także zardzewieje? — Nie, panie nauczycielu, bo go zaraz ktoś ukradnie.

Zagadka.

Z „ś“ widzisz wszędzie, gdzie spojrzysz
[przed siebie,
Czyto po ziemi, czy górą po niebie.
Z „k“ czem piękniejszy, tem cieszy cię
[więcej,
Podziwiasz Stwórcę i wielbisz goręcej.

Znaczenie zagadki

z 3-go nru „Niewiasty“

Grób — rób.

Rozwiązania nadesłali: Elżbieta Zon-
tek z Kóz, Ludwik Uznański z Rajbrotu,
oraz Stefka Koniorówna z Rybarzowic, na-
stępującym wierszem:

Po mizernem życiu ziemskim, czeka na
[cię grób!

By ci ziemia nie ciążyła, tak ustawnie rób,
Abyś Bogu chwałę przyniósł, a swemu
[bliźniemu,

Tyle dobra i pożytku, co sobie samemu.
Poza tem, na pierwszym miejscu stawiaj
[Polskę drogą

I czyń dla niej ile zdołasz, ile siły mgą!

Stefka Koniorówna
z Rybarzowic.



Czas — to pieniądz.

Lenistwo, to największa i najdolegliwsza nasza wada. Miłosierny Bóg nie poskąpił narodowi naszemu zdolności umysłowych, owszem, obdarzył nas pamięcią dobrą, zastosoowaniem trafnym, wyobraźnią bystrą — pomimo tego pozostajemy w tyle za innymi narodami. Przyczyna tego smutnego zjawiska leży w lekkomyślności, z jaką szafujemy czasem naszym. Jak dzieci, tracimy go na byle jake rozrywki, z których żadnej, ani materyjalnej, ani duchowej korzyści nie wyciągamy.

Żadne może inne na świecie społeczeństwo nie lekceważy sobie, tak czasu, tak go nie trwoni, jak nasze. Szczególnie na wsi rzadko kto zdaje sobie sprawę, jaką potęgą jest czas, jakim skarbem nieocenionym.

Czas, to potęga pierwszorzędna, którą taki przedsiębiorczy i pierwszy pod względem zamożności naród, jak angielski, nazwał pieniądzem. „Czas to pieniądz“ — powiada Anglik. Czas to pieniądz, — powtarza za nim Francuz, Niemiec, Włoch, Hiszpan... Ba! nietylko powtarzają, lecz prawdę tę wcielają w życie i starają się skorzystać z każdej chwili, aby z niej godziwy pożytek wynieść. Lepiej

też dzieje się im, niż nam pod względem zamożności.

Umieć skorzystać z czasu, nie zmarnować ani chwili bez pożytku, rzadko kto u nas potrafi i rzadko kto zdaje sobie sprawę ile krzywdzi sam siebie, rodzinę i gromadę całą, kiedy w zgubnem lenistwie się pograża. Nieumiejętność właśnie korzystania z czasu sprowadza pod strzechy nasze, kochani Bracia, tego strasznego wroga, któremu na imię: nędza, głód, pijaństwo.

Największe leniuchy odznaczają się tem, że nigdy nie mają czasu. Taki parobek czy dziewczka nie ma czasu iść do kościoła, nie ma czasu przeczytać pożytecznego pisma, nie ma czasu iść na naukę. Nie wie, kiedy przewalkoni cały boży dzień. Ciągłe by spał, ciągle by jadł, a swawolił bez miary!

Tymczasem wszyscy wielcy mężowie, co wsławili się za życia i są chlubą narodu, rządili się zawsze tą piękną zasadą: Grzech jest zmarnować choćby chwilę w życiu na czerpnięcie próżnowanie. Uważali oni za największe dla siebie nieszczęście, jeśli zmuszeni byli do bezczynności.

Najwyższy Stwórca tak pięknie i mądrze świat stworzył, że człowiek stateczny, pracowity, na wszystko czas znaleźć powinien.

Cyrys Smith/Inżynier/
Gedeon Spilett/Repor.

Nab/Murzyn/

Nab/Murzyn/
Harbert Browno
Ayrdon

Top-Jow

Top-Jow

Top-Jow

Nab/Murzyn/

Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że jeśli Anglik, Francuz lub Amerykanin po trzykroć więcej zarabia i byt ma dostatniejszy, to zawdzięcza przedewszystkiem umiejętnemu wykorzystaniu i wyzyskaniu czasu wszak dzień raz zmarnowany nie wraca już nigdy. Przepędziwszy próżno w lenistwie tydzień, miesiąc—mniemamy, że przyszedł miesiąc—mniejszy. Tymczasem mija przyjazna chwila do pracy, wyprzedzają nas w niej inni — strata niepowetowana nie daje na siebie czekać.

Najuczciwszy może być człowiek, najlepszy chęci, a nie wie co z czasem zrobić. Kręci się z kąta w kąt, byle czas zabić, i powiada: Nie mam co robić!

Patrzcie, nie ma co robić! A tymczasem książka gdzieś w kącie zbrukana leży, którą gdyby chciał otworzyć, przeczytać — znalazłby pocieszenie w strapieniu, naukę i radę.

Inni znów utyskują na brak czasu, lecz nie to stałe w tym razie na przeszkodzie, ale nieumiejętne użytkowanie go.

Zastanówmy się tylko, ile to czasu marnujemy po wsiach i miasteczkach na czece pogawędki, na plotki, obmowy i bezcelowe sprzeczki, zabawy, pohulanki. Zwłaszcza dziatwa wiejska i młodzież, całe długie zimowe wieczory, po większej części przepędza w bezczynności.

Jest to wielki grzech społeczny. Tę dziatwę i młodzież obowiązkiem starszych, zając elementarzem, zachęcić do pracy nad zdobyciem tej najniezbędniejszej dziś dla każdego broni, wobec wielkich życiowych burz i wypadków: o s w i a t y.. Każdy ojciec i każda matka powinna to mieć na sumieniu, że dziecko zostawione bez umiejętności czytania, pisania, rachunków, zawsze będzie sierotą — kaleką. Będzie to istota rzucona na srogą pastwę losu: głodu i poniewierki.

Baczenie tedy czuwajmy nad dziatwą i nie pozwalamy jej od najmłodszych lat próżnować. Z pracowitej dziatwy mądrzy i możni wyjdą gospodarze.

Pamiętajmy wszędzie i zawsze, że „czas to pieniądz“!

Modlitwa do Najświętszej Panny.

Matko, dla Ciebie wiosna skarby sieje
I ziemię stroi w najcudniejsze kwiaty —
Słońce żywymi blaskami jaśnieje
I rzuca Tobie złoto i szkarłaty.

Ptak wzbity w górę, Tobie pieśni
[śpiewa,
Strumyki szemrzą tajemnicze słowo,
Modlą się cicho wody, niwy, drzewa:
Bądź pozdrowiona, Matko i Królowo!

Lud Tobie wierny, dla pieśni się zbiera
Pośród zieleni przed Twoją kaplicą,
W hymnach tych prośba brzmi rzewna

[i szczerą:
Bądź pozdrowiona łask wszelkich Skarbnico!

Najświętsza Panno, co królujesz w
[niebie,

Wysłuchaj biednych Polaków wołanie:
Zlituj się, zlituj, o, błagamy Ciebie,
Niech nasza Polska rychło zmar-
[twychwstanie!

Walenty Rytko z Kęt.

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzysz twym snom,
A ciszą swą koi twe lzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, reżwiącą woń.
Skoszonych traw i płowych zbóż
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wpłatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!

M. Konopnicka.

Płomyk.

Gdy po wykopaniu ziemniaków wy-
płacono w końcu strudżonym najmitom
należność za cały czas robót polnych, po-
brali wszyscy na plecy przygotowane już
poprzednio węzłki i ruszyli pod wieczór
do najbliższej stacyi kolejowej. Przyzo-
stał tylko Wojciech Lipiecki, chłop z pod
Kościana, który przypadkiem przyłączył
się wraz z kilku innymi do obieżysasów
z Królestwa i razem z nimi pracował.
Przyszedł on dlatego, że się w dzień po-
dźwigał worem ziemniaków i czuł się ja-
kiś słaby, a powtórnie i z tej jeszcze przy-
czyny, że chciał wstąpić do baraku, w któ-
rym ludzie przez cały czas koczowali, i
zabrać stamtąd obrazek Matki Boskiej
Częstochowskiej i ołowianą lampkę. Sam
je był zawiesił, jako chłop pobożny, w ką-
cie nad swoim tapczanem, i oczywiście
szkoda mu było świętych rzeczy, a to tem
bardziej że Niemcy-lutrzy nie umieliby ich
uszanować. Więc w tym zamiarze, po
otrzymaniu zapłaty w kancelaryi, po-
włókł się do baraku wzniesionego na skraju
przestronnego pola pod lasem, układając
sobie w myśli po drodze, że się prześpi,
wypocznie, a jutro skończy pakowanie i
pociągnie za innymi.

Ale szło mu się jakoś dziwnie nie-
sporo — i czuł, że ma nogi, jak słomiane,
że krzyże go bolą i że w piersiach ma jak-
by gwoździe, które kłują go przy każdym
poruszeniu. Robiło mu się to gorąco, to
zimno. Przed samym barakiem rozebrało
już chłopca do szczętu. Tyle tylko że
wszedł, ledwo zapalił lampkę przed obra-

zem i zaraz gruchnął jak długi, na
tapczan. Masz-że teraz! Dopiero zląkł
się, bo zrozumiał, że przyszła na niego
ciężka choroba, i to tak nagle i z taką
siłą, jak latem przychodzi burza.

Odrazu stracił moc w kościach. Chciał
się przekonać i z trudem wielkim pod-
niósł rękę do czoła, następnie zawlókł ją
na piersi, ale do lewego ramienia ani rusz!
I leżał tak czas jakiś, bezwładny, jak pień.
Jednakże, ponieważ przytomność nie opu-
ściła go jeszcze, więc naprzód zdjęta go
ogromna tęsknota i żal, że ludzie już odeszli
i że został tak sam, jak Łazarz na ob-
czyźnie. Bo oto, Bóg raczy wiedzieć, kiedy
tu kto zajrzy teraz do tego baraku, a przez
ten czas nikt mu i dzbanka z wodą nie
poda. Co tu zaś przecie bywało zawsze
gwaru pod wieczór — i ludzkich głosów,
i rozmów, i narzekań, i sporów, i śmiechu,
i śpiewania! A teraz cicho. Myszy jeno,
które jesienią chronią się z pól przed
chłodami do zabudowań, chrobocą wszędy
i gryzą zawzięcie drzewo, a blisko wyga-
słego ogniska, w kupie grochowin świer-
kają świerszcze polne. Spójrzy Lipiecki
po tapczanach, stojących pod ścianami,
jakby w nadziei, że może kto zasnął i zo-
stał, spojrzy na drzwi, że może kto czego
zapomniał i wróci, ale nie widać i nie sły-
chać nic. Barak tylko wydaje mu się tak
ogromny, jak nigdy, i w głębi całkiem za-
pełniony mrokiem, bo tylko ta jedna lampka
przed obrazem go oświeca. Chłopu robi
się jakoś dziwnie nieswojo i poprostu,
straszno. Żeby choć jedna ludzka dusza
przy nim, — żeby choć jedno polskie sło-
wo ozwało się za ścianą — żeby choć
jedno! Nic i nie! A niechże to Bóg broni
chorować w takiej pustce, — zaś jeszcze
bardziej umierać bez księdza, spowiedzi i
sakramentów! Przyszło mu na myśl, że
gdyby tak umarł, to Prusaki pogrzebłyby
go na luterskim cmentarzu, a może za-
kopałyby go gdzie w polu pod borem, jak
zdechłe bydłę, albo psa.

Broń-że od tego, Matko jedyna, i ty,
Święta Barbaro, patronko dobrej śmierci.

Lipieckiemu z niemocy, żalości i utra-
pienia wezbrały łzy w oczach. Podniósł

Cyrys Smith/Inzenír /
Geddon Spilett/Repór. /
Penkroff Bonaw /Marv /

wzrok ku płomykowi, który świecił pod obrazkiem, i jął mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodziicielko” — a modlił się ogromnie gorliwie, bo to jedno dobrze rozumiał, że jeżeli Ona go nie wspomże, to będzie z nim źle. Ale już podczas modlitwy poczęło mu się tak mieszać w głowie, że nie mógł jej dokończyć. Pierwej brały go ciągoty i dreszcze, a teraz chwyciła go gorąta taka, jakby mu kto rozpalonych węgli do głowy i do piersi nasypał. I widać, że coraz z nim gorzej i coraz więcej tracił rozeznanie, gdyż nagle wydało mu się że tapczany zaczęły chodzić jeden za drugim po izbie, jak gęsi, i że z krokwi baraku zwiesiły się jakieś długie, do ziemi prawie sięgające powróśła, oblepione rojami czarnych, wielkich much. Przymknął oczy, żeby tego nie widzieć, gdyż było w tem coś tak wstrętne, że aż skóra na nim ścierpła. Tyle zachował jednak jeszcze przytomności, że powiedział sobie, iż mu są się to tylko tak przewiduje i że tego naprawdę nie ma. Jakoż, gdy otworzył znów oczy, tapczany stały po dawnemu pod ścianami, żadne czarne powróśła nie zwieszały się z pułapu i płomyk lampki palił się nad nim spokojnie. Czuł się natomiast okrutnie chory, i aż mu dziwno było, że to idzie tak prędko. Dość długo leżał bez ruchu, tylko wargi mu się trzęsły, bo od czasu do czasu brały go dreszcze. Potem jednak oblała go nowa fala żaru i powtórnie pomieszały mu się myśli. A że to w gorączce, tak jak w jasełkach, widzi się coraz to inne rzeczy, czasem straszne, a czasem miłe, więc przyszło na niego teraz widzenie błogie.

Takie zaś było wrażenie, że już nie starczyło Lipieckiemu rozeznania, żeby sobie powiedzieć, że to jest złuda, ale był pewien, że Matka Boska naprawdę cud uczyniła i kazała go przenieść aniołom w mig do Kościoła. Idzie oto szerokim lipowym gościńcem od miasta ku swojej sadybie.... Jest jesień i pogoda cudna. Liście, jedne czerwone, jak płomień. drugie żółte, spływają cicho z drzew na ziemię, bo niema żadnego wiatru. Na da-

chach domów złoci się słońce. Lipieckiemu czyni się jakoś rzewliwie na duszy, i radość zalewa mu serce. Pamięta, że był chory, ale teraz czuje się zdrow i wraca do domu. Widać już jego chałupinę za wiśniowym sadkiem, na prawo ode drogi. Tymczasem przechodzi wedle stawu, po którym, mimo jesienno chłodu, bobrują z sieciami chłopaki, a na brzegu stoi starowina proboszcz i pilnuje połowu. Przychodzi do niego chłop, całuje go w rękę, a ksiądz, spojrzawszy mu na twarz mówi: — „Bójcie się Boga, Lipiecki, a wyście się gdzie przecie tak wymizerowali”? — „Dobrodzieju — odpowiada — choróbsko opadło mnie na Saksach, alem z pomocą Bożą wyzdrowiał”. A na to ksiądz: — „Oj! — powiada — podziękujcie Matce Boskiej, bo śmierć na obczyźnie to zatrata nie tylko dla ciała, ale często i dla duszy”.

— Prawda, prawda, prawda!

Tu wśród widzeń zasnął na dobre. Ale w godzinę, albo i we dwie później, drgnął nagle i zbudził się. Wydało mu się teraz, że przytomność całkiem mu wróciła. Tylko czoło miał złane zimnym potem i poczęły mu ziębnąć ręce, nogi i nos. Ogarnęło go niewypowiedziane osłabienie. Usłyszał jęki dzwony, choć nawet myszy przestały chrobotać i była ciższa zupełna.

Pomyślał wtedy, że zaczyna konać.

Jeszcze raz chciał się przeżegnać — i nie mógł. Dalekie dzwony jęczały żałośniej i żałośniej. Lipiecki patrzył, leżąc na wznak, osłupiałemi oczyma w mrok, który w głębi izby gęstniał, czynił się coraz ciemniejszy i zdawał się toczyć, jak chmura, odedrzw, ku środkowi izby.

Jednak po chwili nieruchome już prawie źrenice chłopca rozejrzały się z trwogi i twarz pobladła mu, jak płótno, albowiem w baraku poczęto się dziać coś nadzwyczajnego i złowrogiego zarazem.

Oto ów mrok zaczął zaczyniać się w sobie, skupiać i tworzyć jakąś postać: zaokrąglił się z wierzchu niby w potworny łeb, rozszerzył się niżej w ogromny tułów, a od tego tułowia wyciągnęły się dwie długie, ciemne smugi, jak ręce.

Lipieckiemu włosy stanęły dębem na głowie, a zęby poczęły szczekać, albowiem obaczył teraz wyraźnie, że z całego tego mroku, który zalegał głąb baraku, zrobił się czarny, straszny wielkolud — i że wielkolud ten idzie ku niemu.

Jakieś niepojęte, martwe przerażenie napełniło powietrze. Powiało mrozem, jak od lodu. A potwór zbliżał się, ale posuwał się tak wolno, jak posuwają się ślepi. Jakoż istotnie w jego ohydny łbie nie było wcale oczu — i tylko ręce wyciągał coraz dalej przed siebie, macając jednostajnym okropnym ruchem po tapczanach, jakgdyby szukał, gdzie jest ta żywa ludzka dusza, po którą przyszedł.

— Jezusie. Maryo!... — krzyknął Lipiecki.

— Śmierć! śmierć!...

I w tej chwili jeszcze jedna, jasna, jak błyskawica, myśl rozświeciła mu krzepnący mózg, że to nie polska śmierć przy jasnym ognisku domowym, przy spłakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale obca, czarna, i lodowata pruska śmierć, która dławi człowieka tak niemiłosiernie, jak kat i która jest zagubą, bez nadziei i mocą bez światła, i otchłanią bez Boga.

Więc w ostatniej toni i rozpacz zwrócił jeszcze spojrzenie ku obrazowi i począł wołać gasnącym już i przerywanym przez śmiertelną czkawkę głosem:

— Panienko Najświętsza!... Ratuj!... O retę!... Ratuj!...

Czarne, straszne ręce szukały już na najbliższym tapczanie.

Ale wówczas stało się coś takiego, czego żadne ludzkie słowa dobrze nie wypowiedzą.

Płomyk od lampki przed obrazkiem oderwał się nagle i począł płynąć, jak złota pszczoła, przez powietrze ku potworowi.

Lecz rósł z każdą chwilą; w jednym mgnieniu oka z płomyka stał się płomieniem, rozpalił się, rozżarzył, zbiełał. Z boków strzeliły mu skrzydła, nad skrzydłami podniosła się głowa, jakby w koronie — i zmieniony w białopiórego ptaka, rzucił się z błyskawicą na straszego Czarno-

boga. I ujrzał Lipiecki ogromną bitwę światła z ciemnością.

Zmora skreśliła się, niby wąż, w którym utkwili żelazce. W mrocznym cielsku zasyczało coś, jak rozpalona stal w wodzie, rozległo się chrapanie i charczenie. Już ciemność wije się, rozdziera, rozpada, a orzeł razi ją, zatracą, niszczy, wypala. Zwalił się wreszcie czarny kadłub, runął łeb, rozproszyły się plugawe ramiona, poczem opadło wszystko i rozwiało się prochem marnym.

Cały barak zalało światło tak jasne, jak słoneczne.

A gdy srebrzysty ptak zmienił się napowrót w płomyk i przeleciał znów złotą pszczołką przed obraz, lipiecki spał już głębokim snem, w ciszy, jaka zalegała barak, słychać było tylko jego spokojny, równy oddech.

W kilka dni później wrócił chłop w dobrem zdrowiu do rodzinnej wioski i przez całą potem zimę — i w mieście i w chałupach — rozповідаł, co mu się owej nocy przygodziło. Więc niektórzy dziwili się wielkim dziwom, inni zaś myśleli, że to wszystko widział tylko w gorączce, albo we śnie. Jednakże proboszcz starowina, wierzył głęboko, że to był cud prawdziwy. Pewnej niedzieli powiedział nawet ludziom w kościele z ambony, że płomyk z przed oblicza Boga — Rodzicielki potrafi się na Jej rozkaz w orła przemienić i że nieraz jeszcze obroni chłop polskiego przed niejednym Czarnobogiem i niejedną zmorą śmiertelną.

Złote ziarnka.

Strzeż się zbytznego pospiechu w robocie, bo stałoby się z tobą jak z murażem niedbałym, którego zasypały gruzy lada jak stawianej budowy, choć jej jeszcze nie dokończył.

Kto się zdaje na łaskę fal morskich a nie chwytą się deski ratunkowej, ten musi utonąć, tak jak niezdarny próżniak, co się tylko na los szczęścia spuszcza.

—o—

Przemoc ani sroga niewola nie złamają człowieka, jeśli duch jego wolny, jak ptak swobodny, ku niebu się unosi.

—o—

To, cośmy przeżyli w przeszłości, niech nam będzie nauką, jak w przyszłości żyć mamy.

—o—

Człowiek prawdziwie mądry nie dobiera słów nigdy przesadzonych, ale tak zawsze przemawia, że go nieuczony prostaczek zrozumieć potrafi.

— o —

Kto ma myśl zdrową, ten wnet odróżnia prawdę od błędu, a w tem jest najwyższy rozum człowieka.

Rady gospodarcze.

Środek stwardnienia drewnianych sprzętów.

Jedną część miążskiego krzemionkowego piasku, topi się z dwiema częściami potażu, a gdy płyn ten ostygnie, rozpuszcza się go w wodzie, w której następnie drewniany przedmiot się namoczy. Po wysuszeniu, trzeba namoczyć go w cieczy składającej się 1-ej części kwasu solnego i 4 ch części wody, a po wysuszeniu, namoczyć go jeszcze w roztworze keperwasu czyli żelaznego witryolu. Drzewo nabędzie kamiennego pozoru, da się nawet polerować jak kamień i nadzwyczajnej twardości nabędzie. Środek ten stosować można do każdego drzewa, jednak udaje się najlepiej z dębem.

Rady zdrowia.

Lecznicze znaczenie miodu. Dzieci, które szybko rosną i przytem są wątłe, blade i mizernie wyglądają, samym instynktem swym odczuwają, co jest dla nich dobre, i po większej części mają nieprzeciętny pociąg do słodczy, a miód ze wszystkich łakoci najwięcej im smakuje. Nieomylny to głos natury, miód bowiem czysty, niepodrobiony, nie tylko ze względu na swój smak i aromat, o wiele przewyższa wszystkie słodczy sztuczne, ale co ważniejsza — wśród środków, zasilających sokami organizm ludzki, jest najposilniejszą i najłatwiej strawną substancją odżywczą, i dlatego miód powinien być artykułem codziennego użytku. Chleb z miodem i szklanka mleka — oto najzdrowsze i najpożywniejsze śniadanie dla dzieci, młodzieży, dojrzałych osób, starców. Lecz, poza wiele wysoką wartością odżywczą, miód posiada jeszcze i własności lecznicze. Wywiera on nader zbawienny wpływ na cały ustrój ludzki, a głównie na nerwy, na które oddziaływa uspakajająco. Z powodu wielkiej obfitości cukru, wchodzącego w skład miodu, zjawia się on przy wprowadzeniu do żołądka, jako potężna siła, jako główny czynnik wytwarzania ciepła w ciele, i taki staje się pomocnym w trawieniu osłabionem, usuwa przytem niedokrwistość i blednicę u dziewcząt. Otóż ponieważ na wsi nie jest zbyt trudno o prawdziwy miód, gdzie i cena jego jest niższa niż w miastach i o gatunek wyborowy łatwiej — troskliwie przeto o zdrowie dzieci matki, niechaj spróbują przez czas dłuższy codziennie smarować dzieciom chleb miodem, a przekonają się po kilku miesiącach, jakim to dobrodziejstwem dla zdrowia jest ów miód, którego ludzie nieoświeceni obawiają się udzielać dzieciom, w myśl zakorzenionego przesądu, jakoby słabym szkodził na zdrowiu. Miód jest w istocie samej prawdziwem lekarstwem naturalnem: użyty bowiem wewnątrz usuwa często rozpoczynający się kaszel, ka-

tar, grypę a nawet i bóle gardlane. Również niezwykle pomocnym bywa w cierpieniach jamy ustnej, narządów oddechowych, tudzież żołądka. Prócz tego, używa się jeszcze miodu przy katarze nosa, oraz kataralnem zajęciu gardła — ale wtedy musi on być ogrzany, a nawet dobrze ciepły i spożywa się go aż do czasu ulgi w cierpieniu, co 15, 20 lub 30 minut.

Rozmaitości.

Ciemnota u ludu we Francyi. Zdawałoby się, iż wśród Francuzów, którzy szczytą się największą oświatą i postępem, nie znajdują się już tacy, którzyby wierzyli w uroki i znachorów, a jednakże można ich jeszcze dużo spotkać, gdyż mimo pozornej oświaty w tym kraju, zaniedbano tam kształcenia młodzieży w duchu religijnym, w moralności i zrozumieniu praw bożych. Dlatego rośnie ona bez hamulca i w dojrzałym nawet wieku, dopuszcza się dzikich wybryków. Oto jeden z przykładów takich, jaki zdarzył się na wiosnę w wiosce francuskiej St. Remy, gdzie między innymi, mieszka hodowca nierogacizny, Lakroa. Ten zauważywszy, pewnego razu, że jego świnki jakoś straciły apetyt i chudną, za radą żony, zabobonnej kobiety, postanowił zasięgnąć pomocy znachorki, którą też z sąsiedniej wioski sprowadził.

Znachorka, udając sen magnetyczny, zmrużyła oczy i przytłumionym głosem rzekła do Lakroa:

— I wy i wasze wieprzki jesteście urzeczeni.

— Przez kogo? — zapytał świnkarz.

— Przez kogoś, kto we wsi mieszka od dwu miesięcy.

Zaczęło szukać takiego i pokazało się, iż takim człowiekiem jest tylko nowy proboszcz, Ks. Saburina. Lakroa poszedł do wsi pobliskiej na naradę z krewniakiem swym, Gotierem i stanęło na tem, iż tenże z żoną poszedł do proboszcza, prosząc, by zdjął urok rzucony na wieprzki. Zdumiony ksiądz z trudem przekonał Gotiera o niedorzeczności jego posądzeń i ten wró-

cił do domu. Nazajutrz jednak, na plebanii zjawił się Lakroa, wzywając Ks. Saburina aby przyszedł do jego żony, która jest umierająca.

Dobry kapłan nie przypuszczając podstępny, udał się do domu parafianina, lecz zaledwie wszedł za próg, drzwi na klucz zamknięto a zebrani u Lakroa ludzie, rzucili się na księdza, znieważając go i bijąc. Krzyki i hałas ściągnęły wójta, który przybywszy z żandarmami, wyratował proboszcza z zasadzki.

Wnet zaczęły następować smutne skutki zbrodniczej napaści: żona Gotiera przerażona całym wypadkiem, dostała na miejscu umysłowego obłądę. W kilka dni później, żona Lakroa wyszła z domu na gościniec, z ośmioletnią córeczką. Kobiety zajęte praniem bielizny nad rzeką, sądziły, że odprowadza dziecko do szkoły, lecz widząc że zeszła za topole przydrożne i skierowała się ku łąkom zalany woda, zaniepokojone, zawiadomiły rybaków, którzy zaraz wyszli na poszukiwanie, ale daremnie. Znaleziono nieszczęsną kobietę wraz z córeczką, w głębokim rowie, zatoniętą, bez życia.

Prócz tych dwu ofiar zgubnego zabobonu, dwie inne jeszcze osoby, z tych, które brały udział w „odeczynaniu uroków“ — popadły także w obłąkanie.

Fraszki.

Na co stajnia? — Wiele kosztuje to mieszkanie? — Tysiąc koron na rok. — A jest przy niem stajnia? — Nie, a nacóż? — wszak pan nie ma koni. — Nie na konie, ale na takie bydło, które zgodziłoby się płacić tysiąc koron za takie mieszkanie.

Kiedy pić wino. Ojciec daje rady synowi: — Kochany Michale, bądź zawsze wstrzemięźliwy. Oto patrz, ja doszedłem już późnego wieku, bo przez całe życie pijałem wino tylko w czterech przypadkach, to jest: 1) w chorobie, — 2) w gościnie, — 3) częstując gości — i 4) w różnych innych okolicznościach.

Sama się zganiała. Lokatorka A: — Ci nowi sąsiedzi są bardzo nieporządni. Nie mają ani żelazka, ani sitka do herbaty, ani czajnika. — Lokatorka B. Jakim sposobem się pani o tem dowiedziała? — Lokatorka A. Bo chciałam sobie od nich pożyczyć.

Zastrzeżenie. Myśliwy podnosi strzelbę, by strzelić do przebiegającego zająca. Strażnik lasowy, przypadkowo obecny, woła niespokojnie: — Panie, dla Boga, nie strzelaj pan! — Czemuż to? — Bo na tego zająca pan hrabia każdej niedzieli poluje!

Zręczny wybieg. Sędzia do oskarżonego: — Adwokat Szpanowski skarży pana za to, żeś pan publicznie na ulicy, powiedział, iż on jest „oszustem i grabieżnikiem.“ Czy to prawda? — Tak, to jest prawda; ale ja tego nie powiedziałem.

Podobieństwo. — Spotkałem wczoraj pewnego pana, który był nadzwyczaj do ciebie podobny. — Czy być może? — Tak był podobny, że nawet prosił mnie o pożyczanie 10 koron.

Omyłona przezorność. Doktor: — Ciesz się pani, bo w zdrowiu twego męża zaszła niespodziewana zmiana na dobre. — Pani: — Jakto, już nie umrze? — Nie, będzie zdrów; ale cóżto, nie cieszy się pani? — No, jużci cieszę; ale tak zapewniałeś mię pan wczoraj o rychłej śmierci, że już sprzedałam wszystkie jego suknie.

Nie spieszy się. Dozorca więzienia pyta zbrodniarza przed powieszeniem, czy czego nie pragnie. Ten oświadcza, że chętnie zjadłby kilka brzoskwiń. — Ależ teraz mamy styczeń! brzoskwinie jeszcze nie prędko dojrzeją. — To nie szkodzi, ja mogę zaczekać.

Napiwek. Bogaty bankier jechał do rożką i zajechawszy na miejsce, dał do rożkarzowi, prócz zapłaty, koronę na piwo. Woźnica niezadowolony rzekł do bogacza: — Syn pański ma zwyczaj dawać mi zawsze 5 koron napiwku. — O, mój kochany, ale w tem jest różnica, że on ma

bogatego a oszczędnego ojca, a ja mam młodego, marnotrawnego syna.

Stosownie do miejscowości. — Ho, ho, panie hrabio, pan jesteś w stolicy, a masz na sobie taką starą, wytartą suknię! — No, to cóż? bardzo jest dla mnie wygodna, a w stolicy nikt mię nie zna. — Ale to ubranie nosisz hrabio i w domu. — No, to i cóż? W domu przecie zna mnie każdy.

Zagadka.

*O pierwszym tyle powiedzieć mogę,
Ze niem wskazujem użytek lub drogą;
A druga z trzecią cełować ma siłą,
By z niej zawodu w potrzebie nie było.
Całość ścieśniona zasłona gór czarną, —
Do niej potoki i źródła się garną.*

Znaczenie zagadki

w rrze. 4. „Niewiasty“.

Ś-wiat — k-wiat.

Rozwiązania nadesłali: Jadzia Brużówna z Muniny, w następującym wierszyku:

Wnet woniejący usycha kwiat,
Jeśli go zmrozi ten zimny świat.

Józef Janeczko z Szonychla w takim wierszu:

Kłeska srogiej wojny gniece
Nieszczęśliwy świat,
A więc chociaż na tym świecie,
Wonny buja kwiat,
Darmo był nam na tym świecie
Słodzi kwiatu woń,
Skoro krwawy los nas gniece,
W rękę błyska broń.
Rzućcie na bok miecz, narody,
A będzie ten świat
Wnet podobny do zagrody,
Gdzie barwny lśni kwiat.



Kształcenie charakteru.

Wyraz „charakter“ pochodzi od słowa greckiego, które w języku polskim znaczy tyle co rzeźbić, żłobić. Można rzeźbić pewne rysy w skale, metalu, a tak wyłobione, pozostaną one na długie lata niezmiennie.

Podobnie jak wykute w metalu lub na skale rysy zostają niezmiennie, powinna być wola człowieka, cały jego sposób postępowania, stały i niezmienny, i wtenczas mówimy o człowieku, że ma charakter.

Bez charakteru jest człowiek, który jak chorągiewka, raz na tę — to znów na inną przerzuca się stroną; raz coś gani, a gdy ma przeciwnikowi stanąć w oczy, to znów to samo, co przedtem ganił, będzie chwalił. Bojaźń ludzi dużo u niego znaczy; na człowieku bez charakteru nie można polegać, bo nigdy nie wiadomo, jakim będzie za chwilę. To się zerwie do dobrego, a niedługo znów upadnie i stoczy się w przepaść.

Człowiek z charakterem zaś podobny jest do granitowego słupa lub potężnej wieży; choć wichry, bałwany morskie i burze zewsząd je otaczają, stoją one silne

i nieporuszone do końca. Tak i człowiek z charakterem. Może wprowadzić upaść i on, bo trudno o człowieka bez błędu i wady; jednakże u człowieka z charakterem upadki będą zupełnie przypadkowe i wyjątkowe. Wiemy, że on się dźwignie; będziemy przekonani, że zawsze na niego liczyć możemy, pozostanie on wierny swoim przekonaniom pomimo trudności i przeciwności. Takich ludzi o dobrym charakterze potrzebujemy koniecznie.

Tylko ludzie silnego charakteru są zdolni do wykonania pracy na swoją i innych korzyść; tacy tylko ludzie przetrzymają zewnętrzne i wewnętrzne przeciwności, oni tylko odważną i silną dłońą poprowadzą bieg swego życia na spiętrzonych falach codziennych kłopotów. Człowiek z charakterem zachowa równowagę duchową i cichy spokój wewnętrzny wśród niepokoju światowego; on tylko znajdzie u współbraci zaufanie, które się opiera na jego wierności, prawdomówności, sprawiedliwości, a w ten sposób zdolny jest wypełnić miejsce, na którym Bóg go postawił wśród społecznej ludzkości.

Naturalnie, kształcenie charakteru nie jest łatwe, owszem, jedne z najtrudniejszych zadań wychowania.

Zaporę wielką stanowi już słabość i

zmiennność naszej woli. Raz człowiek chce tego, drugi raz czego innego, a zawsze to, co złe i fałszywe, przychodzi nam łatwiej i bardziej nas do siebie pociąga.

Wolę naszą słabą, zmienną, przechylającą się raz na tę, drugi raz na inną stronę, nasze ciągłe wahanie i bezsilność, nasz brak wytrwałości — to wszystko mamy przekuć na siłę i wytrwałość, na moc ducha i dobroć niezmienną. Zaiste, nie łatwe to zadanie.

A dochodzą do tych wewnętrznych trudności przeciwieństwa zewnętrzne. Na każdym kroku w domu a nawet i poza domem, otaczają nieprzyjaciele silnego charakteru, każdego człowieka i każde dziecko. W domu dziecko już spotyka się to ze zniewieściałością, to z zaniedbaniem, gdzieindziej znów ze złe użytym dostatkami i bogactwem, a gdzieindziej z biedą i nędzą; samolubstwo prowadzi innych do szukania tylko własnej korzyści.

A poza domem ileż to niebezpieczeństw czyha na każdego! Lekkomysłni przyjaciele i koledzy, złe i zgubne pisma i książki, nieuczciwość i nierzetelność, rozwiązłość w mowie i rozpusta.

W takim środowisku wzrasta dzisiaj dziecię, przebywa dorosły, zewsząd niebezpieczeństwo tworzenia się silnych charakterów. Dla tego w czasach obecnych do rodziców i wszystkich wychowawców występuje tem energiczniejsze żądanie: Wyteżajcie wszystkie siły, aby dziecko uczynić moralnie silnym i mocnym człowiekiem, aby wyrobić w nim dobry charakter. A ponieważ tylko wychowawca, który sam posiada silny charakter, może go przyswoić innym, dlatego to wielkie zadanie czeka nas wszystkich. Tylko z rącej a wyteżonej pracy możemy oczekiwać dobrych owoców.

Piosnka z oddali.

Serce mi się wciąż wrywa
Do dalekich moich stron, —

Do tej ziemi ukochanej,
Serce mi się wciąż wrywa.

U nas teraz we wsi żniwa,
Złotokłosa pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozplywa.

A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej,
Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon.

I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany —
A mnie pośród obcych stron,

Snią się ciągle takie żniwa,
I te wierzby i te łany,
I do ziemi ukochanej,
Serce mi się wciąż wrywa!

L. Rydel.

Z dobrych rad.

Cheesz być czemś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie:
Nauka — do potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.

Bo wiedz — nie popchną tego wstecz,
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale!

Ignacy Baliński.

Ostatnie chwile.

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba...

— Co? Do chorego? Po dyaka niech skoczą. Niechaj cerkiew otworzy i wszystko, co rychlej przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi i słyhać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jegomości.

— Do chorego... Cóż robić! Iść trzeba, a spać tak dobrze...

Nigdy sen nie wydaje się tak smacznym, jak wówczas, gdy nam spać nie dają. Poprawił kołdrę i na chwilę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniały mu dzwony i pod wrażeniem ich dalekich, niewyraźnych dźwięków, zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, dyak już dawno czeka!...

— Czekaj? Powiedz że idę...

I za godzinę, ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, jakby w mlecznem morzu i nie widziały siebie.

Na odgłos dzwonka, ostry, przenikliwy, klękali przechodnie, jako się klękać godzi, kiedy ksiądz idzie z Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek, wiejskie, jak ciasto w dzieży rozmieszane, błoto ścięto się i świeciło brudnymi kryształami, które łamały się pod nogą i wydawały chrzęst lekkie.

Ksiądz poczuł zimno ostre i wartko się spieszył, dyak za nim kroczył w ślady i co parę kroków dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

— To tutaj — rzekł dyak.

— Tutaj? — powtórzył za nim ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Zdziwiony był, że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów, ani krewnych, ani wiejskich lekarzy, ni lekarek...

— Może to nie tu? — zwrócił się do dyaka.

— Tutaj, wiem dobrze. Toć Skrehota chory. Wejdzmy.

Więc weszli. W chacie było cichutko, pusto, jakby wymiół. Pościel na wyrku rozciągnięta, a chorego niema.

— Hej, jest tu kto? — zahuknął dyak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt mu nie opowiadał, prócz drobiu na bantach. Siedli na ławie i czekali. A tu i słońko zaświeciło i mgła się na chło-

pa od ziemi podniosła — w tem słyszą głosy: „A ciu, a ciu do chlewa!”

Stapili na próg i ujrzeli staruszka bosego, z pomierzwionym włosiem, jak ugaśniał za podświnkami tłustawymi, chcąc je namówić, by zaszły do chlewa. Lecz one widząc jego niemoc i niedołęstwo, biegały po całym podwórku dookoła i zdradzały widoczną chętkę zagładnięcia w ogród, tembardziej, że płot był lichy, a furteczka nędzna.

Staruszek krzyczał, nawoływał, wólcząc za niemi bezustanku swe bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył czas jakiś, wreszcie począł się niecierpliwić.

— A co to — powiada — co wy sobie myślicie? Wyciągacie mię z łóżka nie wiedzieć po co i na co! kto u was chory?

Stary popatrzył i przytaknął głową.

— Ta to ja, proszę jegomościa, to ja umieram.

Tego już księdzu zdawało się za dużo.

— Co to kpicie sobie ze mnie, czy jak? Umiera mówi, a za bezrogami goni po całym obejściu!...

— A jakże proszę ojca duchownego? Jak wyszły, to trza zapędzić. Poszły w ogród, albo do sąsiada... a ciu!

I kto wie, jak długo byłyby trwały te wyścigi, gdyby nie dyak. Położył dzwonek, czerwoną latarnię i podążył staremu na pomoc.

Wieprzki, widząc tak poważną osobę, w tej chwili zaszły do chlewa. Staruszek jeszcze raz pogroził im z pola i zamknął drzwiczki na grabowy kołek. Teraz dopiero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie... Bo jak to zwykle: wyszły, to trza zapędzić do chlewa.

Ksiądz proboszcz zmieknął. Miał serce dobre i wyrozumiałe.

— Ja nie gniewam się na was, — odrzekł już łagodniej — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecie moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wyspowiadać się.

— Boże ty mój! W jaką niedzielę? Ja przecież do południa, kto wie czy dociągnę... Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać! Bóg widzi, że nie kłamię.

— Będziemy to widzieć — myślał kapłan, wstępując do izby. Staruszek tymczasem zboczył do komórki i przebrał się. Wnet wrócił biały, uczesany. Ksiądz nie spieszył się — nie widział potrzeby. Rad zaś był pogawędzić ze starcem, który, mając umierać koniecznie, wieprzki zapędzał.

— A dawno-ście chorzy? — pytał siadając na ławie.

— O dawno, dawno. Tak niby boleć, to mię nic nie boli; ino siła ze mnie wyszła i już jej w kościach nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła i zimno jakieś zakrada się do piersi: wyrażnie śmierć?...

— I tak sami siedzicie jak pustelnik? Zdrowemu człowiekowi samotność niemiła, a cóż dopiero...

— Ja też, proszę księdza, nie sam. Mam dzieci, dobre dzieci. Grzech byłoby narzekać.

— Dobre dzieci, powiadacie, a o staroego nie dbają.

— Dbają, ojcze duchowny, dbają. Dziś żadne z chaty wyjść nie chciało. Obstawili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Po co tu płaczecie? Idźcie każde do swojej roboty. Mnie tu nikt nie ukradnie, nie bójcie się... A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, powiadam do starszego syna, idź na pole! Rola gotowa, dawno obsiać trzeba. Może przyjsć pogrzeb i znowu się przewlecze, a tu patrz, już przymrozki biorą. Ty — powiadam do córki — idź mi do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tutaj u naszych żydów dwa razy drożej. Synową posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść do księdza i wstąpić do cieśłów. — Zostałem oto sam i spokojnie leżę sobie na pościeli, gdy słyszę: podświńki wyszły... Patrzę przez okno, ryjkami wrota podnoszą. Trza je zapędzić pomyślałem — powlokłem się jakoś, Bogu niech będzie chwała, zapędziłem. A ojcze duchowny niech się nie gniewają na mnie, bo ja już teraz naprawdę będę umierał...

Pocałował księdza w rękę i zapewnił go święcie o swojej słabości.

— No i jakże to, nie przykro samemu? — I nie straszno? — dodał od siebie dyak.

Czego się lękać? Nikogo człowiek nie zabił, nikomu życia nie skrócił, nikogo też nie okradł. Przeżył swoje i wynoś się... To tak jak ten robotnik w polu. Ukończył pracę i hajda do chaty! Alboż nie pora? Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła odleciała, nie robić nie zdolę, a nadaremnie zdzieci objadać, to jakoś nie pięknie. W gardło nie idzie. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi... Czego ja się mam bać? Dzieci na ludzi wyprowadziłem, rozumu nauczyłem i wyposażylem... czegoż więcej trzeba?

— Możemy zaczynać — odezwał się pleban, wzruszony do żywego słowami staruszka.

— Zaczniemy z Bogiem — odpowiadał tenże, żegnając się z powagą trzy razy.

* * *

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania, gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: „Bam, bam, bam!“

Stary Skrehota zmarł.

Pszenica zasiana i podświnki w chlewie, córki z miasta ino nie widno — mógł spokojnie umierać.

Złote ziarnka.

Nie łaknij spoczynku, kiedyś stworzony do pracy.

— o —

Na wyższych fundamentach wyższy mur stać może,
I wyższy rozum tylko na głębszej pokorze.

— o —

Przedzaj się złodziej przyzna że ukradł, niż uczony, że głupstwo powiedział.

Jeszcze nigdzie takiego człeka nie widziano,
O którymby jakiego „ale“ nie słyszano.

— o —

Na tym świecie, wy to wiecie,
Różnych wiele dróg —
Ta nie zmyli w żadnej chwili,
Której celem Bóg!

— o —

Bez cnoty i roztropności,
Nauka nie ma wartości.

— o —

Koniec życia ludzkiego
Jest końcem dnia właśnie;
Im kto szczerzej pracował —
Tem spokojniej zaśnie.

Rady gospodarcze.

Ogórki kwaszone. Dno czysto wymytej beczki dębowej wykłada się liściem winogronowym, wiśniowym i koprem, na to układa się czysto wytarte świeże ogórki. zerwane w pogodę (zrywane i kwaszone po deszczu psują się), a nie mające żadnej skazy. Na te ogórki daje się liścia dębowego i winogronowego, i tak, przekładając warstwami, raz liści raz ogórków, napełnia się beczkę. Wstawia się dno i otworem szpuntowym nalewa się pełno solonej wody. Na jedną kwartę wody liczy się kopiasta łyżka soli, dobrze się miesza i zalewa ogórki. Po zalaniu wodą otwór zaspuntuje się; gdyby na drugi dzień wody było zamało, to się dolewa posolonej wody, jak powyżej podano. Otwór zalewa się lakiem, a beczkę stawia się w piwnicy na dwóch polanach. Z początku tacza się dwa razy na tydzień, żeby ogórki jednakowo kwaśniały.

Drugi sposób jest następujący: Zebrane ogórki moczy się kilka godzin w zimnej wodzie studziennej, potem wyciera każdy płótnem albo szczotką, żeby zielo-

ny nalot troszkę obetrzeć. Przygotować korzenie: selerów, pietruszki, cebuli po kilka sztuk, stosownie do wielkości beczki, w której mamy kwaszić, trochę liści czarnej porzeczki i kopru. Ogórki układa się najlepiej w beczulce dębowej, przekłada przygotowanymi korzeniami, następnie zalewa wodą przegotowaną i osoloną. W każdych 12 kwartach wody rozpuszcza się funt soli. Po napełnieniu beczki zaspuntować, albo ogórki przycisnąć denkiem. Niektórzy dodają jeszcze spirytusu w stosunku pół kwarty na garnek wody.

Gęsi do chowu można jak wiadomo, trzymać lat kilkanaście, nawet lepsze są na ten cel gęsi starsze, gdyż więcej jaj znoszą i lepiej je wysiadują. Należy tylko od czasu do czasu postarać się o gąsiora z innego stada — nazywa się to odświeżaniem krwi. Nowego gąsiora należy sprowadzić wcześniej, aby gęsi przyzwyczaiły się do niego, zanim nieś się zaczęła, w przeciwnym razie jest niebezpieczeństwo, że gęsi gryzłyby nowego gąsiora, a jaja niosłyby niezaplodnione. Gęsi, przeznaczonych do chowu, nie należy żywić zbyt obficie, gdyż przez to stają się leniwe, zaczynają się nieś o wiele później i znoszą jaja o miękkiej skorupie. Najlepiej wypuszczać je codziennie na dwór bez względu na stan powietrza. Jeżeli niema śniegu, wychodzą gęsi chętnie na pastwisko, szukając zeschłej i zmarzłej trawy, którą chętnie zjadają. Gdy śnieg wszystko okryje albo też mroźne nastaną wiatry, wtedy wystarczy gęsiom jakakolwiek szopa dla ochrony. Tam można im porzucić marchew, ćwikłę i t. p. Wieczorem dopiero dać trochę owsa lub kukurydzy, ale nigdy tyle, aby gęsi tłuszcz osadzać zaczęły.

Rady zdrowia.

Śmiertelność wśród dzieciąt podczas upałów. Z nastaniem gorących dni letnich,

zazwyczaj wzrasta liczba wypadków śmierci między dziećmi i to następuje nieraz już w 8 dni po nadejściu upałów. W kilku tygodniach, śmierć wyrwa od łona matek, dziesiątą prawie część niemowląt, zwłaszcza po większych miastach, a ten pomór znika dopiero z nadejściem chłodniejszego powietrza.

Ten każdoroczny wzrost letniej śmiertelności, wydaje się już wielu matkom, jako rzecz nieunikniona, a jednak przyczyna jego leży właśnie przeważnie w złe zrozumianej i nieroztropnej troskliwości matek, które z wielkiej miłości dla dziecka — a czasem z niedbalsstwa, same mu szkoda przesadą w otulaniu lub brakiem uwagi.

Oto pomyślmy, co każdy z nas dorosłych, czyni podczas letnich upałów: zrzucawszy z siebie ciężką odzież, ubieramy się lekko, otwieramy okna dla przewiewu, bierzemy kąpiele, w miejsce silnych, ciężkich potraw, używamy raczej owoców, jarzyn, mleka a położywszy się na spoczynek, przykrywamy się bardzo lekko.

Czyż nie powinniśmy tych samych dogodności dać i dzieciętkom, których natura przeciw równie tego wymaga? Czemuż matki tak ciasno krępują powijakami te biedne istotki, lub zapinają w poduszki, jakby im uciec chciały, choć jeszcze chodzić nie mogą — albo zakrywają je pierzynkami, pod którymi tamte duszą się prawie z gorąca? Przytem choć dzieci, nie mają pragnienia, matki dręczą je nieraz mlekiem lub różnemi polewkami, tak, że z nadmiernego przeciążenia pokarmem, wytwarzają się choroby żołądkowe, w skutek przegrzania się, następuje też często biegunka z wymiotami i dziecko umrzeć musi.

Niech troskliwość matek będzie rozumna. Skoro więc nastąpi letnia pora a z nią ciepło, trzeba dać dziecku ubranie całkiem luźne, główka jego niech będzie całkiem wolna, równie jak nóżki, bez żadnych otuleń; zamiast pierzynki użyć do nakrycia bardzo lekkiego kocyka, który łatwo często wyprać można. Wszelkie fi-

ranki z łóżeczka zdjąć, aby dziecko nie zatrutowało się własnymi wyziewami, bo dla rozwoju płuc, potrzebuje czystego, świeżego powietrza. Potrzebuje też słonecznego światła jak roślina, tylko bezpośrednio na palące promienie słońca wystawiać go nie można.

Co do odżywiania, to wystrzegać się trzeba przeładowania dziecięcego żołądka; jest zawsze lepiej, gdy dziecię dostanie pożywienia cokolwiek za mało niż za wiele. Niemowlęta do 2 miesięcy życia, karmić należy co 2 lub 3 godziny; starsze, do 6-ciu miesięcy, coraz rzadziej, a później to już najwiecej 5 razy w ciągu doby.

Jeśli dziecię odłączone, ma po jedzeniu pragnienie, najzdrowszym dla niego napojem jest czysta woda bez żadnej przymieszki. Wymioty i biegunki są dowodem, iż w żołądku dziecka jest coś niestrawnego, czego pozbyć się usiłuje; nie należy więc mu wówczas dawać żadnego pokarmu, boby się chorobę pogorszyło.

Matka, która ostrożności te zachowa i roztropne umiarkowanie w odzieży i karmieniu dziecka zastosuje, uchroni je od niebezpieczeństwa letniego pomoru i okaże, iż jest rozumnie i prawdziwie kochającą rodzicielką.

Rozmaitości.

Plotkarstwo przyczyną nieszczęścia. W Hanowerze pewna wdowa popełniła samobójstwo, ponieważ wśród jej znajomych zaczęły się o niej szerzyć plotki, które w wysokim stopniu sławie jej szkodziły.

Niech to będzie przestrogą dla tych, którzy swych długich języków za zębami trzymać nie umieją, ale przy każdej sposobności je rozpuszczają, aby bliźniego oczernić. Plotkarzy i plotkarek mamy sporo; ludzie rozsądni i uczciwi powinni im to rzemiosło obrzucić.

Odstrasżający przykład złości. Galenus, jeden z najslawniejszych lekarzy starożytności, opowiada, że będąc jeszcze dzie-

kiem, widział pewnego razu człowieka, który nie mogąc odrazu kluczem drzwi otworzyć, w taką wpadł złość, że nogami bił we drzwi, poten pięściami groził w niebo i okropnie przeklinał. Widok ten zrobił na Galena takie wrażenie i taki w nim wywołał wstręt do gniewu, że już w całym życiu nie dał się unieść tą namiętnością.

Umarły uciekł. Policję francuską zajmuje niezwykle fakt. Żyje sobie w Paryżu, czy też obecnie gdzieindziej, niejaki Billotet, przestępca kryminalny. Aresztowany, uciekł przez okno z urzędu policyjnego, ale przytem zranił się, został zehwytany i umieszczony w „Hotel Dieu”. Wyzdrowiał, ale tymczasem, niewiadomo kto i jakim sposobem stwierdził urzędownie, że Billotet umarł. Nieżyjący złoczyńca uciekł jednak po raz drugi — tym razem aresztowany za opór okazany policyi, z więzienia policyjnego — uciekł tak samo przez okno, ale nadwyreżył sobie nogę i znów go schwytano. Odłożono jego sprawę — rzecz działa się 30 czerwca — do 8 lipca. Ale, o dziwo! Prezes izby sądowej stwierdził jednocześnie, że sprawa Billoteta, jako umarłego musi być umorzona, ponieważ na jego aktach napisano „zmarł”. I sprawę umorzono. Jednakże „żywy nieboszczyk”, umieszczony znowu w „Hotel Dieu”, gdzie go zapisano, jako że „złamał nogę”, zachował się tak uprzedzająco grzecznie, taki był miły, że przestano go tak surowo pilnować, a kochanka jego przyniosła mu spodnie i kamizelkę, jakich używają malarze. Ponieważ zaś właśnie pracowano w „Hotel Dieu” nad upiększeniem ścian malowidłami, więc Billotet, z garnkiem farby w ręku, wymknął się przez otwartą bramę — i tyle go widziano. Kiedy się wydało, że Billotet żyje i że uciekł, w policyi nastąpiły różne zabawne sceny, zaczęto poszukiwać „umarłego”, który już jednak zdążył zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Gaz. „Matin” ogłasza powyższą sprawę jako krytykę sprawności policyi paryskiej.

Pomnik dla pierwszego człowieka. Dzi-

wny człowiek w Baltimore, John P. Brady, postanowił wystawić pomnik pierwszemu człowiekowi świata. Roku 1909 podłożony został też rzeczywiście kamień węgielny pod pomnik protoplasty Adama. Dziś ten osobliwy i jedyny na świecie pomnik jest już ukończony. Dziennik „Strand Magazine” podaje opis dziwnego monumentu. Według tego opisu podstawę pomnika tworzy dwuwieżowa skała, schodząca się u góry. Skała ta zupełnie nie jest obrobiona. Na szczycie skały ustawiony jest trójkąt z brązu, zwrócony swym szczytem ku wschodowi. Na frontowej stronie pomnika znajduje się napis: „Na pamiątkę Adama, pierwszego człowieka”. W środku cokołu zaś, na którym wznosi się trójkąt, znajduje się wyryte wieczne motto: Sic transit gloria mundi. Osobliwy ten pomnik stoi w parku House, na przedmieściu Baltimore, gdzie mieszka i szczególny ofiarodawca pomnika Brady. Na wiele zapytań, dlaczego przyszedł pan Brady na myśl wystawienia pierwszemu człowiekowi pomnika, odpowiada on stale, iż jeśli tylu wątpliwej wartości ludzi uznaje świat za godnych pomnika, to tem bardziej należy się ten pomnik pierwszemu człowiekowi ziemi, protodłascie całego rodu ludzkiego, Adamowi. Pan Brady dodaje nie bez racji: Adam był jedynym człowiekiem, którego życie wywarło nieograniczony ani niezmienny wpływ na życie całej ludzkości. Po prostu dlatego należy się uczynić coś dla pamięci naszego praojca.

Fraszki.

Leniuch.

— Słuchaj Józefie, nasz kolega Piotr chodzi przez całą noc po pokoju, aby nie zasnąć. — Dlaczegoż to? — Bo śniło mu się niedawno, że jakąś mozolną pracę wykonywał i od tego czasu boi się położyć do łóżka.

Szczerość.

Gość w restauracyi: — Chciałbym dziś zjeść coś dobrego. — Kelner (po cichu): Poczekaj pan trochę, za godzinę mam czas wolny, to pana zaprowadzę do innej restauracyi.

Dla proporcyi.

Rekrut: — Panie wachmistrzu, te pantalone są na mnie za ciasne. — Wachmistrz: To nieprawda. (do kucharza:) Odtąd dawać tylko pół porcyi jedzenia temu rekrutowi.

Porada.

— Panie doktorze, wypilem przez omyłkę, truciznę, zamiast wodki; co mam teraz zrobić? — Napisz pan testament.

Kłopotliwe pytanie.

Zapłakany Grześ wraca ze szkoły do domu. Na pytanie troskliwej matki, rzecze: — Pan nauczyciel mnie wybił! — Za co? — Bo nie umiałem mu odpowiedzieć na pytanie. — A jakież to było pytanie? — On pytał, dlaczego wetknąłem szpilkę do jego krzesła.

Kto pożalowania godniejszy.

Kat prowadzi skazanego na szubienicę. Czas szkaradny, deszcz leje jak z cebra. — Co za słota przebrzydła! — mówi z jękiem skazany. Na to kat: — Ty jeszcze narzekasz! Wszak ty już tam zostaniesz a ja jeszcze muszę raz iść tą drogą z powrotem!

Niesłuszne podejrzenie.

— Czego płaczesz? — pyta pokojówki, wracający do domu gospodarz, — Pani mówi, że ukradłam 12 łyżek! — A to nie jest prawda? — O nie, bo już dawno jednej do tuzina brakowało.

Ze stali.

Cyrulik goli wieśniaka brzytwą nieco tępą. Ten znosi to długo, wreszcie pyta: —

Z czego jest wyrobiona ta brzytwa? — Ze stali. — No, teraz rozumiem, dlaczego mi w oczach iskry latają.

Z konieczności.

— Ty mężusiu, masz bardzo zły zwyczaj, bo mówisz przez sen. — Cóż mam robić moja miła, przecież w dzień nie mogę nic powiedzieć, bo ty ciągle gadasz.

Kredyt.

— Za buty zapłacę panu dopiero za 3 miesiące. Chętnie przystaję na ten warunk. — A kiedyż te buty będą gotowe? — Także za 3 miesiące.

Dwoj brzydale.

Pan Szpetnicki wygląda oknem ze swego mieszkania. Ulicą idzie pan Szkaradowski i rzecze: — Dzień dobry panie Szpetnicki! — Dzieńdobry, panie Szkaradowski! — Dlaczego pan psujesz piękność ulicy, wystawiając na widok swą obmierzłą twarz? Lepiejbyś pan zrobił, chowając się w kąt pokoju, a sadzając w oknie, swoją małpę. — Już próbowałem to robić, ale wtedy przechodzący ludzie, pozdrawiali małpę w oknie, wołając: — „Dzień dobry mości Szkaradowski!”

Zagadka.

Pierwsze oznacza część jedną całości.
Drugie, choć światła drobnych moc przynosi,
Zmusza, by światłem rozproszyć ciemności.
Całość połowę onej drugiej głosi.

Znaczenie zagadki z nru 5-go „Niewiasty“:

Do-li-na.



Rozum a religia.

Pęd ku religii posiada każdy człowiek. Stąd też rzadki jest ten, co by temu przeczył. Są wprawdzie ludzie, którzy odrzucają religię, żadnej w niej nie widząc wartości życiowej — ale niemal każdy z nich stara się wytłumaczyć takie postępowanie i uniewinnić stan duszy, wyjąłkowej z religii. To właśnie tłumaczenie się i uniewinnianie najlepszym jest dowodem, że na dnie duszy przebywa tęsknota do Boga. Często słyszeć dziś można zdanie: „Obywam się bez religii, bo mi wystarcza mój rozum“.

Czy to jest prawda? Czy rozum ludzki zdoła istotnie zastąpić religię?

Zdanie to wygląda na pozór bardzo ponętnie. — Nie dziw więc, że się go czepia i mały i wielki, że je powtarzają ci, co prawdą pozorną umieją tłumaczyć sumienie.

Kto atoli oko swej duszy zapuści na dno tego zdania, ten rychło odkryje, że właśnie ta wymówka jest żywym dowodem płytkości umysłu tych, którzy się nią posługują.

„Obywam się bez religii, bo mi wystarcza mój rozum“. Jestto zdanie pyszne i kłamliwe.

Posłuchajmy pogańskich mędrców starożytności. Sokrates powiada: „Potrzebny nam jest koniecznie mistrz, któryby nas nauczył zachowywania się wobec Boga i ludzi“.

Mówiąc o sprawach religijnych i moralnych Plato tak się wyraża: „Szybko i łatwo możemy się tych rzeczy nauczyć, jeżeli znajdziemy nauczycieli, jeżeli jednak Bóg nie wskaże drogi, nikt ich nie zdoła nas nauczyć“.

Arystoteles, jeden z największych mędrców, jakich ludzkość wydała, wyznaje szczerze, że żaden człowiek nie posiada tyle nauki, by zdołał dojść do zbawienia o własnych siłach bez Bożej pomocy. A kiedy konał, wyrzekł owe pamiętne słowa: „Dubius vivi — incertus morior“. Żył w wątpliwościach — umieram w niepewności. Słowa te skupiają w sobie historię myśli świata pogańskiego. Sokrates, Plato, Arystoteles, owi mistrze gorejący jakby jasne światła na wielkim ołtarzu nauki, wyznawali szczerze, że im rozum nie wystarcza! A co mówią mędrcy doby chrześcijańskiej? Jeden powiada: „Nauka powierzchowna oddala od Boga, głęboka prowadzi do niego“. — Drugi: „Ostatecznym wynikiem rozumu, to uznanie, że jest wiele rzeczy, których tenże nie zdoła ogarnąć“. — Trzeci: „Słabet tylko duchy, są-

dzą, że wszystko mogą zrozumieć i wytłumaczyć! — Czwarty: „Nadymajmy się pychą ile tylko chcemy, stojąc na szczytach filozofii i rozumu, ale któż z nas może patrzeć bez zawiści na owe tłumy wier-nych, wracające od Stołu Pańskiego, od-młodzone na sercu i z nowym życia za-pasem? Mamy może silnego ducha, ale w duszy dręczy nas smutek i niepokój. Czemuż to nie możemy zawołać: „Ach, dlaczego i ja nie jestem z ich liczby, naj-mniejszym z ich dzieci“?

(Dokończenie nastąpi.)

WYBÓR.

Nad zieloną niwą skowronek podlata,
Poszli chłopcy z wioski gdzieś na koniec
[świata,

Poszli na wojenkę hen, na pole chwały,
Smutno rżały konie, smutno trąbki grały.

Spiesz dziewczę w pole, echo wtórzy w
[lesie,

Co snop dziewczę zerznie to głowę podniesie
I długo oczyma w dal po drodze wodzi...
Lato, jesień mija — nie wracają młodzi.

* * *

Dziewczyńo niebogo, kogo żal ci, kogo?
Trzech ich do twej chaty posyłało swaty,
Posyłało swaty, matce się kłaniało,
Któregoż z nich dziewczę, serce twe wy-
[brało?

Serdeczna dziewczyna, mile trzech wspo-
[mina,

Za każdego szczerze, odmawia pocierze,
Odmawia pocierze, żali się i smuci:
Kiedy trzech nie mogą, niech choć jeden
[wróci!...

* * *

Z brzękiem, szczękiem, gwarno, rojno
[powracają swoi;

Zapłonione, uśmiechnięte dziewczę w pro-
[gu stoi,

Odświętna sukienka, w warkocz wplotła
[kwiaty.

Cała wioska tłumnie wyległa przed chaty.

„Witaj ojcze, witaj wiatko, witajcie dziew-
[częta“!

Cała wioska w karczmie hula, dzień ten
[popamięta.

Grajku, rznij od ucha! Każdy wybrał swoją.
„Patrzcie, przed tą jedną trzej tancerze
[stoją“!

* * *

„Dziewczyńo kochanie, kto cię z nas do-
[stanie?

Patrz, jam kochał stale, wiozłem ci korale,
Weź, na szyję wdziej,
Godne krasy twej“!

Dziewczę dar przyjmuje, ślicznie zań
[dziękuje.

Czyliż jeszcze może wahać się w wyborze?
W tłumie gwar i śmiech:
Słuchaj wszystkich trzech“:

* * *

„Wojna dobre żniwo, wracam, patrz, bogaty,
Pół wioski ci kupię za moje dukaty,
Pół wioski ci kupię, kupię wioskę całą,
Powiedz ojcze, matko, czyliż jeszcze mało“?

Ona głowę schyla, rada słów tych słucha,
Ojciec w ką ją bierze, szepece coś do ucha,
Szepece coś do ucha, radzi i tłumaczy.
„Tego chyba weźmie, nie może inaczej“!

* * *

„A mnie nic nie dała ta wojenka cała,
Prócz tęsknoty samej i na czole szramy,
Nie mam ja dukatów, nie mam ja korali,
Tylko krzyż ten mały, co na pierś mi dali.

Żarem słońce piekło, krew ścinała chłody,
Rwała mi się dusza do mojej zagrody,
Rwała mi się dusza przez góry i łąny
Do tej dziewczki mojej, do tej ukochanej.

Darów ci nie wiozę w złocie, ni też w
[srebrze,

O nic cię nie proszę, nie błagam, nie
[żebrzę,

Jam nic okrom sławy nie wziął z walki
[pola...

Nie chcesz mię mieć takim — dziej się
[Boża wola“!

* * *

Słucha dziewczę, słucha, śmieje się i płoni,
Rączki obie składa w dzielnej chłopca dłoni
I w taniec z nim idzie — w tańcu rej
]prowadzą,

W kącie ojciec z matką o weselu radzą.

Grajku różnij od ucha, nastrój skrzypki
[nowe,

Hula wioska cała za szczęście Jankowe!
Hej! do białej zorzy grały skrzypki, grały;
Smyczki z rąk wypadły, struny się porwały.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

(Opowiadanie podróżnika z wycieczki w Tatry.)

Zima była ostra, śniegi spadły w górach. Korzystając z kilku dni swobodnych, wybrałem się w góry, by przez węgierską stronę dostać się do Zakopanego. Przed Nowym Targiem zboczyłem na prawo, i przeszedłszy pod śliczne zamki orawskie, dostałem się na Węgry, a idąc doliną Waagu, przybyłem do Szmeksu. Stamtąd przez Keszmark dążyłem ku Zakopanemu.

Zrazu droga trudna nie była, ale nad wieczorem wiatr zaczął suchym śniegiem dąć, ściemniło się, a ścieżki znaleźć nie mogłem. Po dłuższej walce, z radością zobaczyłem w dolinie światło, a znałem dosyć okolicę, by wiedzieć, że się zbliżam do Bukowiny. Z daleka usłyszałem głos dzwonka na Anioł Pański, a ten dźwięk, jak z nieba płynący, pociecha serce moje nappełnił. Zawsze za łaską Bożą byłem wierzącym, ale rzadko kiedy tak, jak wtenczas uczułem tę wielką siłę i ufność, którą wlewa w duszę pewność, że o każdym z nas i o jego potrzebach i biedach, wie serce najlepszego Ojca.

Upewnił mnie też ten dzwonek o tem, co mi mówiono, że niedawno w Bukowinie stanął nowy kościół, a więc i plebania, a choć ostatkiem sił goniłem, pewny byłem, że już tu nie zginę, ale znajdę u ks. proboszcza gościnność i opiekę. Zbliżałem się więc z radością do plebanii, ale jakież

było moje zdziwienie, gdy na pukanie moje, wychyliła się twarz niemita, a na moją prośbę o nocleg, głos opryskliwy odpowiedział: „tu włóczęgów nie przyjmujemy“. Mówiąc to, silnie drzwi zatrzasnęło, ale ja widząc, że w oknach się świeci, nie dałem za wygrane, dalej się dobijam i po chwili słyszę w sieni głos mówiący:

— Antoni, jakże możesz w taką noc ciemną odsyłać podróżnego?

— A kto tam wie, co to za podróżny ks. proboszczu.

Ale ja już śmieiej pukam, a po chwili drzwi się otworzyły, a głos uprzejmy mówił:

— Proszę, proszę, przecież-by to był grzech, w taką zawieruchę nie przyjmając gościa.

Antoni wszakże patrzył na mnie ze-
zem, i trzeba było kilkakrotnego nawoły-
wania ks. proboszcza, by mi wskazał izdebkę, gdzie przemoczone ubranie zrzu-
ciwszy, ubrałem się w starą rewedendę
ks. proboszcza, która już widocznie niejed-
nemu podróżnemu taką usługę wyświadc-
zyła. Po chwili siedziałem z księżmi, bo
zastałem też ks. dziekana z Nowego Targu
przy wieczerzy, skromnej ale bardzo smacz-
nie przyrządzonej, której wystawić sobie
możecie, że rad byłem. Antoni służył nam
do stołu, ale ile razy koło mnie przecho-
dził, patrzył na mnie jak ten pies, który
warczy choć ukąsić nie śmie. Co mu się
we mnie niepodobało nie wiem; czy moja
broda, która co prawda, nie bardzo po-
rządnie była utrzymana, czy okulary, czy
torba przewieszona przez plecy, z którą
się niechętnie roztawałem, dość, że i ks.
proboszcz sposób postępowania Antoniego
zauważył i nieraz mrugnął na niego zna-
cząco i równocześnie ręką głowy się do-
tykał. Antoni wtenczas się upamiętywał
i dalej służył.

W gościnnej izdebce przygotowano mi
nocleg, ale przez sen jeszcze zdawało mi
się, że patrzę na mnie niezyczliwe oczy
Antoniego, później jednak zasnąłem smacz-
nie i już słońce wysoko było na niebie, a
księża odprawili Mszę św., zanim zbiegłem
na dół. Czekano mnie smaczne śniadanie,
a po serdecznem pożegnaniu z zacnym ks.

proboszczem, skorzystałem z życzliwości ks. dziekana i zabrałem się z nim do Nowego Targu. Antoniego chciałem udobroczyć większym datkiem, ale nie przyjął, nie chciał, jakby mnie i moim pieniądзом nie ufał.

Zaledwie ruszyliśmy z ks. dziekanem w drogę, mówię do niego:

— Ależ to osobliwego służącego ma ks. proboszcz w Bukowinie, ledwie że mnie nie ugryzł, taki był zły z mojego przybycia. A co mnie zastanowiło, to to, że ile razy ks. proboszcz chciał go napominać, ręką do głowy sięgał. Chciałem i ja tego ruchu próbować, ale się nie udawał.

— A toś pan to spostrzegł — rzekł ks. dziekan śmiejąc się serdecznie — wierzę, że się panu nie udało, bo głowa ks. proboszcza ma inne znaczenie dla Antoniego, niż głowa jednego z nas. To pan nie zna historii ks. proboszcza i obecnego jego służącego?

— Nie ks. dziekanie, dawno tu nie byłem, a tak mnie zaintrygował ten słodki proboszcz i ten zbój koło niego, że rad bym wiedzieć, jakim sposobem zesłi się ze sobą.

— Ale o tem przecież wszystkie gazety pisały, jednak jeśli pan sobie życzysz, to panu opowiem.

— Przed paru laty, gdy budowano kolej między Chabówką a Zakopanem, sprowadzono wielu robotników Słowaków, Węgrów, Wołochów, a wiemy jakie to między nimi bywają szumowiny społeczne. Ks. proboszcz tak jak obecnie, prowadził kasę Raiffeisenowską, a choć pan wie, że w naszych wiejskich kasach pieniędzy nigdy niema, bo co jedni przyniosą rano, to drudzy wieczór zabiorą i kasy nasze żelazne mogą być na oścież otwarte, przecież ludzie nie znający naszych warunków, mogą myśleć, że tam są pieniądze. Tak też i ci obcy robotnicy myśleli, a między nimi Antoni. Jednego dnia a raczej nocy, dostał się na plebanię, a żądając kluczy od proboszcza, zaczął go bić ciupagą po głowie; ksiądz krwią się zalał, przytomność stracił, Antoni napróżno szukał pieniędzy i uciekł, tak, jak przyszedł, ale z

rękami w krwi niewinnej umaczanemi.

Nie można sobie wystawić, co się działo we wsi tego dnia z rana, gdy znaleziono ks. proboszcza prawie bez życia. Nasi górale kochają go całym sercem, bo trudno równie dobrego znaleźć; puścili się więc na wszystkie strony, za żandarmami, doktorami, by ratować Jegomościa. Antoniego złapano, ks. proboszcz jak każdy Polak, ma twardą głowę, i po kilku miesiącach, gdy rozprawa ostateczna odbyć się miała, mógł stanąć przed sądem.

Jeszcze chwiał się na nogach, twarz była blada, ale odpowiadał sędziemu, bo sam był głównym i jedynym świadkiem, tak prosto i spokojnie, jakby to nie o niego chodziło.

— Niechże ks. proboszcz opowie całe zajście, rzecze sędzia.

— Pewnej nocy, — odpowiedział ks. proboszcz — otworzył ktoś okno, uderzył mnie w głowę, otworzył kasę, ale niestety niczego nie było.

— Przecież ks. proboszcz długo po tym napadzie chorował, — przerwał sędzia.

— Byłem chory, ale już jestem zdrow — odpowiedział. — Sędzia wobec aktu oskarżenia, a takiego przedstawienia sprawy, przez głównego pokrzywdzonego, nie wiedział co powiedzieć. Górale wołali: Ależ Prześwieatny Sądzie to było inaczej!

Proboszcz, uważając swoje stawienieństwo za skończone i chcąc coprędzej z sądu się wydostać, grzecznie się kłania i chce wychodzić, gdy naraz siedzący pomiędzy żandarmami Antoni, pada na kolana i całą pierśią woła:

— Peruka, peruka!

Ks. proboszcz się zarumienił, że mu się podstęp nie udał, sędzia oprzytomniał, że tak duża czupryna nie mogła tak prędko urosnąć i gdy go sędzia poprosił, by zdjął perukę, ukazała się głowa jego cała posiekana, z ranami ledwo zagojonemi.

Proboszcz oczy spuścił, a Antoni płakał tym płaczem, który wskazuje prawdziwy żal i skruchę. Górale mówili: A widzicie, że o mało go nie zabił! A w oczach niejednego z obecnych łza się zaświe-

ciła, widząc w żywym przykładzie stosowaną naukę Chrystusa Pana.

Gdy się uspokojono, ks. proboszcz jako główny i jedyny pokrzywdzony poprosił o umorzenie sprawy, a gdy Antoni ze łzami nogi jego chciał całować: — Chodź do mnie, rzekł, będziesz mi odtąd opieką i przyjacielem.

Nie omylił się ks. proboszcz, trudno o lepszego służącego niż Antoni, pilnuje pana swego, jak wierny pies, a jedyna jego obawa jest, by podobny jak on zbrodniarz nie napadł na plebanię. Zapewne papa się obawiał, dlatego był taki nieufny i opryskliwy, ale ks. proboszcz w takich chwilach, przypomina mu delikatnie dawne przejście, a Antoni nie zapomina nigdy, co winien swemu dobrodziejowi.

— Widzi więc pan — rzekł ks. dziekan — kończąc to opowiadanie, że są jeszcze ludzie, którzy umieją nie tylko darować krzywdy, ale dobrem za złe płacić, a są też grzesznicy, którzy z drogi występuku nawrócić się za łaską Bożą potrafią i z których Bóg ma tę chwałę, o jakiej napisano: że większa radość w niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty.

Złote ziarnka.

Ten, komu nauka pomieszała w głowie, podobny do szafy z książkami, od której klucz zgubiono.

—o—

Kto przyjaciela nie ma, jest jakoby obraz malowany, na ścianie wiszący, co na wszystkich patrzy a z nikim nie mówi.

—o—

Jako gdy śnieg upadnie, na wszystko białą szatę rozkłada, tak kto ma czystą myśl i serce, wszystkie swe sprawy barwą tą pokrywa.

—o—

Co się przez butę i bezład zaważyło w ojczyźnie, to podźwignie z upadku zaparcie siebie, wiara i praca ducha.

o—

Życie jest sprawą poważną, a kto je chce zbyć żartami, ten o niem nie ma pojęcia i żyć godnie nie potrafi.

—o—

Gdy wytoczysz z człowieka krew, to ubiegnie z nią życie jego; gdy wyrwą narodowi język, ustanie wtenczas jego istnienie

Rady gospodarcze.

Koniczyna tak zielona, jak i suszona jest bardzo dobrą paszą dla drobiu. Latem krajać koniczynę na kawałki 1 cm. długie i rzucać kurom. Starej, drzewniałej koniczyny kury nie lubią, nie jest ona też pożywną, należy dawać koniczynę młodą, soczystą. Na zimę należy osobno dla drobiu ususzyć młodą koniczynę, którą następnie kruszy się drobno, parzy i miesza do innej paszy, licząc mniej więcej garść koniczyny na 5 sztuk drobiu.

Przyczyny pęknięcia kopyt u koni są albo wewnętrzne, najczęściej powodowane przez chroniczne zapalenie w kopycie, albo też, i to w przeważającej liczbie wypadków, zewnętrzne, powstałe przez zaniedbanie kopyt, nieodpowiednie podkucie, zbytne wyschnięcie kopyt itp. Kopyta u koni wysychają najwięcej wtenczas, jeżeli róg jest kruchy i kopyta z tego powodu raz już popękały, natenczas nie można zazwyczaj wiele zdziałać, nawet przez bardzo troskliwe pielęgnowanie kopyt i odpowiednie podkuwanie koni. Smarować kopyta można z korzyścią każdym tłuszczem, chodzi tu bowiem jedynie o to, żeby kopyto przez wyparowanie wody zbyt nie wysychało, czemu się zapobiega przez pokrycie kopyta warstwą tłuszczu. Najodpowiedniejszą, bo najtańszą, jest zwyczajna wazelina. Szumnie nieraz reklamowane i drogie smarowidła na różne rodzaje chorób w kopytach, jak i na „zrośnięcie“

się popękanych kopyt, przynoszą jedynie korzyść swym fabrykantom.

Wszy u bydła. Często gospodarze na wsi zalecają w razie pojawienia się tej plagi, nacieranie bydła olejem lnianym za pomocą szczotki. Olej ten wytepi wprawdzie wszy, ale ponieważ należy do rzędu olejów tłustoschnących, nasmarowane nim zwierzę ma po kilku dniach skórę, jakby napokostowaną, z powodu czego uniemożliwia się transpirację, co jest nadzwyczaj szkodliwym dla zdrowia. Skorupę pozostałą w tym wypadku na skórze zwierzęcia trudno zgrzeblem lub szczotką oczyścić, a znika dopiero po kilkunastodniowym myciu ciepłą wodą i szarem mydłem.

Jeśli ktoś chce koniecznie użyć powyższego środka w razie pojawienia się wszy u bydła, powinien przez kilka dni mocno posmarować bydło olejem a w południe tegoż samego dnia zmyć je dokładnie ciepłą wodą i mydłem, tak, że olej nie będzie mógł przyschnąć do skóry.

Do tego celu nadają się tańsze oleje a także rzepakowy lub stare sadło i przy używaniu tych środków wystarczy jedno-razowe lub dwurazowe zmycie na tydzień.

Najlepszym i najpewniejszym środkiem by bydło nie dostało wszy, jest sucha i czysta podściółka a także codzienne czyszczenie bydła szczotką i zgrzeblem.

Szara maść i inne pomagają także często, jednak bydło, liżąc się często, choruje z tego powodu, zwłaszcza jeśli maść przyrządzono ze szkodliwych składników.

Rady zdrowia.

Figi — jako lekarstwo. Suszone figi są nie tylko smacznym pokarmem, ale wywierają też leczniczy wpływ na żołądek i jelita. Dlatego powinni ich częściej używać ludzie, u których objawiają się niedomagania w czynności narządów wewnętrznych. Także cierpiącym na płuca i na katary można polecić jadanie fig. Bardzo skuteczny przy cierpieniach piersiowych a zarazem pożywny napój jest napar zwy-

czajnego jęczmienia z 5 do 6 figami i garścią rodzynek. — Dzieciom należałoby dawać fig ile tylko sobie życzą — zamiast cukru i karmelków. Będą przez to miały zdrowsze zęby.

Rozmaitości.

Przepowiednie pogody. Ważną i pożyteczną rzeczą jest świadomość zmian atmosferycznych i możność przewidzenia ich. Meteorologia jest wprawdzie w kolebce jeszcze, ale dzięki licznym spostrzeżeniom marynarzy, uczonych i wieśniaków, wskazówkom opartym na zmianach barometru i termometru, na kształcie i biegu chmur, na kierunku wiatru, na blasku gwiazd, stanie nieba, znakach dostarczanych przez zwierzęta i rośliny, można mniej więcej przewidzieć, jaka wkrótce nastąpi zmiana w pogodzie.

Niebo mocno błękitne i rozjaśnione, piękny czas zapowiada; przeciwnie, jeżeli błednie o zachodzie słońca, zwiastuje deszcz pewny. Czerwone obłoczki o wschodzie słońca, żółte i świetne o zachodzie, są oznakami wiatru lub deszczu; różowe obłoczki i zamglone niebo o świcie, stanowią przepowiednię pogody. Białe wełniste obłoczki i zamglone niebo o swicie stanowią przepowiednię pogody. Białe wełniste obłoczki zawsze oznaczają zmianę. Jeżeli rankiem i po zachodzie słońca gromadzą się na niebie wielkie zaokrąglone chmury, można spodziewać się burzy lub deszczu. Jeżeli na zachmurzonym niebie ukazą się w stronie zachodniej chmury natłoczone, wyjaśni się z pewnością.

Ciężkie ciemne chmury, nieraz prawie czarne o brzegach strzępionych, zapowiadają deszcz.

Jeżeli chmury zbierają się w dolinach czepiają się ścian i pagórków, można się spodziewać niepogody; przeciwnie, jeżeli podnoszą się wyżej i nikną, czas będzie piękny.

Ciemne tumany mgły dowodzą, że niebo jest zachmurzone i deszcz pewny; je-

żeli zaś mgła jest lekka, przejrzysta, to znak, że niebo jest pogodne. Nagłe zmiany temperatury są zapowiedzią rychłego deszczu, w skutek bowiem gwałtownego oziębienia, następuje zgęszczenie pary wodnej zawartej w atmosferze. Wiatry północne i wschodnie są zazwyczaj suche i zimne; wiatry południowe, gorące i często wilgotne, zachodnie, prawie zawsze deszcz sprowadzają.

Jeżeli ma nastąpić zmiana pogody, ludzie i zwierzęta odczuwają to zazwyczaj. Jeżeli niebo jest czyste, a słońce jasno świeci, jaskółka lata wysoko, zataczając kręgi w powietrzu; jeżeli deszcz i zimno są blizkie, unosi się po nad ziemią z głośnym świergotem. Przed niepogodą paw krzyczy przeraźliwie co chwila, gęś staje się niespokojną, bije skrzydłami, biega i podlatuje bez przyczyny, kury się drapią i tarzają w piasku, kogut śpiewa i bije skrzydłami, pies wyje żałośnie, kot się cze-sze i gładzi sierść swoją.

Żabka zielona umieszczona w szklanem naczyniu, napełnionem wodą i zaopatrzonem w drabinkę, wychodzi na wierzch skoro czas ma być piękny, a kryje się w głębi wody, jeżeli atmosfera nasycona jest wilgocią. Pijawka także może stanowić pewny barometr; trzeba ją umieścić w szklanem naczyniu w dwóch trzecich częściach napełnionem wodą, którą w lecie co tydzień, a w zimie co dwa tygodnie odmieniać należy. Jeżeli pogoda ma być stałą i piękną, pijawka leży zwinięta bez ruchu, jeżeli trzeba obawiać się deszczu, wypływa na wierzch, a jeżeli ma być wichur lub burza, okazuje wielki niepokój i w ciągłym jest ruchu.

Odciski na nogach, reumatyzm, dawne rany, w sposób bełesny odznajmniają człowiekowi każdą zmianę pogody.

Barometr ważne daje wskazówki pod tym względem: jeżeli rtęć podnosi się ciągle lecz zwolna, pogoda będzie piękną i stałą; jeżeli idzie w górę gwałtownie, pogoda niedługo potrwa. Jeżeli rtęć spada, można spodziewać się słoty, będzie ona krótką lub długą stosownie do tego, czy rtęć opadła szybko, czy wolno. Gwałto-

wne jej opadanie oznacza silny wiatr, jeżeli zaś kolejno podnosi się i opada, to burza się zbliża. Jeżeli dzień wiosenny był piękny, słońce jaskrawe a niebo jasne i czyste, noc będzie zimna; nawet można obawiać się przymrozku. Trzeba w takim razie zabezpieczyć młode drzewka i delikatne rośliny.

Fraszki.

Na pańskim wikcie. — A toście chcieli sprzedać waszą łyskę na jarmarku. Dlaczego to? — Bo bestya przed żniwami tak się zacięła i zaschła, że zniej i krzty mleka nie dostanie. — I nie sprzedaliście jej? — A jużci że. Chciał ją kupić pan zarządca z Wielkoboku. — No i nie zgodziliście się z nim? — Ze zarządcą to bylibysmy się zgodzili, ale sprzedawać mu krowę, to nie. Jeszczeby się bestyi chciało dostać na pański wikt!

Wyuczony. Hrabia: (do nowo zgodzonego lokaja): A czy ci twój poprzednik powiedział, jaki u mnie zachowuje się porządek? **Lokaj:** — A jakże! Jak kto przyjdzie po pieniądze, to pana hrabiego niema w domu.

Nie pomoże, nie zaszkodzi. Do starosty małego miasta czeskiego wezwano miejscowego rabina, gdyż w modlitwie odmawianej w bożnicy, co soboty, modlił się z żydami i o to, aby Bóg zniszczył wszystkich katolików, pogan i w ogóle, nie-żydów. Na pytanie starosty, czy to jest prawda, potwierdził rabin, że tak jest istotnie. Starosta rzekł: — To musisz się pan starać, jako rabin, aby ten ustęp opuszczać, boć przecie nie uchodzi, abyście nas tak poprostu zatracić chcieli. — Nu, odpowiada rabin — to jest naprawdę z naszej strony nieładnie, ale pan starosta może nam ten ustęp zostawić spokojnie. — Jakto? — pyta starosta. — Nu, widzi pan — mówi rabin — my już się tak modlimy więcej niż tysiąc lat a do dzisiejszego dnia, nic nam to nie pomogło.

Na wielkiej kolejce żelaznej. Podróżny: — Hej, panie konduktorze, co się tam stało? Ja muszę koniecznie być za ćwierć godziny w mieście! — **Konduktor:** — Ha, jak pan koniecznie musisz, to wysiądź i idź piechotą.

Zwierciadło. Pewien lubownik truneczku, wrócił nocą do misszkania, dobrze napompowany. Zbudziwszy się rankiem, czuł jakiś niesmak i zawrót w głowie, więc nawet mglilo mu się w oczach. Zaczął więc szukać zwierciadełka, aby zobaczyć jak wygląda, lecz zamiast niego, wziął do ręki szczołkę do czesania, a wpatrując się w nią zamroczonemi oczyma, zawołał:

— Oj, do dziaska! jakżem porósł szczeniłą! Trzeba się co prędzej golić!

Mądra rada. Jakiś wędrowiec przyszedł nocą do cudzej wsi i zapytał nocnego stróża: — Powiedz mi, przyjacielu, gdzie ja mógłbym się udać ieraż?

— No panie, najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do domu i spać się położysz.

Drugi. Sędzia: — Co uczynił oskarżony, po wymierzeniu panu policzka? — **Oskarżyciel:** — Dał mi trzeci policzek. Jakto? chcesz pan pewnie powiedzieć: drugi policzek? — Nie, panie sędzio; drugi ja jemu dałem.

Koledzy. Bogaty bankier wchodząc do pokoju zastał złodzieja włamującego się do jego kasy i zawołał: — Ach ty, łotrze, jak śmiałeś tu wejść? — Na to odpowiedział tamten: — Nie gniewaj się pan, wszak jesteśmy kolegami. — Jakto, kolegami? — Tak, bo obadwa zbieramy kapitały; tylko że ty gromadzisz już drugi milion, a ja robię dopiero starania o pierwszy.

Zabroniony krzyk. Pewien urzędnik zawołał o coś głośno do swego kolegi. Naczelnik biura napomina go: — Nie krzycz pan! Może ci się zdaje, że jesteś tu naczelnikiem? — Nie, przecie wiem dobrze, iż nim nie jestem. — No, to pocóż pan krzyczysz jak wół!

Wytlumaczył. Żona do męża: — Teraz wracasz z szynku do domu, kiedy już północ minęła! Czy się tego nie wstydzisz przed sąsiadami? — Nie, oni mnie przecie nie widzieli, bo wszyscy jeszcze w szynku zostali.

Skromny. Wieśniak dźwigając na plecach wielki wór kartofli spotyka znajomego woźnicę jadącego pustym pojazdem. — Hej Janie, dzień dobry! Pozwól mi sięść na brykę. — Siadaj przyjacielu, i owszem. — Wieśniak spiesźnie siada, lecz wór dalej trzyma na plecach. — Czemu nie położysz worka? wszak musi być bardzo ciężki. — No, ja już tem się cieszę i jestem ci wdzięczny, że sam jadę, ale nie chcę nadużywać twej dobroci jeszcze dla moich kartofli.]

Zagadka.

Pierwszy — to bożek starożytnych ludów,
Z biblij pewnie będzie wszystkim znany;
A drugi — niszczy owoc ludzkich trudów
I spustoszenie sprowadza na łany.
Cały — po wojnie teraz tryumfuje
I wielkie zyski sobie obiecuje.

Znaczenie zagadki z 6-nru „Niewiasty“.

Pół-noc.

Rozwiązanie nadesłała Maryja Rapaczowa z Bołęcina, w następującym wierszu:

Z za gór wyziera pół pyzatej twarży
Księżycy w pełni. Płyniem sobie rzeką...
Cudna noc! — Milion gwiazdeczek się żarzy...
Czas już do domu: północ niedaleko.

Również odgadł zagadkę Wojciech Lubas z Gwoźnicy.

Wydawca i redaktor naczelny: Jan Zamorski, redaktor odpowiedzialny: Alfred Sikorski w Bielsku
Drukarnia p. f. K. Studenckiego, własność Spółki w Białej.

Trzaskalik Henryk. Trzaskalik Henryk.



Rozum a religia.

(Dokończenie.)

Czy możemy powiedzieć, że rozum nam wystarcza, że jest on w stanie zastąpić nam religię? Czyż zdanie takie nie jest wyrazem duszy nadętej bezgraniczną pychą? Oto świadectwa mężów, których życie spłynęło na długich i mozolnych badaniach. Na jedną nutę wołają wszyscy, że rozum człowiekowi nie zdoła wystarczyć. Jakiemże więc prawem śmiać twierdzić przeciwnie ci, którzy przy warsztacie nauki nie zasiadają i jednej godziny nie poświęcili badaniom religii? „Obywam się bez religii, bo mi wystarcza mój rozum“. Zdanie to jest nietylko wyrazem pychy, ale jest kłamstwem.

Nawet w porządku czysto materialnym i ludzkim, rozum człowiekowi nie wystarcza. Ze wszystkich stron, zmysłom naszym dostępnym, otaczają nas tysiące zagadek, których rozum nie umie rozwiązać. większość polegać musi jedynie tylko na powadze i świadectwie drugih.

Iluz to zdoła udowodnić system np. Kopernika?

W to się wierzy i na tem koniec.

Niemal cała ludzkość żyje z wiary.

A jakże z krainą ducha i Boga? Tu jeszcze większa nieświadomość. Skądżeśmy przyszli dokąd zmierzamy? Dlaczego istnieje grzech i jego świadomość? Czy jest możliwe jego odpuszczenie? Cemu cierpienia i złego tryumfy, skoro Bóg jest sprawiedliwy? Dlaczego tak często zwycięża niesprawiedliwość, a cnota w poniżeniu?

Cóż na to wszystko odpowiada rozum?..

A dalej, kiedy pod jarzmem namiętności jęczy sumienie, kiedy sroga walka obowiązku z miłością własną szarpie nam duszę, — któż śmiałyby twierdzić, że mu rozum wystarczy, by zło dobrem zwyciężyć? Kiedy zawody i życia mitręga i wichry jesienne żywota do łez nas przywodzą, kiedy stoimy nad grobem ojca lub przyjaciela, kiedy złość ludzka brutalnie depce po dążeniach życia naszego, któremu zabrała podporę — czyż nam wtedy nasz rozum wystarcza? Komu choć słabo drga w duszy iskierka uczciwości, ten musi przyznać, ten winien zawołać: „Płakałem i — uwierzyłem“.

Rozum więc człowiekowi nie wystarcza. Czyż on więc żadnej już niema mocy i jest niepotrzebny? Twierdzenie takie byłoby przesadą, a więc i błędem. Nie tylko pożyteczny jest rozum, ale i nieodzowny. On nam toruje drogę do wiary:

on stwierdza jej potrzeby, stawia jej dowody, ukazuje harmonię, którą Boże prawdy łączą się wzajemnie.

By patrzeć na gwiazdy i poznać je dobrze, potrzeba teleskopu. Ale i najlepszy teleskop na nic się nie przyda ślepemu.

Religia nasza szersze ukazuje widnokręgi aniżeli rozum, ale bez niego byłaby ona bezsilną, jak teleskop bez oka.

Do znudzenia świat obrzuca katolików zarzutem, że wyrzekają się rozumu, ponieważ mają wiarę? Marny to zarzut.

Wiara utwierdza, uzupełnia rozum, ale go nie niszczy. Rozum sam nie wystarcza. Wiara leczy: go w słabości i usuwa trudności piętrzące się przed nim.

Kto wierzy, choć nie uczony, jest sto razy mądrzejszy, aniżeli ten, co wiary nie ma żadnej.

By Ojczyzna nie zginęła.

By Ojczyzna nie zginęła,
Bądźmy godni ojców sławy, —
Nieśmy w sercach naszych miłość
Dla najdroższej dla nas sprawy.

Bo gdzie gwiazda się ta pali,
Tam moc kajdan rychło pęka;
Gdzie cześć przodków bronią syny,
Wróg się nawet wtargnąć lęka.

By Ojczyzna nie zginęła,
Strzeżmy mowy i zwyczaju, —
Przy ogniskach, w domach swoich
Siejmy lepszą przyszłość kraju.

Bo gdy nasza polska chata
Cnotą starą znów zastynie
I wskresimy dawne lata,
To Ojczyzna nie zaginie!

W jesieni.

Pamiętałeś też ty w maju,
Spoczywając w chłodnym gaju,

Podziwiając liść i kwiecie,
Ze je kiedyś śnieg przygniecie?

Pamiętałeś też ty w wiośnie,
Przysłuchając się radośnie
Śpiewom ptasząt, że te pienie
Kiedyś zasypie milczenie?

Ach, kto w wiośnie, wśród zieleni,
Rad pamięta o jesieni?
Kto rad słucho w wieku sile
O siwiźnie i mogile?

Jednak wszystko niknie w świecie,
Wiosna, młodość, śpiewy, kwiecie! —
Tylko skarbów skrytych w duszy
Ni czas, ni śmierć ci nie ruszy.

Tymi skarby ciche cnoty
I sumienia spokój złoty,
Te zostaną wiecznie z tobą
Twą własnością i ozdobą.

MACOCHA.

Pewnego właściciela ziemskiego w pobliżu miasta Pesztu spotkało nieszczęście, utracił bowiem żonę w chwili, gdy dała życie dziecinie. Pochowano ją i opłakano, a mały, ładny chłopczyzna, pozostał sierotą bez matki.

Wawrzyn Gatty — tak się ów właściciel nazywał — miał u siebie starą ciotkę; ta po pogrzebie stanawszy nad kołyską, wylewała łzy gorzkie mówiąc przytem:

— Moja ty biedna mała sierotko, co się z tobą stanie? Bez macierzyńskiej opieki, przyjdzie ci marnie zginąć.

— Co się z nim stanie? — powtórzył ojciec drżącym głosem i dodał zarazem: wyrośnie na prawego i uczciwego człowieka. Nie lękaj się dziecino moja, będziesz miała matkę!

— Nie będzie to jednakże prawdziwa matka, mój drogi siostrzeńcze! Prawdziwa matka spoczywa w grobie, a ta, którą w dom swój wprowadzić zamýślasz, pozostanie zawsze tylko macochą, choćbyś jej złote wstążki wpłatał we włosy!

— A ja ci mówię ciociu, że moje dziecko będzie miało prawdziwą matkę.

— Gdybyś posiadał moc wskrzeszania umarłych, wtenczas bym ci uwierzyła.

Gathy nie na to nie odpowiedział. W kilka dni po tej rozmowie zabrał dziecinę z sobą do Pesztu i zostawił ją tamże. A że był człowiekiem zamkniętym w sobie i poważnym, nikt nie śmiał go zapytać, gdzie umieścił syna, wzruszano tylko ramionami mówiąc: przygotowuje miejsce dla drugiej żony.

I rzeczywiście, zaledwo trzy tygodnie upłynęły, Wawrzyn Gathy pojął za małżonkę siostrę swego rządcy, Barbarę, najładniejszą niewiastę z całej okolicy, a w rok niespełna przybył do domu drugi synek.

Pani Gathy nie opuściła jeszcze swego pokoju, a mąż wyjechał znów do Pesztu, zabierając z sobą nowonarodzoną dziecinę, aby ją tam zostawić. Ludzie kiwali z podziwieniem głowami, pytając: co to znaczy? zaledwo dał im Bóg dziecie, własny ojciec usuwa je z domu!

Podczas gdy ze zdumieniem nad tem się zastanawiali, w komnatkach starego gmachu Gathych, rozlegały się przeraźliwe skargi i płacz gorzki. Młoda matka rozpacziała nad rozłączeniem się z dzieckiem, prosiła, błagała, rozwodem groziła i przeklinała okrutnego ojca.

— Oddaj mi moje dziecko! Co zrobięś z moim dzieckiem? — wołała tonem rozdzierającym serce.

Atoli dziwny ten człowiek pozostał niewzruszony.

— Dziecko twoje jest pod dobrą opieką, mówił — zobaczysz je kiedyś z pewnością. Lecz dziś nie badaj mnie daremnie, i nie naprzykrzaj się prośbami, gdyż przeciw temu jestem silnie uzbrojony.

Tak upłynęło lat pięć, długich jak wieczność, pełnych męczarni dla kochającego serca matki.

Pani Barbara w tym czasie próbowała rozmaitych dróg i środków, lecz nie doprowadziły one do celu. Okrutny ojciec pozostał niewzruszony. Jeździł wprawdzie często do Pesztu w odwiedziny do dzieci, lecz żony nie zabrał nigdy ze sobą, musiała

się tylko zadowolić wiadomością, że chłopcy dobrze się miewają. Nadszedł wreszcie dzień, w którym Gathy powiedział swej żonie:

— Przygotuj się na wielką uroczystość, Barbaro, gdyż jutro wyjeżdżam do Pesztu i przywiozę ci chłopców.

Uszczęśliwiona matka rzuciła się z okrzykiem radości mężowi na szyję. Te kilka słów zatarły w jej sercu całą gorycz upłynionych lat pięciu. Zapomniałem zostało to cierpienie, gdy zajechał powóz, a silne ramię ojca wyniosło dwóch ładnych i wesołych chłopczyków.

Matka z bijącym sercem wybiegła na ich spotkanie. Jak błyskawica padła jej spojrzenie z jednej twarzyczki na drugą, badając i przypatrując im się z przestachem.

— Mamusiu — zawołał jeden chłopczyzna, rzucając jej się na szyję.

— Mamusiu — mówił drugi, czepiając i schylając jej się do kolan.

Uściskała i ucałowała obydwóch. Który pocałunek był słodszy? zadawała sobie pytanie, wpatrując się w nich.

Paweł było imię jednego chłopczyzny, drugiego Władysław. Z wzrostu i postawy byli do siebie podobni, a nawet i w rysach twarzy mieli wielkie podobieństwo. — Różnicy lat nie było znać po nich.

Nachyliwszy się do ucha męża, zapytała trwożliwie:

— Który z nich jest moim synem? — Powiedz!...

Gathy roześmiał się w głos i odpowiedział:

— Co za zabawne zapytanie, obydwaj są twoimi synami...

— Lecz który z nich jest moim rodzonym synem?

— Nie troszcz się o to wcale. Dlatego chowałem dotychczas obydwóch zdala od domu, abyś ich równo kochała i dla żadnego nie była macochą, ale matką.

— Pomyśl, co czynisz! — zawołała żona.

Długo nad tem myślałem. Miej cierpliwość aż dojdą do lat dwudziestu; wtedy, gdy opieka matki nie będzie im już potrzebna, dowiesz się prawdy, nie prędzej.

Taką była wola tego nieugiętego człowieka. Nic innego nie pozostało biednej kobiecie, jak obydwóch równo kochać i otaczać ich równą opieką? Uczucie macierzyńskie jednakże nie spoczęło ani na chwilę; gotowa do walki, dniem i nocą wpatrywała się w chłopców, chcąc dojrzeć podobieństwo do siebie. Niekiedy zdawało się jej, iż zrobiła odkrycie, przy którym serce jej, żywiej uderzyło: to mój syn, pomyślała; szkoda tylko, że czasami jej się zdawało, że Paweł, to znów, że Władysław jest jej synem.

Chłopcom było z tem dobrze. Rośli i rozwijali się. I oni wiedzieli już o tem, że jeden z nich jest tylko pasierbem, lecz który?

Pewnego razu Gathy zachorował, żona jego chciała korzystać z tej chwilowej słabości, aby dowiedzieć się prawdy.

Zaczęła błagać męża, zarzucając go pochlebstwami.

— Powiedz najdroższy, który jest moim własnym synem, ulituj się nademną! Przysięgam ci wobec Boga wszechmocnego i na pamięć mej matki, że tylko ja sama będę znała tę tajemnicę, jemu nie dam poznać tego!

— A zatem dobrze, jeżeli tak się zaklinasz, dowiesz się prawdy.

W tej właśnie chwili wszedł do pokoju Paweł.

— To jest twój syn — wyszeptał Gathy.

Barbara powstała natychmiast, porwała chłopca w objęcia, okryła twarz jego pocałunkami, głowę przycisnęła do piersi i głaskała jasne włosy. Przy obiedzie na przysmaczek już Paweł dostał większe jabłuszko, dla Pawła nóż głębiej zanurzył się w kołacz, wieczorem grając w piłkę, gdy stłukli chłopcy szybę, stało się to niby z winy Władysława, chociaż wszystkie pozory za tem przemawiały, że Paweł był sprawca złego.

Tak upłynęło kilka dni, aż wreszcie Gathy odezwał się z niechęcią do żony:

— O! kobieto, kobieto!

— O cóż chodzi? — zapytała.

— Twoje postępowanie, Barbaro, jest śmieszne. Pokazała się w tobie nie matka, lecz macocha. Żle przeżyłaś próbę!

— Jaką próbę?

— Z dziećmi. Czy rzeczywiście uwierzyłaś, że chłopczyk, którego ci wskazałem, jest twoim rodowitym synem? Postanowiłem, że który z chłopców pierwszy wejdzie do pokoju, oddam ci go jako twego własnego syna.

— Okrutny, oszukałeś mnie! — zawołała pani Gathy z gniewem.

— Być może; atoli czy i ty nie zwiodłaś mnie, przyrzekając, że będziesz obydwóch równo kochać? A natychmiast zaczęłaś zaniedbywać Władysława, forytując Pawła. Jesteś więc fałszywą Barbaro!

Raz zwiedziona nie miała odwagi nastać o wyjawienie prawdy, chociaż jej to bardzo na sercu leżało. Wiedziała, że byłoby to na próżno. Pocieszała się nadzieją że na przyszłość, kiedy upłynie lat dwadzieścia, prawda się wyjaśni.

Tak rok za rokiem mijał, lipy starego zamku okrywały się zielenią, chłopcy wyjeżdżali do szkół i wracali na wakacje, bez zmiany przez lat wiele, aż pewnego razu, na próżno serce macierzyńskie wyglądało ich powrotu, z ławy szkolnej poszli oni na pole walki, bo ojczyzna ich była w niebezpieczeństwie i wołała o pomoc. W walce o niepodległość, zginął śmiercią waleczną jeden z synów Gathyego. Sam tylko Władysław powrócił pod dach ojcowskiego domu. W owych czasach nikt się temu nie dziwił, przeciwnie uważano to za łaskę nieba, jeżeli z dwóch braci jeden chociaż został przy życiu.

Cieszono się z powrotu bohatera a w cichości nie jedną łzę poświęcono pamięci zmarłego... I serce matki pocieszało się nadzieją, że to syn jej ocalał, ale co by było, gdyby się to okazało nieprawdą! Gathy mileżał jeszcze ciągle. Cekał on dnia oznaczonego t. j. skończenia dwudziestego roku. Pewnego razu wszedł z uroczystą miną do pokoju żony i w te odezwał się słowa:

— Barbaro! czy wiesz, że dzisiaj jest dzień ważny dla ciebie?

— Co takiego? — zapytała, nie podnosząc wzroku od roboty, haftowała bowiem koszulę dla Władysława.

— Dziś kończy się lat dwadzieścia.

Na te słowa pani Barbara zdrętwiała, serce zamarło jej w piersi, krew uderzyła do głowy, za chwilę zbladła jak ściana.

— Cóż stąd? — zapytała ponuro.

Gathy wyjął z kieszeni pakę papierów.

— Chcę dotrzymać słowa — masz prawo dowiedzieć się, który z chłopców jest twoim własnym synem.

Jak iskrą elektryczną podniesiona, skończyła pani Barbara i położyła dłoń na ustach męża.

— Milcz — zawołała z trwoga. — Nie chcę nic wiedzieć. I nie pragnę, abym się kiedykolwiek dowiedziała.

Położyła rękę na czole i wyszeptała z cicha:

— Niech mi przynajmniej pozostanie złudzenie, że jestem matką własnego syna

— Słusznie mówisz, Barbaro — odpowiedział po namyśle Gathy. — Lecz co począć z temi papierami?

— Wrzuc je w ogień, proszę cię o to.

A właśnie jasny płomień widniał na kominku, Gathy wrzucił weń papiery; objęte ogniem wybuchły jasnym blaskiem, który oświecił oblicze matki żywym blaskiem, gdy mówiła:

— Teraz sam tylko jesteś w posiadaniu tajemnicy, już jej nie zdradzi żaden papier.

Wprawdzie ja, który to zdarzenie opisuję, znam tajemnicę, lecz jeżeli matka nie była ciekawą, to i czytelnicy nie potrzebują wiedzieć prawdy.

Chodzi tylko o to, aby każda matka brała sobie stąd przykład, a skoro wzięła na siebie obowiązek wychowania obcych dzieci, wychowywała je tak, jak gdyby była ich własną matką, bo kto bierze na siebie tak ważne zadanie a nie wypełnia go sumiennie, będzie za to przed Bogiem odpowiadał.

Złote ziarnka.

Kto nie pożywał we łzach swego chleba.
Ten jeszcze nie wie o pociesze z nieba.

—o—

Kto stawia zamki na lodzie, nie zdobędzie się na to, by wybudować chatę na ziemi.

o—

Wiele talentów a brak charakteru, to gmach na glinianych nogach.

—o—

Krocz śmiało drogą życia, a gdy upadniesz, podnieś się corychlej a idź dalej, nie podlegając zwątpieniu.

—o—

Żaden obowiązek, choćby największy, który jutro spełnić mamy, nie uwalnia nas od dzisiejszego, choćby był najmniejszy.

—o—

O, biada temu, czyje natchnienie
Pośród serc bratnich szerzy zniszczenie!

Rady gospodarcze.

Mycie naczyń do mleka. Znaną jest rzeczą, że na dobry smak i na przechowanie mleka bardzo wpływa staranne utrzymanie naczyń (t. j. skópców i blaszanek), używanego przy dojeniu i zlewaniu mleka. Mleko dlatego warzy się w gotowaniu t. j. skwasza się przedwcześnie, że na ścianach i szparach naczyń zostają drobniutkie cząsteczki starego mleka, które miało już czas skisnąć. Najmniejsza dla oka niewidzialna odrobina tego starego mleka, działa tak, jak kwaśne ciasto

dodane do chleba. Stary zwyczaj mycia naczyń do mleka ciepłą wodą z dodatkiem sody nie wystarcza. Soda nadaje drzewu szary kolor, niby brudny, a niema pewności, że zniszczy kwas i resztki starego mleka, które szybko zakwaszenie powoduje, t. zw. zwarzenie. Gosposie wystawiają naczynia na słońce; słońce niszczy wprawdzie grzybki kwasu, ale tylko tam, gdzie oświetli i ogrzeje naczynie, a więc nie wewnętrzne ściany. Niektóre gosposie dają garnki po chlebie do pieca, ale i to zamała. Najlepszym środkiem przeciw szybkiemu skwaszeniu i zwarzeniu mleka jest wymycie wapnem świeżo gaszonym, które najlepiej niszczy szkodniki mleka. Taka woda wapienna przyrządza się w następujący sposób: Do 2 l. wody daje się 5 deka (1 większa grudka) niegaszonego wapna, i tą wodą obmywa się codziennie naczynia drewniane i blaszane zapomocą twardej szczotki do szorowania. Z wapna płucze się je potem starannie zimną wodą i odstawia na bok. W ten sposób także można myć naczynia gliniane i kamienne i tak tylko można je należycie odkazić, zwłaszcza teraz, przy ciepłej porze.

Przepisy kucharskie.

Zupa karmelicka. Na 6 osób gotuje się $\frac{1}{4}$ litra (kwaterkę) krup perłowych w $\frac{1}{4}$ litra (kwaterce) wody, pokąd się krupy zupełnie nie rozkleją, osobno gotuje się na miękko 6 deka (3 łyty) białej fasoli i 4 do 5 obranych kartofli. Gdy kasza już miękka, wtedy daje się łyżkę masła, bije się kaszę łyżką do białości, rozprowadza wodą gorącą, soli do smaku, dodaje do niej fasoli ugotowanej i kartofli w kostkę pokrajanych, delikatnie miesza się wszystko razem, zagrzewa dosyć mocno i wydaje do stołu.

Zupa grzybowa. Na 6 osób liczy się 3 deka (2 łyty) grzybów suszonych. Grzyby obmyte nalewa się 3 l. (3 kwartami) wody, dodaje jarzyny t. j. marchwi, pietruszki, selera, jedną małą cebulę i gotuje aż grzyby zmiękną. Grzyby posiekane lub poszatkowane cienko daje się do wazy, do rynki precedza smak przez siłko,

daje 3 deka (3 łyty) masła, a na smaku zagotowuje się lane ciasto.

Zupa kartoflana. W $2\frac{1}{2}$ l. ($2\frac{1}{2}$ kwartły) wody gotuje się smak z jarzyn t. j. z pietruszki, marchwi i selera. Zrumienia się 5 deka (2 łyty) masła i cebulę, do tego daje $1\frac{1}{2}$ klgr. (3 funty) obranych kartofli, pokrajanych w plasterki i zalewa kipiącym smakiem, a gdy się kartofle ugotują, przeciera się przez sito i wleka do wazy.

Rady zdrowia.

Zdrowe napoje — za darmo. W naszych czasach coraz więcej szerzy się umiejętność korzystania z wszelkich odpadków w gospodarstwie. Niejedno, co dawniej wyrzucono na śmietnik, obecnie służy rozmaitym celom i przynosi pieniądze (obcinki cygar, kapsułki butelek i t. p. rzeczy). Nie zważano dotąd jednak na różne odpadki kuchenne; wyrzuca się w mieście (gdzie niema tuczników) zarówno strużyny ziemniaków i łupinki jaj (zużywane w wsiach dla drcbiu) jakoteż odpadki jarzyn i owoców, a w wsiach niemniej wszystko, czego zużyć nie można do paszenia drobiu, bydła, trzody.

Szczególnie strużyny i inne odpadki zdrowe owoców wyrzucamy niebacznie, tak na wsi jak w mieście. A przecież z takichto właśnie odpadków można sporządzać, bez kosztów, zdrowe napoje różne. O nich to pomówimy poniżej.

Nadają się do sporządzania napoju owocowego wszelkie, nienadpsute cząstki, odrzucane przy gotowaniu na powidlą, polewki i t. p., lub przy spożywaniu owocu na surowo. Można tedy zużywać i skórkę owoców i ośrodek z pestkami i szypułki.

Wobec twierdzeń, iż owoców obierać się nie powinno, lecz spożywać zawsze ze skórką, nadmienić należy, że obieranie skórek gorzkich, cierpkich, jakie mają niektóre owoce, jest stanowczo zalecenia godne; toż i język wzdryga się wobec nich. Co do innych skórek, należy baczyć, by

je pogryźć i pożuć jak najdrobniej, jeśli nie mają obciążać zbyt znacznie przewodu trawienno-go. Kto więc nie posiada dobrych zębów, lepiej uczyni, obierając owoc i zużywając skórki do wywaru, z którym spożyć może zawarte w przyskórku sole pożywcze i olejki wonne.

Szczególnie strużyny jabłek i gruszek nadają się do naparzania, pozatem śliwek i brzoskwiń. Skoro nie można zużyć świeżych, należy skórki ususzyć, układając na papierze, wewnątrz do góry; zachowuje się ususzone w naczyniach glinianych, szklanych lub w woreczkach. Do strużyn z korzyścią dodaje się ośrodki. Celem jak najprędzszego wygotowania, należy skórki podrobić.

Z pomiędzy szypulek owocowych, najlepsze odvary dają szypułki agrestu, porzeczek na kawałeczki długości $\frac{1}{2}$ milimetra lub milimetrowe. Nadmieniamy wyraźnie, że z winnego grona bierze się do wygotowania wszystko, co pozostało po obraniu jagód, a więc i najwięcej drzewne cząstki.

Smaczne także napoje otrzymuje się z wywaru szypulek czereśniowych (działać mają zlekka na oczyszczanie krwi), jabłkowych, gruszkowych, śliwowych, brzoskwiniowych i t. d.

Najlepiej pokrajać szypułki wieczorem, zagotować na pół, pozostawić tak przez noc i dogotować nazajutrz.

Po wywarzeniu odpadków owocowych, można je na pewien czas pozostawić jeszcze w odwarze, potem precedziwszy go, ośłodzić i pić sam albo z dodatkiem mleka lub soku cytrynowego.

Napoje to zdrowe, pobudzające trawienie, smaczne i wonne, a więc, szczególnie, że nic nas nie kosztują, mogą zastępować kawę, herbatę i t. d. (Suszenie nie robi przecież trudu, krajanie można w danym razie polecić działwie.)

Zpośród odpadków owoców zagranicznych, nadają się do sporządzania napojów szczególnie skórki bananów i pomarańcz. Suszone skórki pomarańczowe można ponadto, z dodaniem cukru, zawarzyć na

powidła (marmeladę), opłacaną przecież drogo po składach.

Rozmaitości.

Dla chleba. W miasteczku pruskiem Jungfernheide, popisywał się na rynku pewien szlukmistrz w ten sposób, że na 5 minut kazał się zagrzebywać w piasku, poczem wychodził bez uszkodzenia. Dnia 3. sierpnia, gdy ludzie zajmujący się przysypywaniem go piaskiem, przeciągnęli czas próby o parę minut dłużej, znaleziono po odgrzebaniu biednego sztukmistrza bez życia wskutek uduszenia. Stwierdza to wymownie, jak niebezpieczny jest taki sposób zarobkowania.

Nie spożywać owoców z pestkami. Zdarsza się, że niektórzy ludzie spożywają owoc wraz z pestkami, nie pomnąc, że to poważne za sobą pociągnąć może niebezpieczeństwa. W pewnej wsi pod Inowrocławiem 14-letni syn tamtejszego właściciela gospody najadł się wiśni połykając zarazem pestki. Wkrótce potem zachorował i zmarł po dłuższych cierpieniach.

Dostał odprawę. Król pruski, Fryderyk Wielki, będąc pewnego razu na manewrach, ujrzał księdza jadącego na koniu. Zwróciwszy się do jednego z adjutantów, polecił mu, aby z tego księdza zadrwił. Gdy ksiądz nadjechał, adjutant zbliżył się do niego i szydlerczo zagadnął.

— Kcchany księżu, zły przykład dajesz ludziom jadąc konno. Wszak Chrystus do Jerozolimy wjechał na oślicy.

Niezrażony temi kpinkami ksiądz, odrzekł.

— Odkąd Najmiłościwszy nasz Król wszystkie ośły zrobił oficerami, nie można już na nich jeździć.

Fraszki.

Przypadek dość dziwny. Jeden z przyjaciół kieliszka, spotyka drugiego, noszącego rękę na temblaku: — Cóż ci się stało w prawą rękę? — Oto wracając przeszłej

nocy z szynku nastąpiłem ręką na gwóźdź, ale sam się teraz dziwię, skąd się moja ręka znalazła na ziemi.

Na targu. — Sąsiedzie, powiedz mi, że dajesz za moje ciele 50 koron. — Czyś rozum stracił! Nie potrzebuję twego cielecia, naco mam ci za nie dawać 50 koron? — Bo widzisz, jak znajdę jakiego kupca, mógłbym już sumien nie przyjąć, że był ktoś, co mi za ciele dawał 50 koron.

Każdy ma słusność. Wojciech: — Niech pan sędzia posłucha: mam w podwórzu jabłoni, której jedna gałąź przechyliła się na podwórze Błażeja i on zabiera sobie zawsze jabłka co z niej spadną. Zdaje się, że owoce, które wydaje moje drzewo, do mnie należą? — Sędzia: — Masz słusność, panie Wojciechu. — Błażej: — Ale ja myślę, że jabłka spadając na moje podwórze, do mnie należą? — Sędzia: — Masz słusność, panie Błażeju. — Sekretarz (do ucha sędziego). — Jednak to rzecz niemożliwa, aby obadwaj procesujący mieli słusność! — Sędzia: — Pan także masz słusność, panie sekretarzu.

Trafił. Zarozumiały strzelec poszedł z towarzyszem do lasu. Ujrawszy bażant, strzelił do niego i zawołał z dumą: — Trafiłem, trafiłem! widzę wyraźnie, że jedno pióro spada z niego na ziemię! — Drugi powiedział: — Ja zaś widzę wyraźnie, że wszystkie inne pióra poleciały w górę.

Troskliwość. Chory pan, cierpiący na bezsenność, zasnął na chwilę. Wtem nadszedł lokaj i budzi go. — Co się stało? czemuś mię zbudził? — pyta chory. — Panie, właśnie nadeszła godzina, w której miałeś zażyć pigułkę na sen.

W środkowej Afryce. Wódz czarnego pokolenia ludożerców, woła: — Do stu dyabłów, cóż ten kucharz tak długo daje mi dziś czekać na obiad, gdzie on jest? czemu mi jedzenia nie przynosi? — Adjutant: — Racz sobie przypomnieć wasza królewska mość, że wczoraj, w braku innego mięsa, zjadłeś swego kucharza.

Za darmo. Zegarmistrz: — Naprawiać ten zegar nie radzę panu, bo kosztowałoby to pana tyle, ileś pan wydał na zegar sam. — O, z wielką radością przyjmują taki warunek, bo zegar ten dostałem w podarunku.

Wyjątek z listu. „Jeżeli pan jeszcze raz napisze tak niegrzeczny list, to go panu odeszlę bez otwierania“.

Co się komu należy. Adwokat współubolewa ze swoim klientem, który za oszczerstwo został skazany na 8 dni aresztu: — Co za niesprawiedliwość, iż za kilka słów dostałeś taką karę! — Zasądzony odrzekł: — Panie mecenasie, aby krzywdę tę zrównoważyć, powinienbyś teraz, za twoją długą obronę, która miała setki słów, dostać przynajmniej 3 lata więzienia!

Nieporozumienie. Karol i Adam siedzą w kawiarni. Pies Karola położył się przy nogach Adama. Ten rzecze do Karola: — Odwołaj psa do siebie, bo już czuję, że mi pchły łążą po nogach. Na to Karol do psa: — Pójdź tu, Burek, do mnie, bo tamten pan ma pchły!

Zagadka.

Nosi brodę, ale przyzna
Każdy, że to nie mężczyzna.
To, co daje, chorych leczy,
Nie jest beksą, chociaż beczy.
Tu trza wspomnieć, choć nawiasem,
Że i dzieci beczą czasem,
Kiedy w szkole, niespodzianie,
Któręś do niej się dostanie.

Znaczenie zagadki z 7-nru „Niewiasty“.

Bel - grad.



Silna wola.

Jedną z najważniejszych wad naszych jest brak silnej woli.

Wada ta stanowi wielką przeszkodę w osiągnięciu lepszego jutra. Widzimy często nasze błędy i rozumiemy dobrze, że takie postępowanie może nas doprowadzić do skutków opłakanych, albo przynajmniej da nam wiele strat, a pomimo to nie umiemy się przemódz, powstrzymać lub wejść na inną drogę.

Ile to razy pijacy po wytrzeźwieniu wyrzekają się tego szkodliwego nałogu. Wiedzą, że piciem wyrządzają sobie i dzieciom krzywdę, lecz czy wielu z nich naprawdę zaprzestaje picia trunków? Wystarczy, aby zobaczyli wódkę, albo, żeby ich kto zaczął namawiać, a już nie oprą się pokusie.

Tosamo można powiedzieć o innych wadach, nałogach i przyzwyczajeniach, jak paleniu papierosów, rozpuszcie i t. d., wielu chciałoby się od tego uwolnić, cóż kiedy za słaba wola na to, i nasze wysiłki spełzają na niczem.

Wielu z nas ma nieraz rozległe plany, w nauce, poprawie gospodarstwa, lub w pracy nad oświeceniem lub nauczaniem swych braci, a jakże często te plany po-

zostają tylko planami? Chęci są, lecz nie ma tej silniej woli, któraby je zamieniła w czyn.

Tylko silna wola nadaje życiu kierunek celowy, podnosi nas na wyższy szczebel oświaty, dobrobytu, a słaba — przyczynia nam martwoty i upadku.

Dążeniem najgorętszem każdego z nas powinno być wyrobienie w sobie tego nieocenionego przymiotu, który streszcza się w słowach „chcieć — to zrobić“. Bo tylko dla silnych duchowo zabłyśnie przyszłość lepsza.

Zapytacie zapewne, czy człowiek może w sobie silną wolę wyrobić?

Dlaczego nie? Owszem; trzeba tylko chcieć i zawsze pamiętać o przewyciężaniu się przy każdej sposobności. Nie nakładajmy na siebie odrazu za dużo obowiązków, ale gdy już coś postanowimy, wykonajmy to do najmniejszego szczegółu. Powiedzmy sobie „muszę to zrobić“ i od zamiaru nie odstępujemy.

A gdy raz i drugi przewyciężymy swoje lenistwo, powstrzymamy się od pokus, to już coraz łatwiej będziemy mogli walczyć ze sobą i wyrobimy sobie tę najważniejszą zaletę ludzką — silną wolę.

„Ciągłe frasowanie się całym krajem ma mniejszą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku“ — tak określa nam

pisarz Prus stosunek słowa do czynu. A iluż to mamy ludzi, pełnych najlepszych chęci, ludzi, którzy wiele myślą, wiele czują, wiele mówią, nawet zaczynają, ale nie umieją przeprowadzić, skończyć. Jest to kalectwo, gorzej nawet — letarg. Czem mięśnie dla ciała, tem wola dla duszy. Bez mięśni człowiek byłby nieruchomą, martwą istotą, bez woli nie uczynić nie może. Czasem, czasem, gdy silne pobudki pchną go nagle do czynu, może stać się bohaterem, ale wytrwałe dążenie do celu, nieustraszona walka z drobnymi przeszkodami, powolne torowanie sobie drogi, wytkniętej przez umysł i serce, nieustanna praca, niezrażanie się przy pierwszej zawadzie — jest dlań niemożliwym, niedoścignionem.

Żelazna, żywiołowa, siła woli jest darem wrodzonym, wielkim darem natury, uśmiechem losu dla wybranych; wychowanie jej nie da. Ale można wyrobić w dziecku wolę nabytą, tę, która nie budzi podziwu, nie porywa, ale która prowadzi czyn w ślad za wzniosłym zamiarem. A matki tak mało zwracają uwagi na tę, tak ważną stronę wychowania.

Przyzwyczajajmy dziecię od lat najmłodszych do samodzielności i wytrwałości. Prowadzenie dzieci na pasku, ciągłe napominanie ich na każdym kroku — wyrabia zniewieściałość, zgubną dla charakteru przyszłego członka społeczeństwa.

— „Nie biegaj, zapnij się, bądź ostrożny, nie zbliżaj się do pieca, oddaj zapałki, nie skalecz się nożem, nie głaszcz obcego psa“!...

Matko, zastanów się nad każdym „nie“, nim je wypowiesz, bo to „nie“ tamuje wolę w twem dziecku.

Dalej: pomagajmy usilnie dziecku w jego przedsięwzięciach. Jeśli postanowiło coś, niech uczyni to, choćby mu to miało przyjść z wielkim trudem. Ale trzeba, aby matka każda umiała odróżnić przebłytki woli w dziecku od uporu, który należy leczyć, gdyż jest przykrą wadą.

Dziecko twe chce kupić książeczkę, która mu się podobaa, niech więc odkłada swe drobne dochody, niech wyrzeknie się słodyczy, przyjemności, niech wie, że

do celu prowadzi nie tak gładka droga, jak sądziło.

Całe wychowanie umysłowe zmierzać powinno do utrwalenia silnej woli, do chętności moralnego. Religijne zasady, wszechstronny umysł i dobre serce nie zawsze powstrzymają w porę waszego syna, gdy podszepty rówieśników i gra własnej krwi wskazywać mu będzie nie tę drogę, która wiedzie do dobrego postępu ale inną pochylą, spadzią, niebezpieczną. Nie lędzcie się, że syn wasz nie będzie chwiał się na rozdrożu; a jeśli wolę ma słabą?... A i kobiecie do jej pracy nad wychowaniem przyszłych pokolei, do jej cichych poświęceń — silna wola jest koniecznie potrzebna.

Wszyscy też pamiętajmy o tem, co powiedziała nasza powieściopisarka Orzeszkowa:

„Żaden człowiek siły swojej nie zna, dopóki jej w potrzebie z siebie nie dobędzie“.

Poszukajmy i my tej siły w sobie, a łatwiej nam będzie żyć i pracować.

Skarby serca.

Serca ludzkie — to kopalnie,
W których są ukryte stale
Różne wielkie czucia, siły,
Te szlachetne serc metale.

Czasem znajdziesz miedź, żelazo,
Czasem nawet żyły złota —
Umiej tylko dobrze szukać,
Kiedy przyjdzie ci ochota.

Ale często mimo trudów,
Wielkie czeka cię strapienie,
Bo zamiast szlachetnych kruszców,
Znajdziesz — piasek i kamienie!

Do Kobiety.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy nad męską
[głową,
Nad czołem utrudzonem od walki i znoju,

Oczy twoje jutrenką zabłysną różową,
A usta niosą słowa miłości, pokoju.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy na skroń mło-
[dzieńca,
Biała dłoń twa opadnie i ogień ochłodzi,
Gdy słowo two natchnione do trudów za-
[chęca,
Gdys jest gwiazdą przewodnią i patronką
[młodzi.

Kobieto! Tyś aniołem, gdy wdzięcznie
[schylona,
Nad kołyską dziecięcia złote gonisz mary,
I synka otulając w matczyne ramiona,
Wcześniej uczysz go wielkiej modlitwy —
[ofiary.

Kobieto! Tyś aniołem... w łunie bojowiska,
Na tle nieba krwawego wśród gwiazd
[zblądłych z trwogi,
Twój welon, niby gwiazda odkupienia
[błyska,
Gwiazda, co ma ludzkosci nowe wskazać
[drogi.

Kobieto! Tyś aniołem domowego progu!
Wokół ciebie czeladki grzmią gwary, szcze-
[bioty,
A ty ją wiedziesz cicha ku twojemu Bogu,
Po drodze poświęcenia, obowiązków, enoty.

Kobieto! Tyś aniołem! O bądź dla lu-
[dzkości,
Zawsze tym ideałem, czynów jej korona,
Wsparciem męskich wysień, skarbnicą
[miłości,
Gwiazdą tak zda się bliską a niedości-
[gnioną!

O, niech ja ciebie zawsze widzę taką
[jasną,
Niech wiem, żeś ty mi stróżem, do czynu
[podniętą:
A choć gwiazdy dokoła na niebie pogasną,
Po twej drodze, niebiosą odnajdę — ko-
[bięto!

Władysław Betza.

Westchnienie.

O Boże wielki, Boże jedyny,
Niebieski Stróżu polskiej krainy,
Coś za nas cierpiał męki okrutne
Patrz, jakie życie pędzimy smutne!

W ciężkiej niewoli lata czekamy,
Więc Cię o lepszą przyszłość błagamy.
Ty, co cierpiałeś z ludzkiej swawoli,
Wejrzyj że na nas, cośmy w niewoli!

O, nie odwracaj oblicza swego,
Od Twego ludu umęczonego!
Tobie ufamy tylko jedynie,
Że nie dasz zginąć polskiej krainie!

Jan z Zabrudzia.

Koniec pana na Wiznie.

Szkic historyczny z XII wieku.

I.

Zasepiony, chmurny po wielkiej kom-
nacie zamkowej chodził Bolesta, pan na
wizkim kasztelu, rycerz dzielny, Bolka Kę-
dziejawego faworyt. Żyłastemi dłońmi
brodę rwał czarną, palce w krucze włosy
wpijał, to się po biodrach uderzał, to pięści
zaciskał a z ust mu klątwy się rwały, z
ócz skry padały złowrogie. Do zwierza
dzikiego był podobny, którego w klatce
zamknięto, zbawiwszy swobody, jakiej w
puszczach lesistych zażywał.

On, palatyn możny, pohańbienia dumy
swej doznał. Wszak-ci nie przez to łaskami
i zaszczyty odarował go król, jedno
że mężniej nadeń nikt prawie z rycerstwa
w boju nie stawał; wszak-ci to on poskra-
miał tłuszcze pogańskie a u nich zyskał
taką sławę, że spory i waśnie u niego
rozstrzygano. I oto możnemu panu temu
Okszyce dziewczki odmówili, dla jednego
ubogiego rycerka, którego by mógł maka-
tami ze skarba udusić. Mówili, że dziew-
ka do niego serca nie ma, a do tamtego
łgnie — słyszaneż rzeczy, izby woli pod-
wik słuchano? To też kasztelan odmowy

tej znieść nie mógł. Dziewkę z rodzicielskiego domu przemocą porwał a chociaż po dziś opór mu stawiała i nie chciała ślubować, trzymał ją na zamku, pewnym będąc, że ją ugnie i do miłowania zniewoli.

Aliści Okszyce, ród możny, stary, szanowany, oburzyli się na postępek kasztelana. Ojciec dziewczki do króla jeździł, u biskupa płockiego był, oskarżenie na gwałt wnosząc i sprawiedliwości się domagając. Król ulubieńca ani karać, ani go do siebie zniechęcać nie myślał. Biskup inaczej na rzeczy patrzył. Bolestę za gwałciciela uznawszy, przed sąd powołał, a gdy ten nietylko, że nie stanął, ale posły z nagrawaniem odprawił, srogą karą, bo klątwą zagroził mu kościelną.

Na biskupstwie płockiem siedział wówczas Werner, mąż chwalebny, miłością ku Bogu, czystością życia, pobożnością i rzadkimi umysłu przymiotami połączonymi z wysoką nauką i obyczajów ogładą, zalecony. Mąż ten owczarni swej jako dobry pasterz strzegł i nie dopuścił, iżby się bodaj najmizerniejszemu z maluczkich pokrzywdzenie stało. Boleście co należyne oddawał, ale skoro o dopełnionem przezeń bezprawiu usłyszał, świętem oburzeniem zawrzał.

Nie może to być — mówił — iżby w moich oczach ważono się porywać na niewinność, na święte prawa rodzinne. Bolesta dziewczkę ojcom zwrócić musi, pokajać się i zaniechać zdrożnych zamysłów.

Mniemał świątobliwy mąż, że moc powagi kościelnej dumnego palatyna na drogę poprawy zwróci, że się upokorzy i słuszny wyrok uszanuje, ale całkiem inaczej się stało. Kasztelan, o dekrete biskupim usłyszawszy, niepohamowanym gniewem wybuchnął,

— On, on mnie kajać się nakazuje, dziewczkę zwrócić a może włosienicę narzucić? Niedoczekanie! Nauczę go ja, żali można z Boleszczycami poczynąć — wołał rozwścieczony.

I pięściami skronie tłukł, i dzbany chmielnego piwa wychylał, biskupowi się odgrajając.

Żeby zasie pomście swej zadosyć uczynić, Karsko, włość do kościoła płockiego należącą, najechał i zajął.

Upominali go i król, i przyjaciele, żeby Bogu poświęconej własności nie tykał, on radom i napomnieniom uragał, odpowiadając, jako zuchwałość biskupią karci.

Werner przed sądy go zawezwał, gdzie przecież sprawiedliwość możności się nie ulekła, i bezprawnie zagarnięte włości komu należy zwrócić kazała.

Ustał kasztelan z Karska, ale to nowe upokorzenie więcej go jeszcze przeciw biskupowi złością napoiło. I oto jak odyniec raniony się rzuca, przemyśliwając, czemu biskupowi dopiekł za rzekomo śmiertelną obrazę.

— Ej, kasztelanie-drużbo — ozwie się z kąta wesołek Mucha, wielkiej u pana na Wiznie łaski zażywając — co ci się z mnichami zreć? Niebezpieczna z nimi sprawa... Jać ta do krotóchwil jeno a uciechy, ano... tobie powiadam, zaniechaj tej wojny. Małoż ci Jaćwieży i inszej dziczy? Weźmij kołpak bojowy, mieczyk i hajda na pogaństwo! Krwie ci tam oni upuszczą, toć i na zdrowie pójdzie.

— A milcz-że plugawe plemię! ryknął Bolesta. — Żali chcesz, bym ci łba nie skręcił, krotochwile ostaw do pory. Sam wiem, co mam robić.

— Kasztelanie-drużbo, nie wiesz co robisz, bo cię złościę opętały i szarpią myślami, niby wiatr jesiennymi liśćmi. Ja ci przy kuflu wesela dodaję, ty mi koście rucasz... i za to ci Bóg zapłać, ale godzi mi się też, chociaż robakiem plugawym mnie nazywasz, radę dobrą dać...

— Radę, ty? — mruknął kasztelan.

— Czemużby nie? — wyszczerzył zęby żółte Mucha. — Owo biskupowi się pokłoń, o dziewce zapomnij i... do klasztoru idź. Tam cię z pewnością na godność wielką wysadzą, jeno że musisz próbny czas wytrzymać i drwa rąbać, wodę nosić a psom jadło warzyć.

Oczy Bolesty zamigotały strasznie, sunął ku złośliwemu wesołkowi, ale ten, widząc, iż go co złego spotkać może, pom-

knął ku drzwiom, którei właśnie wchodził Bieniasz, brat kasztelana.

Był to olbrzym o muskularnych członkach, twarzy włosami obrosłej, ciężki, ponuro patrzący, choć młody jeszcze. Chrzest święty zeń grzech pierworodny zmasał, ale uczucia chrześcijańskie nie przyjęły się w jego sercu, ile że podówczas wiara gruntu trwałego nie dosięgła. Chrzczono dziatki, do kościołów chodzono, księży słuchano, postów przestrzegano, ale nie z przekonania, tylko dlatego, że tak czynili królowie, tak nakazywali biskupi i księża. Atoli pod zewnętrzną powłoką chrześcijaństwa żyło przywiązanie do starych bogów, w niejednym dworze, w niejednej chacie bałwany chowano i tym ofiary przynoszono potajemnie.

Brat Bolesty w lasach, na łowach i utarczkach wojennych życie pędził, był niemal dzikim człowiekiem. Jemu byle łuk i kołczan, byle mieczyk a oszczep, już ci dosyć. Na widok krwi śmiał się, jak on wilk, co się stadami po puszczy włóczy.

Ujrawszy go Bolesta ręce wyciągnął.

— cóż? cóż? — spytał.

— Dziś biskup do Biskupic zjechał — odparł Bieniasz na ławie siadając.

— Więc... — podjął kasztelan, za ramienia go ujmując.

Bieniasz ręce rozwarł.

— Twoja wola — rzekł — ale zważ, że mnichy na czarach się znają. Zdradnie z nimi wojować...

Roześmiał się Bolesta, obok Bieniasza siadł, miodu syconego przynieść kazał i wszczęła się pomiędzy braćmi cicha rozmowa.

Trwała dosyć długo; kasztelan coś przekładał, Bieniasz się ociągał, wreszcie dłońmi o dłonie plasnęli.

Zgoda — rzekł Bieniasz. — Jać tam nie będę winowaty, jeżeli się na ukręconym przez siebie postronku powieszisz.

II.

Pora była zimowa. Śnieg niby opołą ziemie otulił, gałęzie drzew srebrną okrył łuską i tafle lodowe w białe pieluszki

spowił. O tej porze biskup Werner, kościoły objeżdżając, w Biskupicach, włości kościelnej, na nocleg przystanął.

Znużony rychło na spoczynek się udał, mając przy sobie O. Benedykta, mnicha benedyktyńskiego zakonu i jedno pacholę służebne. Sędziwy pasterz jeszcze nie przymknął powiek, gdy z poza szczelin zasuwy, okno opatrującej, błysnęło światło niezwykle, a wraz z tem krzyki się rozległy, tętent galopujących koni i szczęki orężne.

— Na Boga, co to być może?... — zawołał strwożony O. Benedykt.

— Znać nieszczęście włość nawiedziło — odparł biskup, powstając z łoża — ktoś zarzucił łuczywo i oto gore. Spieszmy z ratunkiem.

— Ale owe krzyki... ono szczekanie zbroiczek... ojciec wielbny, coś złego przezuwam...

— Żali strach może być udziałem sług Chrystusa? — napomniął biskup. — Sumienia nasze czyste, czegoż się lękać mamy?

Nie domówił tych słów, gdy drzwi z trzaskiem się rozwarły i w nich ukazał się tłum uzbrojony, o twarzach dzikich, trunkiem zaognionych, dzierżący w ręku topory, mieczyki i oszczepy. Blask kilku żagwi, niesionych przez przodujących, oświecał tę rozszalałą tłuszcę, nadając jej charakter przerażającej grozy.

— Pokój z wami, czego żądacie — począł biskup, ujmując za krzyż, który mu na piersi zwiisał.

— Śmierć mnichowi, śmierć czaro-wnikom! — wrzasnął tłum i nagle z tej drużyny szalonej wysunął się Bieniasz, z podniesionym w górę toporem.

— Będziesz miał spokój, miłościwy biskupie! — zarychotał ochrypłym głosem, poczem ugodził w głowę bezbronnego starca.

— W ręce Twoje, Panie, duszę moją oddaję... Przebacź im, bo nie wiedzą co czynią! — szepnął biskup i ucichł na zawsze.

O. Benedykta nie oszczędziła tłuszcza morderców, jeno pacholę ocalało, aby świad-

czyć o karygodnym czynie, który całem Mazowszem wstrząsnął.

Była to zemsta wizkiego pana za rękomo doznana obrazę.

III.

Do katedry gnieźnieńskiej od rana napływały tłumy wylekłe, wybladłe, milczące, ze strachem na siebie spoglądające. W powietrzu brzmiał odgłos dzwonu — dziwnie groźny, jakoby nieszczęsną chwilę zapowiadający. Serce nie uderzało w obie strony blachy, lecz w jedną, a ludzie wiedzieli, co to znaczyć miało.

Dnia tego miał być wyklęty Bolesta, kasztelan wizki a potem na kaźń powleczony.

W kościele zebrali się mnodzy dostojnicy państwa, był i król Bolesław, i jego witezie, i co zaciejsi z władyków i ziemian. Gdy świątynia zapełniła się ściśle przed ołtarzem ukazali się: arcybiskup gnieźnieński Piotr, krakowski biskup Gedeon i poznański Bernard w otoczeniu licznych duchowieństwa. Wszyscy nieśli czarne świece a twarze mieli smutne i surowe.

Po odśpiewaniu żałobnego psalmu ciższa zaległa świątynię i rozległ się głos arcybiskupa:

— Wyklęty jest Bolesta, wizkiej ziemi kasztelan, wyklęty ze służebniki swoimi i z przyjaciół, wyklęty z tymi, co radę i pomoc jego pomysłom niecnym dawali...

Długo brzmiała kłatwa; przerażająca jej treść trwogą przejmowała serca, zgromadzonych. Łamano ręce, wzdychano, a gdy arcybiskup kończąc smutny obrzęd wygłosił: „Anathema! Anathema! Anathema!” a duchowni powtórzyli: „Fiat! Fiat! Fiat!” i jęli łamać świece a na posadzkę rzucać, takie łkania, taki płacz się ozwał, że aż sklepienia świątyni drżały.

Po tym obrzędzie król z duchowieństwem sunęli ku głównemu rynkowi, gdzie kaźń się odbyć miała, Ułożono tam wysoki stos smolny, a obok kocioł ustawiono, w którym wrzał воск roztopiony.

Wprowadzono wreszcie i przestępcę.

Do człowieka nie był podobny; włosy mu się jeżyły, twarz miał pożółkłą, wargi, do krwi pokasane a w oczach sztyderstwo. Zakamieniały był grzesznik, bo nie tylko, że się nie kajał, ale gdy około duchownych przechodził, plunął w ich stronę, co widząc zebrany lud, okrzyk wydał oburzenia.

Na stos wprowadził go mistrz z pachołkami i tam powrozami został związany, poczem pisarz królewski dekret odczytał głośno.

Bolesta, usłyszawszy co go czeka, wykrzywił twarz i jął plugawemi słowy złorzeczyć Bogu, biskupom i królowi. Bluznierstwa te rychło mu przerwano; owinięto go wielkimi płatami lnianego płótna przywiązano do słupa w środku stosu umieszczonego a następnie poczęto roztopionym oblewać woskiem.

Nieludzki ryk rozdarł powietrze; skazaniec wił się, powrozami targał, lecz niebawem umilkł.

U słupa stała bezkształtna jakaś, potworna masa.

Mistrz podpalił stos; smolne polana w jednej chwili się zajęły — płomień strzelił olbrzymią kolumną, osłoniętą czarnym płaszczem dymu...

Taki był koniec dumnego pana na Wiznie.

Bieniasza ująć nie zdołano; lud opowiadał, że go ziemia pod Zakroczymiem pożarła.

Ciało biskupa Wernera złożono w katedrze plockiej; odwiedzający grobowiec męczennika doznawali wielu cudownych łask. Dziś ani śladu grobu tego.

Złote ziarnka.

Człowiek, jak umie, osądzi, —
Bóg, jak zechce, rozsądzi!

—o—

Myśleć o małżeństwie,
Gdy na głowie zima —

Jest to gryść orzechy,
Kiedy zębów niema.

—o—

Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie.

—o—

Prawda jest żywiołem życia, a pozór
prawdy niesie w łonie swojem zaród śmierci.

—o—

Niedość jest kochać dobrych, trzeba i
złych miłować, gdyż tylko miłością można
z nich złość wypłenić.

—o—

Gdyś bogaty i w zaszczytach, nie
wierz pochlebcom, bo gdybyś zubożał,
jużby cisami, gorzką prawdą sypali ci w
oczy.

Rady gospodarcze.

Dżdżownice. Patrząc na marną dżdżownicę, czyli glistę ziemną, pełzającą zwolna po ziemi, nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest ona pożyteczną dla człowieka. Gdyby nie dżdżownice, trudno byłoby nawet żyć na ziemi i ludziom, i zwierzętom. Bo dzięki pracy tych pokornych, pełzających stworzeń mogą rosnać trawy i zboża.

Przed dawnymi, bardzo dawnymi laty, zanim ludzie wynaleźli pługi, dżdżownice tylko swymi długimi giętkimi ciałami spulchniały twarde bryły ziemi. Małe otwory, czyli nory, robione przez nie, wprowadzają powietrze do ziemi, odprowadzają wodę deszczową z pod korzeni roślin, i w ten sposób ziemię czynią lżejszą i żyzniejszą. Dżdżownice nie tylko, że spulchniają grunt, ale ziemię jałową i ubogą przerabiają na żyzną i urodzajną. Czynią to przez połykanie ziemi i spadłych liści, które, po przetrawieniu, robak wyrzuca z siebie w postaci małych grudek. Deszcz rozmywa te grudki, albo wiatr roznosi je i rozsypuje po polach. Dzięki temu miej-

sca zupełnie nieurodzajne zamieniają się w grunta, na których można siać żyto i inne rośliny. Praca tych użytecznych robaków nie kończy się nigdy, bo ziemia ciągle potrzebuje przesiewania i przygotowania, ażeby nie skamieniała. Najurodzajniejszą czarną ziemię wyrabiają dżdżownice, jeżeli jedzą opadłe liście. Żaden ogrodnik nie potrafi tak dobrze użyźnić ziemi, ani żaden oracz tak jej nie uprawi. Dżdżownica pracuje nawet w dni dżdżyście, kiedy oracz nie może orać i przygotowywać gruntu pod zasiew. W miejscach zbyt suchych dżdżownice nie mogą żyć, więc tam grunt jest nieurodzajny i twardy.

Dżdżownice przerabiają corocznie ziemię na dwa cale grubości na każdej morderze gruntu. Ale trudno obliczyć, ile ziemi jeden robak przerobi: jest przypuszczenie, że dorosła dżdżownica przerabia przeszło funt ziemi w ciągu roku.

Pewien badacz, śledzący życie dżdżownic, posypywał pole warstwą wapna lub popiołu i obliczał, ile czasu potrzebowały dżdżownice do pokrycia wapna ziemią urodzajną. Miał on w swym ogrodzie ściężkę, wyłożoną dużymi płytami kamiennymi. Dżdżownice zaczęły kopać w szparach między płytami i wyrzucać na wierzch grudki ziemi. Z początku ogrodnik zmiażdżył ziemię, lecz później zaniechał tego. Dżdżownice, pozostawione w spokoju, pokryły te płyty kamienne warstwą dobrej ziemi. Znikły pod nią kamienie, puściła się trawa i zakwitły stokrotki. Przez lat trzydzieści dżdżownice pokryły kamienie warstwą ziemi, grubą na cal.

Tym samym sposobem dżdżownice pozasypywały dużo starych budowli: przez dziesiątki, setki i tysiące lat wyrzucając z głębi ziemię, pokryły nią doszczętnie całe domy, które pod nią znikły. Więc nie mamy uważać tego robaka za istotę marną lub nieużyteczną, wiedząc, jakich wielkich dzieł potrafi on dokonać swoją pracą.

Nasienie lniane w hodowli cieląt. Praktycy twierdzą często, że nasienie lniane w stanie zmielonym działa ujemnie na cielęta, które nie chcą przyjmować poży-

wienia zawierającego ten środek przeczyszczający. Nasienie lniane jednak jest nadzwyczaj w żnym środkiem w hodowli cieląt i działa pobudzająco na organy trawienia, ujemne zaś skutki przypisać należy tylko temu, że często udziela się cielętom tego środka w zbyt wielkiej ilości, albo przyrządza się odpowiedni napój w niewłaściwy sposób. Najwłaściwszy jest następujący sposób przygotowania odpowiedniego napoju: Do mleka odtłuszczonego, dokładnie przegotowanego i ochłodzonego do temperatury letniej, mniej więcej 20—25 stopni Celsjusza, w ilości stosownie do wieku cielęcia wsypuje się trochę, małemi dawkami mąkę z nasienia lnianego w wadze 25 do 30 gramów i miesza dokładnie; we wszystkich tych dawkach razem na 100 funtów żywej wagi winno przypadać najwyżej 125—250 gr. nasienia lnianego. Starszym zaś cielętom udzielać można mąki z lnianego nasienia w stanie suchym, najlepiej z śrutem owsianym w ilości $\frac{1}{4}$ części całej dawki, zawsze jednak przed podaniem innego pożywienia i napoju.

Fraszki.

Na łodzi. — Ho, nieszczęście! Łódź się przewraca! Wszyscy zginiemy w falach! — O, nie wszyscy, bo ja umiem pływać. — Ale ja nie umiem. — No, to ja ci zaraz pokażę, jak się to robi.

Trwała barwa. — Panie Szwarz, oszukałeś mię; mówiłeś, że te pończochy mają trwały kolor, ale oto barwa wyszła z nich na moje nogi, które stały się całkiem niebieskie: — To niech pani wymyje nogi w gorącej wodzie. — Próbowałam, ale daremnie; niebieska barwa nie zeszła. — A no, to widzi pani, że miałem słusność; barwa ta jest bardzo trwała.

Omyłka. Doktor pewien, po sutem śniadanku z kolegami, całkiem zamroczony

ny wódeczką, został spiesźnie wezwany do chorego. Z trudem zaszedł do jego mieszkania i usiadł na brzegu łóżka, mówiąc: — Podaj mi pan rękę. — Lecz przez pomyłkę zamiast ręki chorego, wziął swoją własną i puls namacawszy, zawołał: — Przecie ten człowiek nie jest chory, on się tylko spił siarczyście!

Cóż miał robić? Sędzia pyta złodzieja, który już po raz piąty staje przed sądem: — Czy ci nie mówiłem tyle razy, abyś nie przywłaszczał sobie cudzej własności? — Ależ, panie sędzio, a coż będę brał, jeśli wszystko należy do innych?

Niepojednany. Filip blizki śmierci, odbywa ostatnią spowiedź. — Synu mój, — mówi kapłan — wiem, że trwasz w gniewie przeciw Jakóbowi. Musisz się koniecznie z nim pogodzić, jeżeli pragniesz otrzymać zmiłowanie Boże za grzechy. — Wobec zezwolenia Filipa, sprowadzono Jakóba i nieprzyjaciele się pogodzili. Po odejściu Jakóba, rzecze Filip do księdza: — Ale gdybym wyzdrowiał, ojcie duchowny, to ta zgoda za nic się będzie liczyć i znów będę się mógł gniewać z Jakóbem?

Zagadka.

Pierwsze jest dużą liczbą; drugie z trzeciem to części twarzy. Całość posiada każdy kraj na świecie.

Znaczenie zagadki

z nru 8-go „Niewiasty“

Koza.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Wojciech Lubas, Michał Pawlik, Józef Górowicz, Józef Fijak, Anna Horecka.

Rozwiązanie zagadki

z nru 7-go „Niewiasty“

Bel-grad (Belgrad).

Przysłał M. Sliwa z Pietrzykowic.



Czego uczy życie.

Gdy człowiek jest młody jeszcze, „gdy nie miał czasu nabrać doświadczenia życiowego, gdy zapał gorący nie przystygł jeszcze w jego piersi — gdy chęć czynu — przenika młodą jego duszę, jest on razem najskłonniejszy do oskarżeń, nienawiści, niesprawiedliwych sądów. Zdawało by się, że ta moc uczucia, jakim władnie młody, winna uczynić go łagodnym, sprawiedliwym, oględnym w nienawiści, pobłażliwym; jednak tak nie jest. Pobłażliwość dla win i grzechów — jest właściwością starców.

Dlaczego? Może ta pobłażliwość starców wypływa z zaćmienia się ich władz umysłowych a może ma swe źródło w obojętności dla tego, co dobre i złe?

Tak jednak nie jest, pobłażliwość dla win i złości wyrabia życie. Starzec zna wiele ludzi od dzieciństwa. Oto, widział kogoś dziećciem, znał jego rodziców; znał pierwszych jego opiekunów; później dziecko wyrosło w młodzieńca, i starzec znał towarzyszy jego, znał myśli i czyny jego; młodzieniec zmienił się w człeka dojrzałego, i starzec widzi tego dojrzałego człowieka i przypomina sobie jego rodzi-

ców, opiekunów, przyjaciół, przypomina go sobie dzieckiem i młodzieńcem, dochodzi do przekonania, że człowiek jest taki, jakim być musiał, jakim uczyniły go cechy charakteru, odziedziczone od rodziców, otoczenie w którym przeszły pierwsze lata jego życia, wreszcie środowisko, w którym się wychował. Jeśli wychowywał się wśród złych ludzi, słuchał rad złych przyjaciół, jeśli nie miał nikogo, kto by go przed złem ostrzegł a do dobrego zachęcił, to wyrósł na marnego człowieka na bezpożyteczną a nawet szkodliwą jednostkę w społeczeństwie. I starzec, zamiast oskarżać go, szydzić, nienawidzić, współczuje z nim, lituje się nad nim, a z uczuć tych rodzi się pobłażliwość.

Oto, jak życie wyrabia pobłażliwość w człowieku.

Życie mówi tak:

Człowiek, rodząc się, ma w swej duszy zarodki dobrego i złego. Dziecię najszlachetniejszych nawet rodziców nie jest pozbawione zupełnie nasion zła. I to dobre i to złe zarodkiem, nasionkiem tylko drobniem. Gdyby rodzice szlachetni mieli dzieci z zarodkami tylko jednego dobra, to byśmy nie widzieli nigdy złych synów, pochodzących od dobrych rodziców a jednak widzimy to często. W duszy dziecka może być więcej nasion dobrego niż złe-

go, może i odwrotnie. Ale, jedno i drugie istnieją.

Od kogoż zależy, w czyjej jest mocy, aby zniszczyć nasiona złego w duszy dziecka a wyhodować tylko dobro? Od rodziców a przede wszystkim od matki!

Matka, która przez pierwsze lata ma wyłączną pieczę nad duszą dziecka, matka, która z dzieckiem ciągle przybywa, patrzy na nie, słucha pierwszych słów jego szczebiotu, może przekonać się czy, i jakie dobre i złe strony dziecię posiada?—Chłód, brak wrażliwości, upór, zawiść i t. d. I matki obowiązkiem jest dobrym przykładem i łagodnym postępowaniem wzmacniać to, co dobre, stłumić to, co złe.

Z chwilą, gdy dziecko ma już lat kilka, gdy znajduje sobie towarzyszy zabaw, gdy potem idzie do szkoły, wpływ matki słabnie. Dziecię zaczynają wychowywać świat, ludzie. Matka winna zaskarbić sobie szczerść dziecka, gdyż tylko wówczas, gdy dziecię zwierza się jej z czynów i myśli swoich, może ona trzymać w swej dłoni ster, którym kieruje duszą jego.

I coraz bardziej życie i świat biorą duszę człowieka pod swą władzę. Każdy człowiek, każda rozmowa, każda książka — wywiera swój wpływ na duszę dziecka. A wpływy są dobre i złe. I dobre wpływy walczą ze złymi wpływami, młode płonki, wyrosłe z nasion dobrego, walczą z chwastami, wyrosłymi z nasion złego. I koniec tej walki rozstrzyga, czy człowiek wyrosta na zącą i pożyteczną jednostkę, czy na złą i szkodliwą.

Dusza człowieka dorosłego — to jak pole, pokryte zbożem i chwastami, wyrosłymi z ziarn, które kryły się w ziemi. A wpływy ludzi i książek a te smutki i radości, które on w życiu przechodził — to jak słońce, deszcz, rosa ożywcza i grad zabójczy. I radość, tj: słońce i smutki, ij: deszcz, potrzebne są, by z nasion wyrosły pożyteczne rośliny a grad, tj: złe wpływy, mogą zgubić zboże. I tem bujniej chwasty rodzić się będą.

Czy pole winno, że go nie uprawiono, czy pole winno, że je grad zniszczył, że je deszcz zatopił, lub słońce przepaliło?

Nie my tylko możemy się smucić, że polem złe się zajął jego właściciel, że złe wpływy zniszczyły dobre.

Tak mówi życie i dlatego starzec, gdy widzi duszę człowieka, chwastem porośłą, smuci się tylko i współczuje z nią. I dla tego młodzieniec, któremu życie prawdy tej jeszcze nie odkryło, niech słucha starca i wierzy jego doświadczeniu.

W obozie powstańczym. (1863 r.)

Szumi las, szumi las,
W porankowy złoty czas —
Hej, w dal siną echa płyną:
„I za was i za nas!”
Osiodłane konie rżą,
Płoną oczy, szable lśnią,
Na polanie, w zórz świtanie,
Z młodych piersi piosnki grzmia.
Bije lasem bujny śmiech,
Wstaje w borze tysiąc ech —
I polata w strony świata,
Do słomianych, kmiących strzech.
Od kościółka dzwoni dzwon,
Mknie lazurem srebrny ton,
Głos pacierza w strop uderza:
„Daj potomnym zbierać plon”.
A tam niesie wiatru wiew,
Wron krakanie z poza drzew,
Lecą czarną zgrają gwarną,
Czują łupy, czują krew.
Szumi las, szumi las,
W ten jesienny złoty czas —
W kraje świata pieśń polata:
„I za was i za nas!”

LUDWIK WALESIAK
CHŁOP BOHATER.

Było to w maju 1863 r., o kilka mil od Warszawy. Nieopodal od wsi Chobot, w gubernii warszawskiej, pow. nowiński, gmina Dębie-Wielkie, stanął w lesie oddział powstańców pod dowództwem Janikowskiego.

Kilku chłopów z tej wsi nieśli co mogli do obozu powstańczego. Jedni żywność wszelkiego rodzaju, drudzy proch, ołów, lub jaką strzelbinę, przechowywaną w strzesze. Pewien chłop, nazwiskiem Walesiak, wybierając się właśnie z tymi zapasami do obozu, rzecze do swego syna Ludwika, chłopaka lat około 20: „Chcesz widzieć nasze wojsko, to chodź ze mną”. Ludwikowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuca woły, którymi orał kawał ojcowskiego pola pod lasem i biegnie razem z ojcem do obozu, gdzie nasycił swój wzrok widokiem strzelców, kosynierów i kawalerii narodowej. Po jakimś czasie wraca do swoich wołów, bierze sochę w rękę, gdy naraz zostaje otoczony przez kozaków, w liczbie kilkunastu.

Dowodzący nimi oficer zwrócił się do Walesiaka zapytaniem:

— Gdzie miateżniki?

— Nie wiem — odrzekł Walesiak.

— Kłamiesz! wiesz, boś tylko co wyszedł z lasu; myśmę cię stamtąd idącego widzieli; wreszcie stary chłop, któregośmy przed chwilą spotkali, mówił nam, żeś ty wrócił z obozu.

— Nie byłem, nic nie wiem i nic nie widziałem — twierdził Walesiak.

W odpowiedzi na to oficer kozacki ściągnął Ludwika nahajką i kiedy nie przestawał upewniać, że nic nie wie i nic nie widział, kazał go swoim kozakom okładać nahajkami. Rozkazu nie potrzebował powtarzać, bo wiadomo, że kozak zawsze rad z nahajką poigrać. Zaczęło się tedy niemiłosiernie katowanie Walesiaka. Bito go nie tylko po plecach, ale i po głowie i po twarzy. Z początku o ile mógł nieszcześliwy zasłaniał się od ciosów, wymierzonych w twarz, rękami, lecz kiedy te osłabły, dostało się i twarzy i głowie, z której czapka dawno już spadała. Nareszcie na znak oficera, kozacy zaprzestali katowania.

— No, widzisz, do czego upór ciebie doprowadził a wszystko to bez żadnej korzyści: o! lepiej powiedz, gdzie są Polacy, to nie będziesz bity i oprócz tego zostaniesz jeszcze nagrodzony. To mówiąc, wy dobył z zanadru pugilares a z niego

paczkę asygnat i te wtlaczając w pobite nahajkami ręce Walesiaka, rzekł:

— No, bierz pieniądze i mów prędko, gdzie stoją Polacy?

— Ja nie chcę pieniędzy, nic nie powiem, bo nic nie wiem i nic nie widziałem.

Ten bezprzykładny upór chłopca, w którego sercu istnienia jakichś szlachetniejszych pobudek oficer kozacki ani na chwilę nie przypuszczał, podniecił wybuch jego dzikiego gniewu: zeskoczył z konia, pochwycił Walesiaka za głowę i obaliwszy na ziemię zaczął go na wszystkie strony kopać nogami i naostatek kazał kozakom narzucić mu na szyję postronek, zadziergnięty na pętlę i siadłszy na konie jechać za nim do pobliskiego lasu. Zmordowany poprzedniemi katowaniem Walesiak, ciągnięty na postronku za szyję po roli i nierównościach gruntu, nie mógł nadażyć jadącemu kozakom, to też nieraz padał na ziemię, a szarpany i duszony znowu zrywał się na nogi i ile mu sił starczyło biegł za kozakami. Stanęli na wzgórku skraju lasu. Zdała z poza drzew widać było gęsto rozwijające się szeregi wojska rosyjskiego; dołatywał nawet niewyraźny daleki gwar głosów ludzkich i rżenie koni, a tuż prawie u podnóża wzgórka, może o jakieś paręset kroków, w lesie stał oddział wojska polskiego, złożony w części z piechoty, w części z kawalerii, liczący zaledwie 200 ludzi. Była to część liczniejszego oddziału polskiego, rozbitego w lasach około Wiązowny pod dowództwem Janikowskiego.

Właśnie na tę garstkę rozbitków od strony wsi Długiej-Kościelnej nadciągały liczne oddziały wojska rosyjskiego z baterią artylerii. Również w Okólniewie, miasteczku, leżącym stąd o wiorst kilka, stał tegoż wojska pułk cały. Gdyby podjazd kozacki, w którego ręce wpadł Walesiak, zdołał dowiedzieć się, w jakim miasteczku punkcie ukrywali się Polacy, osaczenie ich mogłoby nastąpić najzupełniej, a to pociągnęłoby za sobą porażkę doszczętną, bo niepodobna, aby 200 ludzi, licho uzbrojonych i źle wyćwiczonych, mogło stawić skuteczny opór sile 8 armat i całego pułku wojska regularnego.

Oficer kozacki, w którego ręku był nie-
szczęśliwy Walesiak, prawdopodobnie oce-
niał dobrze ważność chwili i jednocześnie
był przekonany, że w osobie Walesiaka,
czyli raczej w jego zeznaniu, ma niezmier-
nie bogaty materiał do pozyskania na-
grody dla siebie w postaci rangi i orderu.
Jedno Walesiaka słowo, jedno wskazanie
palcem ręki w kierunku, gdzie byli ukryci
Polacy, mogły spełnić marzenia dzikiego
kozaka. Tymczasem ten mizerny chłop-
na, przyjmując na swoje ręce, plecy i głó-
wę niezliczoną moc nahałek, odrzucając
gwałtem wpychane w jego ręce pieniądze,
w niwecz obraca tak gorąco pożądane
szczęście. Taki upór, albo też siła chara-
ktetu chłopca, przechodząca pojęcie ko-
zaka, doprowadza go do wściekłości. Znowu
zeskakuje z konia, znowu kopie go noga-
mi i zapowiada w końcu, że jeśli zaraz
nie powie, gdzie są Polacy, to w tej chwili
będzie powieszony. Jakoż istotnie, gdy
jeszcze raz posłyszał z ust Walesiaka te
same ciągle przez niego powtarzane słowa:
„Nic nie wiem, nic nie widziałem“, każe
go kozakom wieszać. W moment rozkaz
został spełniony. Walesiak, nawpół już
nieprzytomny, zawisł na gałęzi drzewa na
tym samym postronku na którym go na-
wzgórek przywleczono. Po dokonaniu egze-
kucyi, kozacy w tej chwili puścili się pę-
dem i znikli w zaroślach. Ale oprócz oczu
Opatrzności, czuwały nad dzielnym chłop-
cem jeszcze oczy dwóch stojących w ukryciu
za drzewem na pikiecie powstańców, strzel-
ca i kosyniera. Ostatni, po zniknięciu ko-
zaków, nie tracąc chwili, poskoczył do
wisielca i jednym cięciem kosy po postron-
ku wczas jeszcze ocala mu życie, pozo-
stawiając go już wreszcie własnemu losowi,
gdyż sami musieli podążyć za szybko
umykającym oddziałem. Co się potem
stało, opowiada Walesiak temi słowy: „Po
pociągnięciu na gałąź straciłem przytom-
ność. Jak długo trwał taki stan — nie
wiem. Z powrotem przytomności poczu-
łem odrętwienie we wszystkich członkach
ciała, ból i szum w głowie i suchość w
gardle. Z wielką trudnością podniosłem
powieki i pierwszą rzeczą, którą ujrzałem,

to był postronek, wiszący na drzewie. Na
widok jego okropny mnie strach ogarnął,
zerwałem się, aby stamtąd uciekać, ale
zaraz upadłem i zdaje się znowu zemdla-
łem, potem zacząłem czołgać się po ziemi,
ustawałem, chwytalem się za drzewa i
ciągle z największym wysiłkiem to pełzłem,
to przewracając się szedłem w stronę do-
mu. W ręku nie miałem nawet tyle siły,
aby rozgarnąć na czole włosy, które krwią
się zlepily i zakrywały mi oczy. Nie tylko
twarz cała, ale i głowa były zbroczone we
krwi. Nareszcie po długiej pracy dowlo-
kłem się do domu, gdzie przez kilka ty-
godni przeleżałem ciężko chory. Włosy
mi z głowy wypęły i skóra z twarzy
zlaźła a ból w krzyżu, szczególnie w kar-
ku, długo mi jeszcze dokuczał. I teraz,
nawet po 50 latach, od czasu do czasu ten
ból się powtarza, choć w całym ciele czuję
się być mocnym. Rząd Narodowy, dowie-
dziawszy się o pokrzywdzeniu mnie przez
kozaków, przysłał mi 300 złotych na ku-
racyę i nadto pismo“.

Dokument ten, w czasach niebezpie-
cznych przechowywany przez Walesiaka
w butelce, zakopanej w ziemi, jest na-
stępujący:

Rząd narodowy

Wydział spraw wewnętrznych.

Nr. 396—126.

Warszawa, dnia 28. czerwca 1863 r.

Do Ludwika Walesiaka

Z Dębego-Wielkiego.

Szlachetny czyn Twój, Bracie, doszedł
do wiadomości Rządu Narodowego. Po-
stąpiłeś tak, jak przystoi na ucziwego i
odważnego człowieka: wolałeś śmierć po-
nieść, niż zdradzić swoich braci i dlatego,
pomimo okrucieństwa Moskali, nie wska-
załeś im miejsca, gdzie było wojsko pol-
skie. Toć Bóg sam widząc Twoje poświę-
cenie, zesłał ci ratunek i ocalił Cię od
śmierci na to, ażeby dać dowód Tobie i
innym, że czuwa nad nami i otacza swoją
opieką tych, którzy gotowi są poświęcić

siebie dla ocalenia Ojczyzny z niewoli, wie o wszystkim, co się w kraju dzieje i o Tobie też dowiedział się, chociaż Ty nie myślałeś pewnie o tem, że twoje imię do Niego dojdzie. Rząd wie także o tem, że Moskale pastwili się nad tobą i pokrzywdzili Cię na zdrowiu i dlatego posyła Ci 300 złotych, abyś się miał za co wyleczyć. Pieniądze te dane są Tobie nie w uagrodę za Twój uczynek, bo za poczciewość nikomu się nie płaci, każdy powinien być uczciwym, dlatego tylko, że tak Pan Bóg przykazał, i że tak mu sumienie nakazuje; pieniądze posyła Ci się na koszt kuracyi a dla Ciebie na pamiątkę niech będzie to pisanie nasze, które zachowaj sobie, ażebyś kiedyś, jak ci Pan Bóg pobłogosławi, mógł swoim dzieciom wskazać przykład, jak należy Ojczyznę i braci kochać i wiernie im służyć.

M. P.

* * *

Walesiak obecnie ma 70 lat, zajmuje się gospodarką, a ponieważ nie może z ziemi wyżywić licznej rodziny, przeto zarabia jako cieśla. Ma trzech synów i doczekał się wnuków. Słynie z uczciwości, moralności i jest ogólnie szanowany.

NA PRZEDZIMIU.

Dawno święty Wawrzyniec
Pootrzęsał orzechy,
W całym polu gościniec,
Nie masz na niem uciechy.

Przeszedł sierpień i wrzesień,
Kłosów, kwiatów już niema,
Przeszła piękna ta jesień,
Idzie za nią tuż zima.

Z wiosną drzewa zielone,
W sadach, gajach, po jarach,
Potem złote, czerwone,
Niby w bajce o czarach.

Rankiem przez mgły, tumany,
Oko przejrzeć nie może,
Świat znów śniegiem przybrany,
O mój Boże, mój Boże!

Ciągną chmury śniegowe,
Po pagórkach wiatr hula,
I swe perły szronowe,
Dała święta Urszula.

Oj, Urszula a Łukasz,
Zmietli wszystko w swobodzie,
Darmo człeku już szukasz,
Choćby rzepki w ogrodzie.

Czasem słonko zabłysło
Tak ciepluchne, ułudne,
A w powietrzu zawisło
Babskie lato przeczudne.

Marneż było to lato;
Chociaż niby przygrzewa,
Przeminęło, a za to
Przyszła zima prawdziwa.

Przeszedł Szymon wraz z Judą,
I wiatr mroźny już wieje,
Ziemia ścisza się grudą,
Liść ostatni rozsiewa.

Lecą płatki śniegowe,
Aż człowieka strach bierze,
Za duszyczki czyścowe
Szeptaliśmy pacierze.

Wieczny spokój daj Panie!
Tym, co śpią tam już w ziemi,
A gdy i nas nie stanie,
Daj odpocząć wraz z nimi.

Wszystkoć na tym tu świecie
Dobre z Bożej jest ręki,
Więc za wszystko mu przecie,
Przynależą się dzięki.

Za snop każdy zebrany
W krwawym pocie corocznie,
I za zagon zorany,
Co pod śniegiem odpocznie.

Niech tam zima śnieg miecie,
Niech po polu wiatr goni,
Nam nie straszno na świecie,
Bo nas chata osłoni.

Mała, licha, lecz własna,
Wiek dodaje jej cześci,
I obszerna, choć ciasna,
Bo w niej szczęście się mieści.

Złote ziarnka.

Fala morska ta najgłośniej huczy, co ma
się rozbić na piasku.

—o—

Człowiek, który się nie zastanawia, jest
jak liść, który jest igraszką wichrów.

—o—

Jeśli mówimy o drugich to, co się naszej
złośliwości podoba, usłyszymy o sobie to,
co się pysze naszej nie podoba.

—o—

Lepiej z małego garnuszka jeść barszcz
kwaśny, niż z wielkich pucharów spijać
słodocze w zgryzocie.

—o—

Niespokojna żądza człowieka, wszystko za-
truwa swym jadem.

—o—

Łatwiej ustrzedz się innych, niż siebie sa-
mego, łatwiej zwalczyć cudzą siłę niż
własną słabość.

Rady gospodarcze.

Zwierzęta szkodliwe i pożyteczne. Wiele
jest zwierząt sprawiających znaczne szko-
dy, bądź w domu, bądź w polach lub o-

grodach; do nich należą: Kuna, która
czyni wielkie spustoszenia wśród drobiu;
trzeba ją truć, albo chwycić w pułapki.
Łasica także czyni znaczne szkody, z dru-
giej jednak strony tępi szczury i myszy.
Szczury wszystko niszczą i gryzą a po-
nieważ koty nie są w stanie ich wytępić,
trzeba więc używać pułapek i trucizny.
Podajemy tu kilka sposobów ich trucia:
Jeden z najpospolitszych polega na zmie-
szaniu wapna, albo gipsu z mąką i posta-
wieniu zarazem obok miseczki z wodą.
Zwierzę najadłszy się mąki z wapnem,
czuje palenie w żołądku i chciwie rzuca
się do wody, która przyśpiesza śmiertelne
działanie wapna. Trucizna merkuryszo-
wa przyrządza się w ten sposób: zmieszać
razem i rozetrzeć 120 gr. ośrodku chleba,
60 gr. masła i 30 gr. saletrzanu merku-
ryusza. Narobić z masy pigulek i rozrzu-
cić. Trucizna fosforowa składa się z 8 gr.
fosforu, rozpuszczonego w 80 gr. wody
gorącej, z dodatkiem po stopieniu, 8 gr.
mąki. Po ostudzeniu dodać jeszcze sadła
roztopionego 8 gr. oliwy 40 gr. i cukru
miałkiego 50 gr. Maść trzymać w słoiku,
smarować na skórki chleba i rozrzucać.
Dwie powyższe trucizny są bardzo silne,
trzeba więc ostrożnie obchodzić się z nie-
mi. Truje się także szczury zapomocą
siarczyku węgla; wrzuca się go w ich no-
ry, które później zatyka się ziemią. Myszy
polne, które sprawiają znaczne szkody w
ziarnach, można wytępić zapomocą bar-
dzo prostego środka; pokrajać gąbkę na
kawałki, usmażyć na patelni i porozrzucać
na polu.

W kilka dni można spotkać wszędzie
myszy spuchnięte i nieżywe. Mysz, choć
najmniejsza, należy do najszkodliwszych
zwierząt, nie się przed jej żarłocznością
nie osto. Gdyby koty i pułapki nie były
w stanie ich wytępić, trzeba użyć trucizny
takiej jak na szczury. Tchórz jest naj-
większym wrogiem szczurów i myszy, z
tego względu należałoby go ochraniać, choć
czyni niejakię szkody w kurniku.

Jeż, tak nielitościwie tępiony, zasłu-
giwałby owszem na opiekę, gdyż żywi się
przeważnie myszami, gąsienicami, owada-

mi i ściga zawzięcie żmije, których ukąszenia żadnej mu szkody nie robią. Nietoperza także nie należy zabijać, jest to bowiem bardzo pożyteczne zwierzę, karmi się wyłącznie owadami i gąsienicami. Kret, uważany dotąd za zwierzę szkodliwe, jest przeciwnie bardzo pożyteczny, gdyż pożera nieobliczoną ilość gąsienic wszelkiego rodzaju. Robi czasem nieznaczne szkody w zasiewach i psuje grzędy kwiatowe przez zakładanie podziemnych galeryi; jednak i wtedy nie należy go zabijać, lecz tylko wypędzać, nalewając wody z naftą w chodniki lub zakładając w niego główki śledzio-we, których woni kret nie znosi.

Ptaki zjadają wprawdzie owoce i nasiona, ale za to tępią mnóstwo owadów i gąsienic. Najpożyteczniejsze są: szpaki, sikory, sroki, jaskółki, sowy, wróble, skowronki, słowiki, czeczotki, dudki. Ptaki drapieżne, jak jastrzębie, kanie, sokoły, sępy i t. p. powinny być zabijane ze względu na szkody, jakie czynią, porywając młode kurczęta, kaczęta i t. p. Od owadów odpędza się ptaki zapomocą straszdeł, zwierciadełek zawieszonych na drzewie, albo młynków wietrznych.

Kruki, wrony, dzierzby, gołębie, dzikie gęsi są szkodliwe, gdyż niszczą zasiewy. Wybieranie z gniazd piskląt i chwytanie ptaków w sidła powinno być surowo wzbronione, gdyż przynosi prawdziwą szkodę rolnictwu i ogrodom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rady zdrowia.

Doraźny ratunek. Niejednokrotnie się zdarza, że udzielenie pierwszej pomocy w nagłych wypadkach ze strony otoczenia chorego jest albo zupełnie niedostateczne lub nawet wprost szkodliwe. To też piszącemu te słowa chodzi o to, aby udzieleniem kilku wskazówek, jak pierwszej

pomocy w nagłych wypadkach udzielać należy, przyczynić się do tego, by pomoc ta stała się skuteczniejszą, zwłaszcza tam, gdzie o pomoc lekarską natychmiast postarać się nie można.

W życiu praktycznem chodzić będzie przedewszystkiem o to, jak należy opatrzyć jakąkolwiek ranę. Na samym wstępie zaznaczyć należy, że rany nie wolno dotykać, tem mniej stwierdzać jej głębokość. Wyrządzonoby temsamem nieobliczalną wprost szkodę okaleczonemu, gdyż zanieczyszczonoby ranę; a następuje to dlatego, że do rany dostają się zapomocą dotykającego palca, dla oka niewidzialne drobnoustroje t. zw. laseczники czyli prątki, które wywołują ropienie i gorączkę, a nawet życiu okaleczonego poważnie zagrażać mogą. Pierwszym więc i nieodzownym warunkiem przy opatrywaniu ran jest jak najdalej posunięta czystość. Z tego samego powodu też ran ani omywać, ani płukać, ani z niej jakichkolwiek przedmiotów, jak igieł, szkła, drzazg, kul itp. wy ciągać nie wolno. Natomiast usunąć wolno, a nawet należy całkiem zewnątrznie do rany przyczepioną ziemię itp., rany samej nie tykając zupełnie.

Lecz czem należy ranę opatrzyć? Otóż przedewszystkiem gazą zupełnie czystą, a w braku jej czystą, świeżo praną bielezną, a więc chustkami lub serwetami, które należy, o ile czas i warunki na to pozwolą, ponownem wyprasowaniem wyjałowić. Gorące żelazo niszczy bowiem wszelkie drobnoustroje, wywołujące zanieczyszczenie rany. Wyraźnie przestrzegać należy przed opatrywaniem ran t. zw. starem płótnem, gromadzonem dawniej często w domach w tym właśnie celu. Płotno bowiem takie zawsze jest zanieczyszczone najrozmaitszymi drobnoustrojami i więcej zaszkodzić niż pomódz może. Tyle w sprawie opatrywania zwykłych lżejszych ran.

Ciąg dalszy nastąpi.

Fraszki.

Delikatny smak. Pan Trembalski mówi do służącego: — Przynieś mi dzbanek wina, ale wprzód wypłucz go winem, abym nie czuł, że ktoś pił z niego wodę.

Przed sądem. Sędzia pyta obwinionego: — Co to za przyczyna, że twoje zeznania całkiem są inne niż twojego kolegi? — Bo on pewnie taksamo kłamał, jak ja.

Miejskie dziecko na wsi. — Patrz mój synku, tu się pasą krowy. One to dają nam mleko. — Tatusiu, ale te czarne krowy, to pewnie dają tylko kawę?

Ważny dowód. Adwokat do kandydata na sekretarza: — Niestety, nie mogę pana przyjąć, bo choć mi pisałeś, że masz wszystkie warunki na sekretarza, jesteś pan prawie całkiem głuchy. Na wszystkie moje pytania odpowiadasz pan tylko temi słowami: „Co pan mówi?” — Kandydat: — Co pan mówi? —

Coby dostał? — Właściciel domu zabezpieczał swoją realność w towarzystwie ubezpieczeń. Dostawszy policję, zapytuje urzędnika: — Ile jabym teraz dostał, gdyby mój dom jutro się spalił? — No, dostałbyś pan trzy lub cztery lata więzienia.

Dobry łowiec. — Nie mogę dokładnie rozpoznać, czy tam siedzi zając, czy to pień drzewa? — Wystrzel przyjacielu a jeżeli to zostanie na miejscu, to widac że to pień.

Zachęcające. Chory do dentysty: — Czy będzie pan mógł wyciągnąć mi ten ząb? — Niech pan będzie spokojny, choćbym panu miał i szczękę wydrzeć, to ząb zawsze będzie wyjęty.

Przymówka. — Gdy spotkam tego starego urzędnika, zawsze pomyślę o tobie.

— A dlaczego? — Bo on mi także winien sześć koron.

Przed sklepem złotnika. Żona: — Patrz mężusiu na te śliczne brylanty. Co za blask! Aż oczy bolą patrzeć! — Mąż: Masz słuszność. Odejdźmy; poco na ból oczu się narażać.

Niebezpieczna rana. Pewna pani ukłuła się igłą w palec. Przerażona posłała sługę po doktora. Ten, obejrzawszy ranę, rozgniewał się, że dla takiej drobnostki go wezwano. Zapisał maść i kazał śpiesznie ją przynieść z apteki. Pani się znów przerażała i pyta, dlaczego to tak nagle? Doktor odrzekł: — Bo jeśli nie zaraz przyniosą lekarstwo, to pani przedtem wyzdrowieje.

Zagadka.

Czy to na wsi, czy to w mieście,
Pomaga prac niewieście.

Z „p” on znany dobrze wszędzie,
W każdej chacie, w każdym dworze.
Jeśli z „d”, dokuczać będzie,
Czoło troską wnet porze.

Znaczenie zagadki

w 9-ym nrze „Niewiasty“

Sto-lica.

Rozwiązanie nadeszła:

W. Gunia, Witkowice, J. Górniczy,
Kozy, W. Lubas, Gwoźnica górna, L. Uznański, Rajbrot.



**CZYTAJCIE I ROZSZERZAJCIE
WIEŃCA - PSZCZÓŁKĘ.**



Wydawca i redaktor naczelny: Jan Zamorski, redaktor odpowiedzialny: Alfred Sikorski w Bielsku
Drukarnia p. f. K. Studenckiego, własność Spółki w Białej.